





GUSTAW MEYRINK

G O L E M

POWIEŚĆ

PRZEŁOŻYŁ A. LANGE

WARSZAWA, 1919
SKŁAD GŁÓWNY W KSIĘGARNI F.
HOESICKA

TREŚĆ.

Sen -----	5
Dzień -----	8
J. -----	16
Praga -----	22
Poncz -----	36
Noc -----	52
Jawa -----	66
Śnieg -----	75
Strach -----	86
Światło -----	102
Nędza -----	110
Trwoga -----	136
Pęd -----	143
Kobieta -----	154
Podstęp -----	179
Męka -----	195
Maj -----	207
Księżyc -----	223

S E N .

Światło miesiąca spłynęło w nogi mojego łóżka i rozpostarło się, jak wielki jasny, płaski kamień. Gdy pełnia księżycy kurczy się, a lewa jego strona poczyna nikać niby twarz, ku której starość się zbliża, która marszczy się i chudnie: wówczas, w takie godziny nocy opanowują mnie dziwne trwogi i niepokoje.

Nie śpię i nie czuwam, ale w półśnie, w duszy to, co przeżyłem z tem, com czytał i słyszał, miesza się, jak strumienie o różnych barwach i przejrzyścioci.

Zanim udałem się na spoczynek, czytałem żywot Buddy Gotamy i teraz jedna przypowieść na tysiąc sposobów z oddali powraca mi uporczywie w myśli.

„Wrona poleciała do kamienia, który wyglądał jak kawał słoniny i myśli: może znajdzie się tu coś smacznego? Nie znalazłszy tam jednak nic smacznego, odleciała dalej. Jak ta wrona, która zbliżyła się do kamienia, tak my opuszczamy ascetę Gotamę, utraciwszy doń upodobanie.“ —

I obraz kamienia, który wygląda jak kawał słoniny, urasta w mej wyobraźni do potwornych rozmiarów; stąпам przez wyschnięte łożysko rzeki i dźwigam, usuwam gładkie krzemienie szaro błękitne, nakrapiane świecącym pyłem, po którym drepcę i drepcę, a jednak nie mogę sobie z niemi dać rady; potem napotykam czarne o siarczano- żółtych plamach, jak skamieniałe próby rzeźbiarskie jakiegoś dziecka, które chce naśladować niezgrabne, centkowane skrzeki; chcę precz od siebie daleko odtrącić te kamienie, ale wciąż wypadają mi z ręki i nie mogę ich usunąć z zakresu swego wzroku. Wszystkie kamienie, które w mojem życiu niegdyś jakąkolwiek rolę grały, zapadają się do koła mnie.

Niektóre męczą się ciężko, wysuwając się z piasku na światło, — jak wielkie łupkobarwne pająki morskie w chwili, gdy przyptyw morza powraca, — jak gdyby wszystko chciały w tem pomieścić, oczy moje przykuć do siebie i powiedzieć mi rzeczy niesłychanej wagi.

Inne wyczerpane padają bezsilnie z powrotem w swe jamy i znikają zanim doszły do słowa. Czasem unoszę się do góry z tego zmierzchu półśnienia i widzę znowu na jedno mgnienie oka światło księżycy na bufiastym końcu mojej kołdry: światło leżące, jak wielki jasny płaski kamień, i znowu na ślepo macam swą zapadającą świadomość, szukając niespokojnie tego kamienia, który mnie dręczy, a który w rumowiskach wspomnienia leżyć musi i wygląda jak kawał słoniny.

Niegdyś musiała być nad tym kamieniem zawieszona rynna, tak sobie wyobrażam, zgięta pod kątem rozwartym; brzegi jej rdzą były strawione, i uparcie chcę w swym duchu taki obraz wymusić, aby spłoszone myśli okłamać i do snu się ukołysać. Nie udaje mi się. Nieustannie — nieustannie przemawia we

mnie głos uparty i nieumęczony, jak okiennica, którą wiatr w prawidłowych odstępach czasu uderza o ścianę; to jest zupełnie coś innego, to wcale nie kamień, to co wygląda, jak słonina.

I nie mogę się pozbyć tego głosu, chociaż sto razy sobie wykładam, że to jest wszystko drobiazg; głos milczy chwilę, ale niepostrzeżenie znów się odzywa i urągająco zaczyna na nowo: dobrze, dobrze, to prawda, ale to nie jest jednak kamień to, co wygląda jak kawał słoniny. Zwolna zaczyna mię opanowywać uczucie całkowitej niemocy. Co się stało dalej — nie wiem. Czy dobrowolnie przestałem jakkolwiek się opierać, czy też moje myśli przemogły mnie i spętały? Wiem tylko, że moje ciało leży uspione w łóżku, a moje zmysły oderwały się od ciała i nie są już z niem związane. Kim jest teraz „ja“, chcę się gwałtem dowiedzieć, ale dorozumiewam się, że już nie mam żadnego organu, którym mogę stawiać pytania. Wtedy lękam się, że głupi głos znowu się przebudzi i znowu zacznie nieskończoną gadaninę o kamieniu i słoninie. I tak kręcę się w kółko.

D Z I E Ń .

Wówczas znalazłem się nagle w ponurem podwórzu i naprzeciwko poprzez czerwony łuk bramy, ujrzałem po tej stronie ciasnej brudnej ulicy, żydowskiego tandeciarza, opartego o sklep, którego ściany były poobwieszane szeregiem starych żelaznych rupieci, połamanych narzędzi, zardzewiałych strzemion i łyżew i wielu innych zamaryłych rzeczy.

Ten obraz miał w sobie nużącą jednostajność, cechującą wszystkie takie wrażenia, które codziennie tak często, jak kramarz domokrażny, przestępują próg naszych spostrzeżeń, i nie budzą we mnie ani ciekawości ani zadziwienia. Miałem poczucie, że od dłuższego już czasu byłem w tej okolicy, jak u siebie. I to poczucie mimo sprzeczności z tem, co spostrzegłem jeszcze przed chwilą i jak się tu dostałem, nie pozostawia we mnie żadnego głębszego wrażenia. Musiałem już kiedyś słyszeć, albo czytać o dziwnem porównaniu kamienia z kawałem słoniny; wpadło mi to nagle do głowy, gdy po wydeptanych stopniach dotarłem do swego pokoju, i dzięki ich zatłuszczoneму wyglądowi w nieokreślony sposób zacząłem myśleć nad słoninowym wyglądem kamiennych stopni.

Wtem usłyszałem odgłos kroków przebiegających nademną po górnych schodach; doszedłszy zaś do drzwi swego pokoju, spostrzegłem, że była to czternastoletnia rudowłosa Rozyna, córka tandeciarza Arona Wassertruma.

Musiałem przejść koło niej, ona zaś stała plecami oparta o poręcz schodów i pożądliwie pochylała się w tył. Dla podtrzymania się oparła brudne ręce o żelazny drążek, obnażone jej ramiona blado przeświecały w mroku.

Staralem się uniknąć jej wzroku. Brzydziłem się jej natrętnego śmiechu i tej woskowej twarzy jakby drewnianego konia. Czulem, że dziewczyna ta musi mieć gąbczaste białe ciało, jak axolotl, którego kiedyś widziałem u ptasznika w klatce z salamandrą.

Rzęsy rudowłosych są dla mnie tak wstrętne, jak królicze. Otworzyłem prędko i zamknąłem drzwi za sobą. — Ze swego okna mogłem obserwować tandeciarza Arona Wassertruma: stał przed sklepem. Podpierał się o wejście ciemnego sklepienia, i kleszczami obcinał paznokcie u rąk. Czy rudowłosa Rozyna była jego córką czy siostrzenicą? Nie było między nimi najmniejszego podobieństwa.

Pośród żydowskich twarzy, które widuję codziennie, wynurzające się w Kogucim zaułku ściśle mogę rozróżnić rozmaite plemiona, które, mimo blizkie pokrewieństwo poszczególnych jednostek, nie tak łatwo się zacierają, podobnie,

jak oliwa z wodą się nie miesza. Nie można tu powiedzieć: to są bracia, albo ojciec i syn. Ten jest tego plemienia, ów innego: to jest wszystko co się da wyczytać z rysów twarzy. Udowodniłbym to nawet, gdyby Rozyna była podobną do tandeciarza. Te plemiona żywiły względem siebie wzajemny utajony wstręt i obrzydzenie, które również łamały łączność ciasnych związków krwi, lecz nakazywały trzymać je w ukryciu przed światem zewnętrznym, tak jak strzeże się niebezpiecznej tajemnicy. Nikt nie mógł ich przejrzeć, i w tej solidarności równali się oni ślepcom, pełnym nienawiści, którzy się przywiązali do brudem przesiąkniętego sznura. Jeden obojgiem pięści, inny pomimo woli, tylko jednym palcem, lecz wszyscy ogarnięci zabobonną trwogą, że musieliby zginąć, gdyby opuścili wspólną podporę i odłączą się od pozostałych.

Rozyna jest z tego plemienia, w którym rudowłosy typ jest bardziej jeszcze odrażający, niż u innych.

Mężczyźni tego plemienia są szczupli w piersiach i mają długie kogucie szyje z wystającym jabłkiem Adamowem. Wszystko wydaje się u nich piegowate. I przez całe życie cierpią brutalne uderzenia. Walczą skrycie przeciwko swoim chuciom bez końca i bez skutku, pełni trwogi nieprzerwanej. Nie mogę sobie jasno wyobrazić na jakiej zasadzie przypisywałem Rozynie związek pokrewieństwa z tandeciarzem Wassertrumem. Nigdy jej nie widziałem w pobliżu starca i nie zauważyłem, aby kiedykolwiek ze sobą rozmawiali. Rozyna była prawie zawsze na naszym podwórzu, albo przeciskała się przez ciemne przejścia i zakamarki naszego domu. Zapewne wszyscy moi współlokatorzy uważali ją za bliską krewną, a przynajmniej za wychowankę Arona, ja zaś byłem przekonany, że nikt nie mógłby tego przypuszczenia wytlómaczyć. Chciałem myśli oderwać od Rozyny i spojrzałem w otwarte okno swego pokoju w dół na zaułek. Gdy Aron Wassertrum poczuł mój wzrok, podniósł nagle ku górze swoją nieruchomą, szkaradną twarz z okrągłymi rybiemi oczyma i odstającą górną wargą. Wydał mi się, jak człowiek-pająk, który wyczuwa najdelikatniejsze dotknięcie swojej sieci, jakkolwiek zdaje się niewzruszony i obojętny. I z czego on mógł żyć? Co myśli i co zamierza? Nie wiedziałem tego. Na ścianach jego sklepu wiszą bez zmiany z dnia na dzień, z roku na rok, te same martwe bezwartościowe rzeczy. Mógłbym je narysować z zamkniętymi oczyma. Tutaj zgięta blaszana trąba bez klap, poźółkły obraz malowany na papierze, wyobrażający dziwacznie poustawianych żołnierzy. Potem wiązka zardzewiałych ostróg na spleśniałym rzemieniu i inne na wpół zbutwiałe rupiecie. A na przedzie na podłodze szereg okrągłych, tak gęsto koło siebie ułożonych żelaznych fajerek, że nikt nie mógł przekroczyć progu sklepu. Ilość tych wszystkich rzeczy nie zmniejszała się nigdy ani nie powiększała i trwała w niezmienności. A gdy pewnego razu jaki przechodzień zatrzymał się i zapytał o cenę tego albo owego przedmiotu, tandeciarz wpadał w gwałtowne

rozdrażnienie. W sposób dreszczem przejmujący wyciągał swoją zajęczą wargę ku górze i podniecony wymrukiwał coś niezrozumiałego gardłowym, jękającym się basem, tak że klient traci ochotę pytać jeszcze i wystraszony udaje się w dalszą drogę.

Wzrok Arona Wassertruma błyskawicznie prześlizgnął się z przed moich oczu i spoczął z natężoną uwagą na gołych murach przybudówki, która sięgała mego okna. Co on mógł tam zobaczyć? Przecież tylna ściana domu jest zwróconą na ulicę, a okna wychodzą na podwórze! Tylko jedno skierowane jest na ulicę.

Pokoje przylegające do moich na tym samym piętrze — zdaje mi się, że jest to jakaś pokątna pracownia — przypadkowo zdawały się być w tej chwili zajęte, gdyż nagle za ścianą usłyszałem rozmawiające ze sobą głosy, męzki i kobiecey.

Niepodobna, aby tandeciarz na dole głosy te mógł słyszeć. Przed memi drzwiami ktoś się poruszał; domyśliłem się, że to ciągle jeszcze Rozyna w ciemnościach czeka pożądliwie, aż może ją do siebie zechcę zaprosić.

Na dole zaś o pół piętra niżej z zatrzymanym oddechem czatował na schodach dziobaty, napół dorosły Loiz, czy ja drzwi otworzę i czułem formalnie tchnienie nienawiści i spienioną zazdrość sięgającą aż tu poza moje progi.

Chłopiec bał się zbliżyć, aby go Rozyna nie spostrzegła. Czuje się on od niej zależny, jak głodny wilk od swego dozorca, a chciałby z przyjemnością zerwać się i nieprzytomnie dać upust swojej wściekłości. Usiadłem przy warsztacie i wyjąłem obciążk- i rylce. Lecz nic nie mogłem wykonać, a ręka moja była za mało spokojną, aby poprawiać subtelne ryciny japońskie. Smętne, ponure życie, związane z tym domem, stało na przeszkodzie uspokojeniu mego umysłu i ciągle we mnie nurtowały stare obrazy.

Loiz i jego bliźniak Jaromir byli zaledwie o rok starsi od Rozyny. O ojcu ich, który wyrabiał hostje, nie mogę sobie nic przypomnieć, a teraz zdaje mi się, opiekę ma nad nimi pewna stara kobieta. Tylko nie wiem, która to była z pośród wielu, co w tym domu mieszkają ukryte, jak krety w swych podziemiach.

Opiekowała się obu chłopcami, to znaczy udziea ła im schronienia, oni zaś za to musieli jej dostarczać tego, co przy sposobności ukradli lub wyżebrali. Czy dawała im również co jeść? Nie przypuszczam, gdyż stara wraca zwykle do domu późnym wieczorem.

Jest podobno obmywaczką umarłych.

Gdy Loiz, Jaromir i Rozyna byli jeszcze dziećmi, widywałem ich często, jak się we troje niewinnie bawili. Lecz dużo czasu już minęło.

Teraz Loiz cały dzień biega za rudowłosą żydówką. Czasami szuka jej nadaremnie, a gdy nie może nigdzie jej znaleźć, wtedy prześlizguje się przed moimi drzwiami i z wykrzywioną twarzą oczekuje, aż ta pokryjomu tutaj przyjdzie. Potem, siedząc przy pracy, widzę go jak biegnie przez ulicę z głową

po szpiegowsku przechyloną na wychudłym karku. Czasem nagle przerywa ciszę dziki wrzask. Jaromir, będąc głuchoniemym i mając wszystką myśl przepelnioną jedynie szalonym pożądaniem Rozyny, błądzi jak dzikie zwierzę po domu, a jego nieokreślone wyjące szczekanie, które wydaje nawpół przytomnie z zazdrości i podejrzliwości, brzmi tak strasznie, że nie jednemu krew by w żyłach skrzepła. Jaromir szuka obojga, gdziekolwiek ich obecność podejrzewa, w jednym z tysiąca brudnych zakątków, ukryty w ślepej wściekłości, ciągle biczowany tą myślą, że jego brat za nim śledzi, aby z Rozyną nic się nie stało, czegoby on nie wiedział. I właśnie to ciągle dręczenie kaleki — jak sądzą — jest środkiem podniecającym Rozynę, że wciąż z nim się spotyka. Gdy jej skłonności i chęci słabną, Loiz wymyśla nowe rozmaite szkaradzieństwa, aby żądze Rozyny na nowo rozbudzić. Wtedy pozwalają umyślnie przyłapać się głuchoniememu, wabiąc chytrze szalejącego z wściekłości w ciemne przejścia; tu Jaromir, włączając na zardzewiałe obręcze, które przy stąpieniu, podnosiły się w górę i żelazne grabie ostrzami zwrócone do góry, podlegał przykrym wypadkom i bywał nieraz pokrwawiony i poraniony. Od czasu do czasu Rozyna obmyślała, aby go męczyć na swoją rękę w sposób jeszcze piekielniejszy. Potem naraz zmieniała postępowanie względem Jaromira, udając, że nagle znajduje w nim upodobanie. Z wiecznie uśmiechniętą miną, popełnia ona względem kaleki rzeczy straszliwe, które ją podniecają niemal do obłędu; i w tym celu urobiła sobie pozornie tajemniczy napój zrozumiały język znaków, które wciągały głuchoniemego bez ratunku w sieć bezwiedzy i pożerającej nadziei. Pewnego razu widziałem go stojącego przed nią, a ona mówiła do niego tak groźnie poruszając wargami i gestykulując, iż byłem pewien, że lada chwila wybuchnie on dzikiem wzburzeniem. Pot spływał mu z czoła od nadludzkiego wyężenia myśli, aby uchwycić tak niejasne i prędkie zwroty. A w ciągu następnego dnia czatował, trzęsąc się na ciemnych schodach innego, nawpół rozwalonego domu, który stał na przedłużeniu ciasnego brudnego zaułka póty, póki mu się nie udało wyżebrać paru centów. A gdy późno w nocy, nawpół umarły z głodu i niepokoju, chciał wrócić do domu, jego opiekunka dawno już drzwi zamknęła.

Wesoły śmiech kobiecy przecisnął się do mnie przez ścianę z sąsiedniej pracowni. Śmiech? W tym domu wesoły śmiech. W całym ghetto nikt nie mieszka, coby mógł się śmiać wesoło. Wtem przypomniałem sobie, że przed paru dniami zwierzał mi się stary jasełkarz Zwak, że pewien młody bogaty pan wynajął od niego drogo pracownię widocznie dlatego, aby módz bez przeszkody spotykać się z wybraną swego serca. Aby w domu nikt tego nie spostrzegł,

drogie meble nowego lokatora musiano wstawiać nocami w tajemnicy, po sztuce. Dobroduszny starzec, gdy mi to opowiadał, zacierał aż ręce z zadowolenia i cieszył się jak dziecko ze swojej zręczności, że nikt ze współlokatorów nie przypuszcza nawet istnienia jakiejś romantycznej pary zakochanych.

Z trzech domów można się dostać niepostrzeżenie do pracowni. Nawet można wejść przez drzwi tajemne. Tak, gdy się otworzy żelazne drzwi w podłodze, — co z tamtej strony jest łatwe do wykonania — możnaby, przeszedłszy przez mój pokój dojść do schodów naszego domu i użyć ich za wyjście... Znowu z pracowni zadźwięczał wesoły śmiech i obudził we mnie niewyraźne wspomnienie zbytkownego mieszkania pewnej szlacheckiej rodziny, do której byłem często wzywany do odnawiania drogocennych starożytności. Nagle usłyszałem tuż obok przeraźliwy krzyk. Słuchałem wystraszony. Żelazne drzwi w podłodze silnie zaskrzypiały i po chwili do mego pokoju wpadła kobieta. Z rozpuszczonymi włosami, blada jak ściana, z zarzuconym na nagich plecach złotogłowiem.

„Mistrzu Pernat, ukryj mnie pan na miłość Boską. Nie pytaj się pan, ukryj mnie tutaj.“ — Zanim mogłem odpowiedzieć, drzwi zostały powtórnie szarpnięte i natychmiast zamknięte. W sekundę później ujrzałem podobną do wstrętnej maski, szyderczą twarz kramarza Arona Wassertruma.

Przedemną wynurzyła się okrągła świecąca plama i w świetle księżyca poznałem

znowu nogi mego łóżka. Sen ogarniał mnie jeszcze, jak ciężki wełniany płaszcz, a imię Pernat, jak gdyby wypisane złotymi literami pozostawało w mojej pamięci. Gdzie ja to imię czytałem?.. Atanazy Pernat?

Przypominam sobie, dawnymi czasy zamieniłem gdzieś swój kapelusz i dziwiłem się wtedy, że tak jest dopasowany, chociaż głowę mam o bardzo niezwykłym kształcie. Zajrzałem wtedy do cudzego kapelusza i — tak, tak, było w nim złotymi papierowymi literami na białej podszevence napisane:

ATANAZY PERNAT

Nie wiem dlaczego, poczułem do tego kapelusza wstręt i nawet się go lękałem. Wtem uderzył mię, jak strzała zapomniany głos, który chciał się odemnie dowiedzieć, gdzie się podział kamień, wyglądający, jak słonina. Szybko wyobraziłem sobie ostry, słodko szydzący profil rudej Rozyny i w ten sposób udało mi się uchylić od pocisku, który natychmiast zginął w mroku.

Tak, twarz Rozyny! To jest jednak silniejsze niż bezmyślnie paplający głos, i rzeczywiście gdy się znowu ukryję w swoim pokoiku na Kogucim zaułku, mogę być zupełnie spokojny.

J.

Jeżeli się nie łudzę w domyśle, że nazewnątrz ktoś stąpa po schodach, w niezmiennej ciągle odległości odemnie, z tym zamiarem, aby mnie odwiedzić: to napewno znajdować się on teraz musi na ostatnim zakręcie schodów. Teraz poszedł w bok, w stronę mieszkania archiwisty Szemajaha Hillela i dostał się z wydeptanych schodów do sieni wyższego piętra, wyłożonej czerwonymi ceglami. Przeszedł poomacku wzdłuż ściany i musiał teraz, właśnie teraz, sylabizując z trudem w ciemnościach, odczytywać z tabliczki na drzwiach moje nazwisko.

Stałem wyprostowany w środku pokoju i spoglądałem na wejście. Wtem otworzyły się drzwi i on wszedł.

Zbliżył się parę kroków ku mnie i nie zdejmując kapelusza, nie rzekł nawet ani słówka na powitanie. Odniosłem wrażenie, że zachowuje się, jak u siebie w domu i uważałem za zupełnie zrozumiałe, iż on tak a nie inaczej postępuje. Sięgnął do kieszeni, wyjął jakąś książkę i długo przewracał w niej kartki.

Okładka książki była metalowa, wyciski na niej w kształcie rozetek i pieczęci były nakładane farbą i wyłożone małymi kamyczkami. W końcu znalazł szukane miejsce i wskazał mi je. Tytuł brzmiał: „Ibbur“, „Brzemie duszy“. Olbrzymi złoto czerwony inicjał „J“ zajmował prawie połowę stronicy, którą pomimowoli przejrzałem; był na brzegu uszkodzony. Staralem się go naprawić. Inicjał ten nie był przyklejony do pergaminu, jak to dotychczas widywałem w starych książkach, składał się on raczej z dwóch cienkich złotych płytek, zlutowanych ze sobą w samym środku, a końcami zaczepionych o brzegi pergaminu. Czyżby to miejsce stronicy, na którym się znajdowała litera było przedziurawione? Gdyby tak było w rzeczywistości, to na drugiej stronie „J“ musiałoby być odwrócone. Przerzuciłem kartkę i moje przypuszczenie się nie sprawdziło. Pomimo woli przeczytałem tę i następną stronicę. I czytałem ciągle dalej a dalej. Książka mówiła do mnie, jak mówi sen, jaśniej tylko i wyraźniej. Poruszyła ona moje serce jakimś zagadnieniem.

Słowa płynęły z niewidzialnych ust, stawały się żywe i zbliżały się do mnie. Tańczyły i drgały przedemną, jak pstro ubrane niewolnice, pogrążały się potem w podłodze, lub znikwały jak lśniące tchnienia w powietrzu i ustępowały miejsca innym. Każda miała chwilkę nadziei, że zechcę ją wybrać, lecz na widok nowoprzybyłej, wyrzekała się swych nadziei. Niektóre, znajdujące się pod niemi, przychodziły świetne, jak pawie w mieniących się barw szatach, a kroki ich były powolne i odmierzane. Inne, jak przestarzałe i przeżyte królowe o farbowanych powiekach, o rysach twarzy prostytutki i zmarszczkach pokrytych wstrętną szminką. Patrzyłem na nie, jak się zjawiały i odchodziły, a wzrok mój ślizgał się po wydłużonych konturach szarych postaci o twarzach tak

pospolitych i bez wyrazu, że wyrycie się ich w pamięci było wykluczone.

Potem przywlokły naga kobietę, olbrzymią, jak spiżowy kolos. Jej rzęsy były tak długie, jak moje całe ciało; niemo wskazała na puls swej lewej ręki. Uderzał on, jak trzęsienie ziemi i miałem wrażenie, że w nim ześrodkowało się życie całego świata. Z oddali zbliżał się orszak korybantów. Mężczyzna i kobieta trzymali się w objęciach, widziałem ich zbliżających się z oddalenia, orszak zaś czynił wrzawę coraz bliżej. Teraz słuchałem rozlegającego się śpiewu bezładnie płaszącej przedemną gromady, a wzrok mój szukał zagubionej pary. Lecz ta przemieniła się w jedną jedyną postać, nawpół męską, nawpół kobiecą, — w Hermafrodytę, siedzącego na tronie z masy perłowej. Korona Hermafrodyty kończyła się deską z czerwonego drzewa; wewnątrz robak zniszczenia wygryzał tajemniczą cyfrę. W obłokach pyłu szybko się zbliżała, popędzana biczem trzoda małych, ślepych owiec: karmne zwierzęta, które prowadził w orszaku gigantyczny mieszaniec, miały przeznaczenie utrzymywać życie Korybantów.

Czasami niektóre postacie, wypływające z niewidzialnych ust, przybywały z grobów, z chustami przed obliczem. I stanąwszy przedemną, nagle zrzuciły okrycia i stęzałe, głodne, spoglądały krwiożerczym wzrokiem, skierowanym w me serce, aż lodowaty strach, wciskał mi się w sam mózg, a krew moja kipiała, jak potok, w który spadają z nieba odłamy skalne — nagle i w sam środek łożyska.

Jakaś kobieta unosiła się nademną w powietrzu. Nie widziałem jej twarzy, gdyż odwróciła się odemnie, a miała na sobie płaszcz z płynących łez. Maski tańczyły, śmiały się, nie dbając o mnie zupełnie. Tylko jakiś Pierrot obejrzał się uważnie — oczy utkwili we mnie i odskoczył. Wrósł w ziemię przedemną i spojrział mi w twarz jak gdyby w zwierciadło. Robił tak dziwne miny, podnosił i machał rękami, już to ociężałe, już to z błyskawiczną szybkością, że mojem jedynem nieprzepartem pragnieniem stało się nagle naśladować Pierrota, mrugać oczami jak on, poruszać łopatkami i wykrzywiać kątami ust jak on.

Wtedy odepchnęły go na bok niecierpliwie cisnące się postacie, które wszystkie chciały być przed moim wzrokiem. Lecz żadna z tych istot nie mogła się utrwalić. Są to oślizgłe perły nawleczone na jedwabny sznur, są to poszczególne tony jednej tylko melodji, które z niewidzialnych ust wypływają. Już nie była to książka, co przemawiała do mnie. Był to głos. Głos, który czegoś chciał odemnie, czegoś, czego nie mogłem uchwycić, choć nie wiem jak usiłowałem to zrobić. Głos dręczył mnie palącemi niezrozumiałymi pytaniami. Lecz głos, który te widzialne wypowiadał słowa, umarły był i bez echa. Każdy głos rozbrzmiewający w świecie rzeczywistości, odpowiada wielokrotnym echem, tak, jak każdy przedmiot ma jeden duży cień i wiele cieni małych, ten jednakże głos nie odpowiadał już żadnym echem, — dawno, dawno już się te echa rozwiały i przebrzmiały.

Przeczytałem książkę do końca i trzymałem ją jeszcze w rękach, a wówczas było mi tak, jak gdybym badawczo w mózgu własnym kartki przerzucał i to nie w jednej książce! — Wszystko, co mi ten głos powiedział, nosiłem w sobie odkąd żyję, lecz było to zapomniane i ukryte przed mą świadomością aż do dnia dzisiejszego.

Spojrzałem przed siebie. Gdzie się podział człowiek, który mi przyniósł książkę?

Czyżby wyszedł? Czy przyjdzie po nią, gdy będzie skończona? Może mam mu ją odnieść? Lecz nie mogę sobie przypomnieć, czyli mówił gdzie mieszka? Staralem się wywołać w pamięci jego zjawę, lecz mi się nie udało. Chociażby wiedzieć jak był ubrany? Czy był stary czy młody? Jakiego koloru były jego włosy, broda? Nie, nic zupełnie nie mogłem sobie wyobrazić. Wszystkie przedstawiające go obrazy, które sobie stworzyłem, rozplywały się bez zatrzymania, zanim byłem w stanie połączyć je w duchu. Zamknąłem oczy i opuściłem rękę na powieki, aby ułoić najdrobniejszą choćby cząstkę jego portretu. Nic, nic. Stałem pośrodku pokoju i spoglądałem na drzwi, tak, jak to zrobiłem przedtem, gdy człowiek ten wchodził i malowałem sobie całą rzecz: teraz skręca koło rogu, teraz stąpa po wyłożonej ceglami posadzce, teraz czyta na drzwiach moją tabliczkę: „Atanazy Pernat“, a teraz wchodzi. Daremnie. Nie mogłem wzbudzić najmniejszego śladu wspomnienia co do jego postaci. Zobaczyłem książkę, leżącą na stole i chciałem sobie wyobrazić w duchu rękę, która ją z kieszeni wyjmuje, by mi ją podać. Nie mogłem sobie uzmysłowić, czy na ręku była rękawiczka, czy też dłoń była obnażona, czy była młoda, czy pomarszczona, przystrojona pierścieniami, czy też nie.

Wtem wpadł mi szczególny pomysł. Był on jak natchnienie, któremu nie można było się oprzeć. Włożyłem kapelusz i przeszedłszy korytarz, zszedłem po schodach na dół. Potem powoli wróciłem znów do swego pokoju.

Powoli, zupełnie powoli, tak jak on, gdy wchodził do mnie. Otworzywszy drzwi spostrzegłem, że w pokoju był zmrok. Czyż nie promieniał jasny dzień, gdy przed chwilą wychodziłem? Jak długo musiałem marudzić, jeżeli nie zauważyłem, że teraz jest już tak późno?

Próbowałem naśladować nieznanego w ruchach i minach, lecz nie mogłem go sobie zupełnie przypomnieć. Jak jednakże miało mi się udać naśladowanie jego postaci, skoro nie miałem żadnego punktu oparcia do jego wyglądu?

Lecz rezultat był inny, zupełnie inny, niż przypuszczałem. Moja skóra, mięśnie, całe ciało przypomniały sobie nagle wszystko, nie zdradzając się przed mózgiem. One to wykonywały ruchy, których nie chciałem i nie

zamierzałem wykonywać. Jak gdyby moje członki nie należały więcej do mnie. W jednej chwili, gdy robiłem parę kroków po pokoju, chód mój stał się drepcący i cudzy. Określiłem, że to chód człowieka, który jest w ciągłej obawie, że upadnie. Tak, tak, tak, to był jego chód. Najdokładniej wiedziałem — to on. Miałem twarz obcą, bez zarostu, o wystających kościach policzkowych i spoglądałem ukośnymi oczami. Czułem to lecz nie mogłem się zobaczyć. Prerażony, że moja twarz nie jest moją, chciałem krzyknąć; następnie chciałem się dotknąć, lecz ręka nie poszła za rozkazem woli, jeno zanurzyła się w kieszeni i wyjęła książkę. Zupełnie tak, jak on to robił. Nagle siedzę znowu bez kapelusza i palta przy stole i to jestem ja. To ja, to ja! Atanazy Pernat. Trzęsły mną dreszcze i zgroza, serce szalało, jakby chciało wyskoczyć i czułem, że widmowe palce, ściskające dotychczas mój mózg, usunęły się odemnie. Tylko z tyłu głowy wyczuwałem jeszcze zimne ślady ich dotyku.

Teraz wiedziałem, jakim był nieznajomy, mógłbym go znowu w sobie wyczuć — w każdej chwili, gdybym zapragnął, lecz wywołać jego obraz tak, abym go widział przed sobą oko w oko, tego jeszcze nie potrafię i nigdy nie będę mógł zrobić. Poznałem, że on

jest jak negatyw, niewidoczna próżnia, o nieuchwytnych liniach, w którą muszę się sam wcisnąć, jeżeli chcę poznać jej kształt i istotę we własnym „ja“.

W szufladzie mego stolika stała żelazna kasetka — chciałem w niej zamknąć książkę i dopiero gdy stan choroby ducha ustąpi, chciałem ją wyjąć i podjąć poprawę złamanego inicjału „J“. Wziąłem książkę ze stołu. Czułem, jak gdybym nic nie trzymał; chwytam kasetkę — to samo — wrażenie, jak gdyby zmysł dotyku musiał odbywać długą, długą drogę pełną ciemności, zanim by co wpadło do mojej świadomości; jak gdyby to były rzeczy warstwami czasu mnogich lat oddalone odemnie i należące do przeszłości, co już dawno przeminęła.

Głos, który poszukiwał mnie, krążąc w mroku, aby mnie trafić kamieniem podobnym do słońcy, przeszedł koło mnie, ale mnie nie zauważył. Wiedziałem, że pochodzi on z krainy snów. Lecz to, co przeżyłem było rzeczywistością i czułem, że dlatego właśnie nie mógł mnie nie widzieć i szukał mnie napróżno.

P R A G A .

Koło mnie stał student Charousek, owijając kołnierz swego bardzo cienutkiego surduta i słyszałem jak mu z zimna zęby szczękały. Chłopiec ten może umrzeć — mówiłem sobie — w tym pełnym przeciągów, lodowatym łuku bramy — i prosiłem go aby wraz ze mną zaszedł do mego mieszkania. Lecz on mi odmówił.

„Dziękuję wam, mistrzu Pernat — mruknął chłodno, nie mam tyle wolnego czasu — muszę spieszyć do miasta“.

Gdybyśmy wyszli na ulicę, to po kilku krokach zmoklibyśmy do suchej nitki. Deszcz nie ustaje. Strumienie wody spływały z dachów po fasadach domów, jak potoki łez. Podniósłszy nieco głowę, mogłem tam na górze na czwartym piętrze widzieć swoje okno, deszczem schlapane, a wyglądające, jak gdyby jego szyby rozmiękły i stały się nieprzezroczyste i pogarbione, niby żelatyna. Żółtawy brudny strumień spływał ulicą i brama zapełniła się przechodniami, którzy chcieli przeczekać, póki niepogoda nie minie.

„Tam płynie bukiet ślubny“ — powiedział nagle Charousek — i wskazał na bukiet zwiędłych kwiatów, który się przybliżał, pędzony brudną falą. Na to ktoś roześmiał się głośno. — Odwróciwszy się, zobaczyłem, że był to stary, wytworknie ubrany pan o siwych włosach i nabrzmiałej, rozpuchłej twarzy. Charousek także spojrział w tył i mruknął coś do siebie.

Starzec miał w sobie coś nieprzyjemnego; odwróciłem uwagę od niego i przyglądałem się obdrapanym domom, które w moich oczach przykucnęły na deszczu, jak stare leniwe zwierzęta. Jak one wyglądały przykro i staro! Budowane bez zastanowienia, stały jak zielsko, co wydobywa się z ziemi. Dobudowano je, bez względu na otoczenie, do niskich żółtych murów kamiennych, jedynych resztek dawniejszego szeroko rozpostartego budynku z przed dwóch — trzech stuleci. Tam połowa pochylonego domu z zapadającym się frontem. Inny obok, wyższy ponad inne, jak ogromny kieł. Pod pochmurnym niebem wyglądały one, jak pogrążone we śnie i nie odgadłbyś chytrego, pełnego nienawiści życia, które czasami z nich wytryskało, gdy mgła jesiennych wieczorów zalega ulice i pomaga im ukryć swą cichą ledwo dostrzegalną grę twarzy. W czasie, gdy tu jeszcze mieszkam, utrwaliło się we mnie to wrażenie i nie mogłem się go pozbyć. Są pewne godziny w nocy i o rannym brzasku, gdy domy te w jakimś podnieceniu prowadzą milczące tajemnicze narady. I niekiedy zrywa się słabe drżenie poprzez ich ścianę, którego niepodobna wytłómaczyć, szmery płyną poprzez dachy i spadają w rynny deszczowe, — my zaś je przejmujemy niebacznie tępyimi zmysłami, nie śledząc ich przyczyny. Często roilo mi się, żem podpatrzył upiorne zachowanie się kamienic i dowiedziałem się z pełnym zgrozy podziwem, że one właśnie są utajonymi i

istotnymi panami ulicy, że już to tracą żywot i czucie, już to do życia powracają, a w ciągu dnia mieszkańcom, co się tu gnieźdzą, udzielają go w pożyczce, następnej zaś nocy z lichwiarskim procentem domagają się go powrotnie.

Wyobrażam sobie dziwnych ludzi, którzy mieszkają w tych domach niby schematy, niby istoty nie z matki urodzone — ludzie, którzy w myśleniu i działaniu zdają się być spojeni bez doboru, przeciągają przedemną jak duchy, i jestem skłonniejszy wierzyć, że takie sny tają w sobie ciemne prawdy, które na jawie tlą się we mnie, jako wrażenie z kolorowych baśni. Potem skrycie budzi się we mnie znów podanie o widmowym Golemie, owym sztucznym człowieku, którego niegdyś tutaj w mrokach ghetta pewien rabin, znawca kabały, utworzył z elementów i przywoływał go do automatycznego bezdusznego bytu, szepcąc przez zęby magiczne słowo liczebne. I jak ów Golem drętwiał natychmiast w posąg gliniany w chwili, gdy tajemniczą sylabę jego życia cofał swemi ustami zaklinacz: tak niewątpliwie sędzę, tracą swój byt duchowy wszyscy ci ludzie, skoro tylko w mózgu u jednego zagasło jakiegokolwiek nikłe wyobrażenie, podrzędna dążność, może zbyt częste przyzwyczajenie, u innego zaś tylko głuche oczekiwanie jakiejś rzeczy całkowicie niezrozumiałej i całkowicie pozbawionej treści. — Przytem co za nieustanne straszliwe zasadzki i podstępstwa w tych istotach! Nigdy nie widzi się tych ludzi przy pracy, jednak budzą się o pierwszym brzasku dnia i czekają z zapartym oddechem jak na ofiarę, na coś, co nigdy nie nadchodzi. Jeżeli istotnie kiedyś powstaje pozór, jakby ktoś wchodził w ich obręb, ktoś bezsilny, co to mogliby go opanować: wówczas spada na nich nagle paraliżujący strach, odpędza ich z powrotem do nor, tak iż drżąc odstupują od zamiaru. Nikt nie wydaje się dość słaby, by im odwagi starczyło dla opanowania jego niemocy.

„Zwyrodniałe, bezzębne, dzikie zwierzęta, którym odebrano siłę i oręż,“ powiedział Charousek powolnie i spojrzął się na mnie.

Jakim sposobem mógł on wiedzieć, o czym myślałem? Czasami tak mocno urabiamy swoje myśli, że one mogą, jak latające iskry, przeskoczyć w mózg stojącego w pobliżu.

„z czego oni mogą żyć?“ — spytałem po chwili.

„Żyć? z czego? — niejeden z nich jest milionerem.“

Spojrzałem na Charouska. Co on myślał, mówiąc te słowa? — ale student umilkł i spojrzął na obłoki. Na chwilę ustał szmer głosów w bramie i słychać było tylko syczenie deszczu. Co on chciał przez to powiedzieć: „Niejeden z nich jest milionerem.“ — Znów wydało się, jak gdyby Charousek odgadł moje myśli. Wskazał na sklep tandeciarza obok nas, gdzie woda opłukiwała rdzę żelaznych rupieci, tworząc brązowo-czerwone kałuże.

„Aron Wassertrum! Ten naprzykład — to milioner — prawie trzecia część żydowskiego miasta jest jego własnością. — Czy pan o tem nie wie, panie

Pernat?„

Wprost zatamował mi się oddech w piersiach.

Aron Wassertrum tandeciarz, Aron Wassertrum milioner?

„O, znam go dobrze — mówił dalej Charousek, jak gdyby tylko czekał, że go zapytam — znam też jego syna, Dr. Wassory. — Nigdy pan o nim nie słyszał? o doktorze Wassory — słynnym okuliście? — Przed rokiem jeszcze całe miasto mówiło o nim z zachwytem, jako o wielkim uczonym. — Nikt nie wiedział, że on zmienił nazwisko i przedtem nazywał się Wassertrum. Chętnie udawał on oderwanego od świata, człowieka nauki i kiedy raz była rozmowa o pochodzeniu, skromnie z głębokim wzruszeniem oświadczył półsłówkami, że ojciec jego pochodzi jeszcze z ghetta — a sam wybił się na światło trudem wszelkiego rodzaju i niewypowiedzianymi kłopotami. Czyim trudem i niewypowiedzianymi kłopotami, zapomocą jakich środków, tego jednak nie objaśnił. Ja przecież wiem jaki to ma związek z ghettem — Charousek ujął mnie za ramię i potrząsnął nim silnie — Mistrzu Pernat, jestem taki biedny, że sam zaledwie to pojmuję i muszę chodzić prawie nago, jak włóczęga, spójrz pan tutaj! A bądź jak bądź jestem studentem medycyny, jestem wykształconym człowiekiem. — Zerwał swoje zwierzchnie ubranie i zdumiony spostrzegłem, że student nie miał koszuli ani marynarki i nosił płaszcz na gołym ciele. — I byłem już taki biedny, kiedym te bestję, tego wszechmocnego, szanownego Dra Wassory doprowadził do upadku, a i dziś jeszcze nikt nie przypuszcza, że ja to, ja byłem właściwym sprawcą...

W mieście sądzą, że to był niejaki Dr. Savioli, który jego praktyki ujawnił i doprowadził go do samobójstwa. Dr. Savioli był jeno narzędziem w moich rękach! mówię panu. Ja sam wymyśliłem ten plan i zebrałem materiał, dostarczyłem dowodów, i cicho, niepostrzeżenie wyciągałem kamień po kamieniu z budowli d-ra Wassery'ego, aż cel osiągnąłem, kiedy żadne skarby świata, żadne podstępny ghetta nic już nie mogły poradzić, aby odwrócić klęskę, wymagającą tylko nieznacznego posunięcia. Wie pan, tak, tak jak się gra w szachy — zupełnie tak, jak się gra w szachy. I nikt nie wie, że to byłem ja! Tandeciarz Aron Wassertrum coś przeczuwa, bo nieraz sen mu odbiera jakieś groźne majaczenie, że do tej gry przyłożył rękę ktoś, kogo on nie zna, a który wciąż jest w jego pobliżu, którego jednak on uchwycić nie może — ktoś inny, nie dr. Savioli. Chociaż Wassertrum należy do tych, których oczy zdolne są mury przenikać, nie może jednak zrozumieć, że są umysły, które potrafią wyliczyć, jak poprzez takie mury można kłuć długimi niewidzialnymi, zatrutymi szpilkami, omijając krzemienie, złoto i szlachatne kruszcze, aby trafić w utajone tętno życia“.

I Charousek uderzył się w czoło i roześmiał się dziko.

„Aron Wassertrum wkrótce się o tem przekona, tego samego dnia, w którym

zechce powiesić Dra Saviolego! Ściśle tego samego dnia.

„Zapewniam pana, że kto grając ze mną dopuści do takiego gambitu z królem i laufrem, ten zawisnie w powietrzu, jak bezradna marjonetka na wątlej nici, nici którą ja pociągam, niech pan to zrozumie, którą ja pociągam i, która niema woli własnej.

Student mówił jak w gorączce — spojrzałem mu w oczy zdziwiony.

„Co panu zrobił Wassertrum i jego syn, że jesteś na nich tak zawzięty?

Charousek wzburzony odpowiedział:

„Nie mówmy o tem — lepiej niech pan zapyta, jak to dr. Wassory skręcił kark? — Albo może pan sobie życzy, abyśmy o tem pomówili kiedyindziej? Deszcz ustał. Może pan chce iść do domu?

Charousek zniżył głos, jak ktoś, co się nagle uspakaja. Potrząsałem głową.

„Słyszał pan kiedy, jak się leczy jaskrę (glaukoma)? Nie? — Muszę to panu wyjaśnić, żeby pan wszystko dokładnie zrozumiał, mistrzu Pernat.

„A więc słuchaj pan. Jaskra jest to złośliwa choroba we wnętrzu oka, która się kończy ślepotą i istnieje tylko jeden środek, aby zatrzymać postępy choroby, mianowicie tzw. iridektomia, która polega na tem, że z tęczówki oka usuwa się kęsek klinowaty. Nieuniknionym skutkiem tej eperacji są pewne bardzo przykre przejawy niedowidztwa, które pozostają na całe życie; proces ślepięcia jednakże najczęściej bywa powstrzymany.

„Z dyagnozą jaskry sprawa ta ma pewien swój szczególny związek.

„Mianowicie są okresy, zwłaszcza w początku choroby, gdy najostrzejsze symptomata pozornie zanikają i w takich wypadkach lekarz, choćby nie mógł znaleźć najmniejszego śladu choroby, nie powinien nigdy za pewnik uważać, że jego poprzednik, który był innego zdania, z konieczności się pomylił. Jeżeli jednak zastosowano iridektomię, która może być użytą zarówno przy chorem jak i przy zdrowem oku, wtedy niepodobna dowieść, czy jaskra rzeczywiście była czy też jej nie było.

„I oto, opierając się na takich i innych możliwościach, Dr. Wassory obmyślił plan straszliwy.

„Niezliczoną ilość razy — szczególnie u kobiet — gdy były niewinne zaburzenia w oku — on, świadomie konstatował jaskrę, aby tylko doszło do operacji, która mu nie sprawiała żadnego trudu, przynosiła zaś dużo pieniędzy.

„Nareszcie miał istotę zupełnie bezbronną w rękę; tu do ograbienia nie trzeba było nawet śladu odwagi.

„Widzisz, mistrzu Pernat, to było zwyrodniałe drapieżne zwierzę, znajdujące się w takich warunkach, w których nawet bez broni i siły, mogło rozszarpać swoją ofiarę.

„Nie ryzykując nic! Nawet najmniejszej stawki — pojmujesz pan?

„Dzięki licznym błahym rozprawkom w zawodowych pismach lekarskich dr.

Wassory wyrobił sobie imię znakomitego specjalisty i nawet swoim kolegom, zbyt szczerym i przyzwoitym, by go przeniknąć, potrafił oczy piaskiem zasypać i zaimponować nauką.

„Naturalnym wynikiem tego rozgłosu były tłumy pacjentów, którzy u niego szukali pomocy.

„Gdy przychodził kto ze słabymi zaburzeniami wzroku i dał się zbadać, wtedy dr. Wassory przystępował do dzieła z chytrze obmyślanym planem.

„Z początku prowadził zwykle badanie chorego, lecz aby później mieć na wszelki wypadek wyjaśnienie, zręcznie notował tylko te odpowiedzi, które miały związek z jaskrą.

„I ostrożnie sondował, czy już przedtem nie była postawiona diagnoza.

„W ciągu rozmowy dawał do zrozumienia, że dostał nagle wezwanie z zagranicy w ważnej naukowej sprawie i z tego powodu musi już jutro wyjechać.

„Prześwietlając oko promieniami elektryczności, którą przy tem stosował, umyślnie sprawiał choremu ból niesłychany.

„Wszystko z rozmysłem! Wszystko celowo!

„Po zbadaniu, gdy pacjent trwożliwie pytał, czy jest powód do obawy, wtedy Wassory wykonywał pierwsze posunięcie szachowe.

„Siadał naprzeciw chorego, czekał chwile a potem dobitnie i wyraźnie wypowiadał takie słowa: Ślepotą obu oczu — nieunikniona w najbliższym czasie.

„Scena, która z natury rzeczy wynikała, była okropna. Często ludzie mdleli, płakali, krzyczeli, w rozpaczy rzucali się na ziemię. Stracić wzrok — to znaczy stracić wszystko. I gdy nastąpiła chwila odpowiednia, gdy badana ofiara, obejmując kolana d-ra Wassory, pytając błagalnie, czy na tym bożym świecie nie znajdzie się dla niej ratunku, wtedy krwiożerczy zwierz, wykonywa drugie posunięcie szachowe — i sam niby to staje się bogiem, który w mocy swej miał ocalenie.

„Wszystko, wszystko na świecie jest jak gra w szachy, mistrzu Pernat.

„Jedyne, co mogłoby tu pomóc — mówił po namyśle doktor Wassory — to natychmiastowa operacja — i z pożądliwą próżnością, która się w nim nagle budziła, długo i szeroko opisywał taki lub inny wypadek, który z wypadkiem obecnym ma bardzo wielkie podobieństwo; opowiadał, ilu to chorych jemu jedynie zawdzięcza ocalenie wzroku i t. p.

„Rozkoszował się formalnie myślą, że może być uważany za istotę wyższą, w której ręku złożone jest ocalenie i zagłada bliźnich.

„Lecz bezbronna ofiara siedziała przed nim z sercem pełnym palących zapytań, z czołem perlącym się od potu i trwogi, nie miała odwagi ani na chwilę przerwać mu mowę, z obawy, aby go nie rozgniewać, jego, jedyne, co mu zdołała dopomóc.

„Dr. Wassory zaś zamykał rozmowę słowami, że do tej operacji mógłby przystąpić dopiero po kilku miesiącach, gdy wróci z podróży.

„Miejmy nadzieję — mówił — gdyż w takich wypadkach zawsze się powinno spodziewać najlepszego — miejmy nadzieję, że wtedy nie będzie jeszcze zapóźno.

„Naturalnie chory wówczas zrywał się zawsze przerażony — i tłumaczył, że pod żadnym warunkiem, ani jednego dnia, nie chce czekać dłużej — i błagalnie prosił o wskazówkę, czy jaki inny okulista w mieście nie mógłby wykonać operacji.

„Wtedy nadchodziła chwila, kiedy dr. Wassory zadawał rozstrzygający cios.

„Kroczył po pokoju w głębokiej zadumie, jakby zgryziony marszczył czoło — i zakłopotany szeptał, że wdanie się innego lekarza ze względu na konieczność prześwietlania elektrycznością jest niepożądane, gdyż chory sam chyba wie jakie to bolesne; powtórne użycie tych oślepiających promieni — pociągnęłoby za sobą jak najfatalniejsze skutki. —

„Inny lekarz, pominąwszy to, że niektórym właśnie brak wprawy koniecznej do iridektomji, musiałby na nowo oczy badać — i dopiero po upływie pewnego czasu, gdy nerwy wzrokowe odpoczną, przystąpić do operacji chirurgicznej.

Charausek zacisnął pięści.

„W szachach nazywamy to „ruchem musowym“, drogi mistrzu Pernat! — Co następowało potem — były to ciągle ruchy musowe — jeden po drugim.

„Nawpół przytomny z rozpaczy pacjent zaklinał d-ra Wassory, aby go wybawił, aby na jeden dzień podróż odłożył i sam wykonał operację. Chodziło tu więcej niż o rychłą śmierć; chodziło tu o straszną męczącą obawę, że każdej chwili możesz oślepnąć, co jest gorsze ponad wszystko.

„I im bardziej potwór narzekał i ubolewał, że odłożyć podróż, to narazić się na nieobliczone szkody, tem większe sumy dobrowolnie składali mu chorzy.

„Gdy w końcu suma wydawała się d-rowi Wassory dostateczną, ustępował — i jeszcze tego samego dnia, zanim by jakiś wypadek mógł jego plan odkryć zaszczeptał zdrowym oczom nieuleczalne cierpienie, bezustanną trwogę oślepienia, która zamieniała życie w torturę; ślady jednakże tego łotrostwa były na zawsze zatarte.

„Dzięki takim operacjom zdrowych oczu d-r Wassory nie tylko powiększał swoją sławę niezrównanego lekarza, któremu za każdym razem udało się wstrzymać grożącą ślepotę, lecz jednocześnie zaspakajał swoją bezmierną chciwość i składał daninę swej próżności, gdy nieświadome na ciele i majątku pokrzywdzone ofiary uważały go i ceniły jako swego zbawcę.

„Tylko człowiek który wszystkimi nerwami tkwił w Ghetto i w jego niezliczonych niedostrzegalnych a jednak nie pokonanych środkach i zasobach;

który się od dzieciństwa uczył czatować w zasadzce jak pająk; który znał każdego człowieka w mieście i przejrzał każdego we wszystkich stosunkach i warunkach życiowych — tylko taki — „półjasnowidzący“ — jak go możemy nazwać — mógł przez długie lata popełniać tego rodzaju ohydy.

„I gdyby nie ja, to do dzisiaj prowadził by on jeszcze swoje rzemiosło, praktykował by je do późnej starości i w końcu jako szanowany patryarcha, w kole swych drogich, wciąż powszechną otoczony — używałby schyłku żywota, — aż by w końcu zdechł jak pies.

„Lecz ja również wyrosłem w Ghetto, moja krew również nasiąkla atmosferą piekielnej chytrości i dlatego mogłem go doprowadzić do upadku, tajemniczo tak jak siły niewidzialne gubią tych, których chcą zgubić. Rzekłbyś z jasnego nieba piorun w niego uderzył.

„Dr. Savioli, młody lekarz niemiecki, miał tę zasługę, że go zdemaskował; ja to wysunąłem dra Savioli na zewnątrz; sam zaś gromadziłem dowód za dowodem, aż nastał dzień, w którym władza państwowa nałożyła rękę na drze Wassorym.

„Wtedy zwierz popełnił samobójstwo. Błogosławiona to chwila!

„Jakgdyby mój sobowtór stanął przy nim i prowadził jego rękę, aby życie sobie odebrał z tej flaszeczki amylnitrytu, którą naumyślnie zostawiłem w jego gabinecie przy sposobności, gdy pewnego razu celowo sam go doprowadziłem do tego, że i mnie postawił fałszywą djagnozę jaskry: przyczem szczerze i gorąco życzyłem mu, aby ten amylnitryt zadał mu cios ostateczny.

„W mieście mówiono, że umarł na paraliż mózgu. W istocie amylnitryt zabija jak paraliż mózgu. Lecz pogłoska ta długo utrzymać się nie mogła.

Charousek skamieniał nagle i ustał nieruchomy, jakgdyby się zagłębił w jakiś problemat: potem spojrział w kierunku tandeciarni Wassertruma.

„Teraz — szeptał — on jest sam, zupełnie sam, ze swoją chciwością ze swoją lalką woskową!

Serce mi uderzało jak młotem.

Ze zgrozą spoglądałem na Charouska. Czy miał pomieszanie zmysłów? Gorączka mu widocznie podsuwa takie fantastyczne opowieści.

Naturalnie, naturalnie. Wszystko to on wymyślił, uroił sobie, wyśnił.

Nie mogą być prawdą te okropne rzeczy, jakie mówił o okuliście. To suchotnik: gorączka śmierci mózg jego trawi.

Chciałem go uspokoić jakimś żartobliwym słowem i myśli jego skierować na weselsze tory.

Nagle, zanim znalazłem odpowiednie słowo, błyskawicznie przypomniałem

sobie twarz Wassertruma z rozciętą górną wargą tak jak wtedy, gdy przez otwarte drzwi spoglądał do mego pokoju okrągłemi, rybiemi oczyma.

Dr. Savioli! dr. Savioli! — tak, tak się nazywał ów młody człowiek, o którym mi poufnie szepnął jasełkarz Zwak, jako o znakomitym lokatorze, który od niego wynajął pracownię.

Dr. Savioli! Jak krzyk nurtowało we mnie to imię. Szereg mglistych obrazów przesuwiał się przed moją myślą, prześcigał się w strasznych domysłach, które na mnie runęły jak burza.

Chciałem rozpytać Charouska, pełny lęku wszystko mu opowiedzieć, czego wtedy doznałem: gdy naraz, widzę, że studenta opanował gwałtowny atak kaszlu, który go niemal wywracał. Mogłem tylko zauważyć, jak to on, z trudem opierając się rękami, dreptał w deszcz — i na odhodnem pobieżnie skinął mi głową.

Tak, tak, czuję, on ma słuszność. Nie majaczy w gorączce; nieujęte widmo zbrodni czai się tu w tych ulicach we dnie i w nocy i pragnie się ucieleścić.

Zawisło w powietrzu, a my go nie dostrzegamy. Nagle wpada w którą z ludzkich dusz — nikt z nas tego nie przeczuwa. A kiedy w końcu zdążymy to pojąć — widmo traci swoją postać i wszystko jest po dawnemu. I tylko niewyraźne szmery, niewyraźne słowa o jakimś okropnem zdarzeniu dochodzą do nas.

W jednym momencie zrozumiałem te zagadkowe stworzenia, które mieszkały naokoło mnie; bez woli własnej wloką się one przez byt, ożywione jakimś niewidzialnym prądem magnetycznym — co tak przez ich istotę przepływa — jak przedtem bukiet ślubny płynął po strugach brudnego ścieku.

Zdało mi się nagle, że wszystkie domy spoglądały na mnie podstępem obliczem, pełne bezimiennej złośliwości; wrota były jak czarne szeroko rozwarte gęby, w których język wygnił do cna; wielkie paszcze, które każdej chwili mogły wyrzucić przeraźliwy krzyk, tak przeraźliwy i pełny nienawiści, że zatrwożył by nas wskroś po sam rdzeń duszy.

Cóż to na zakończenie mówił mi student o tandeciarzu? — Szeptem powtarzałem sobie jego słowa: — „Aron Wassertrum jest obecnie sam na sam ze swoją chciwością i swoją lalką woskową.

Cóż on rozumiał pod tą „lalką woskową“?

To musi być przenośnia, uspakajalem się, jedna z tych chorobliwych metafora, które Charousek lubi wywoływać podziw, których się nie rozumie, a które później, gdy niespodzianie staną się przejrzyste, tak głęboko mogą uderzyć naszą myśl, jak przedmioty niezwyčajnej formy, na które nagle padł jaskrawy promień światła.

Odetchnąłem głęboko, aby się uspokoić i odepchnąć straszne wrażenie, jakie sprawiła na mnie opowieść Charouska.

Spojrzałem uważniej na ludzi, którzy wraz ze mną czekali w sieni domu: teraz stał przy mnie gruby starzec, ten sam, który przed tem śmiał się tak odrażająco.

Miał na sobie czarny płaszcz i czarne rękawiczki. Nieruchomo nabrzmiałem okiem spoglądał na bramę przeciwległego domu.

Jego gładko wygolona twarz o pospolitych rysach drgała z podniecenia.

Mimowoli spojrzałem w tym samym kierunku i spostrzegłem, że jego wzrok jak oczarowany spoczywa na rudowłosej Rozynie, która stała na przeciwnej stronie ulicy ze swoim niezmiennym uśmiechem na ustach.

Starzec próbował dawać jej znaki. Widziałem, że Rozyna doskonale to zauważyła, ale zachowywała się, jak gdyby nic nie rozumiejąc.

Wreszcie starzec nie wytrzymał. Przebrnął na palcach na drugą stronę ulicy, ze śmieszną elastycznością przeskoczył kałużę — niby duża czarna piłka kauczukowa.

Zdaje się, że go tu w okolicy znano, gdyż usłyszałem ze wszęch stron uwagi, dotyczące jego osoby. Stojący tuż za mną jakiś włóczęga z czerwoną wełnianą chustką na szyi, w niebieskiej furazerce wojskowej, z cygarem Virginia za uchem — robił ustami jakieś szydercze miny, których nie rozumiałem.

Zrozumiałem tylko, że w żydowskim mieście — nazywali starego „wolnym mularzem“, a w ich gwarze to przezwisko oznaczało kogoś, co poszukiwał dziewcząt małoletnich, ale dzięki serdecznym stosunkom z policją zabezpieczony był od wszelkiej nieprzyjemności.

Później twarz Rozyny i postać starca zniknęły w mrokach sieni.

P O N C Z .

Otworzyliśmy okno, żeby wypuścić dym tytoniowy z mego małego pokoju.

Zimny wiatr nocny wionął do środka i poruszył płaszcze tak, że się z lekka zaczęły kołysać.

„Szanowna ozdoba głowy Prokopa najchętniej by się stąd gdzie wyniosła — powiedział Zwak i wskazał na wielki kapelusz muzyka: szerokie rondo kapelusza poruszało się jak czarne skrzydła.

Jozue Prokop wesoło mrugnął powiekami.

„Wyniosła by się — rzekł — najchętniej by się wyniosła.

„Poleciałaby do Loisiczka na muzykę taneczną — zabrał głos Vrieslander.

Prokop zaczął się śmiać i ręką jął uderzać w takt do wtóru dźwiękom, które fala zimowego powietrza unosiła poprzez dachy.

Potem zdjął ze ściany moją starą połamaną gitarę; udawał, że dotyka rozpękniętych strun i zaśpiewał skrzeczącym falsetem i przeciągłym akcentem dziwną śpiewkę w gwarze złodziejskiej.

„An Bein — del von Ei sen recht alt

„An Stran — zen net gar a so kalt

„Messinung, a' Raucherl und Rohn

„und immerrr nurrr putzen

„Jak on wspaniale i prędko nauczył się mowy złodziejskiej!“ i Vrieslander roześmiał się głośno i zanucił:

„Und stock — en sich Aufzug und Pfiff

„Und schmallen an eisernes G'suff.

„Juch,

„Und Handschuhkren, Harom net san

„Tę osobliwą śpiewkę co wieczór grzechoce u Loisiczka myszugen Neftali Szafranek z zielonym daszkiem, a wyszminkowana kobieta gra na harmonice i mruży tekst — objaśnił mnie Zwak. Musisz też kiedy iść z nami do tego szynku, mistrzu Pernat! Może później, kiedy skończymy poncz. Jak pan sądzi? Dla uczczenia dzisiejszego dnia pańskich urodzin.

„Tak jest. Chodź pan z nami później — rzekł Prokop — i zamknął okno. Trzeba to zobaczyć.

Potem wypiliśmy gorący poncz i oddaliśmy się swoim myślom.

Vrieslander wycinał jakąś marjonetkę.

„Jozue — przerwał ciszę Zwak — wyście nas formalnie odcięli od świata

zewnątrznego! Od chwili, gdyście zamknęli okno — nikt ani słowem się nie odezwał.

„Myślałem właśnie, gdy tu przed chwilą nasze palta zaczęły się kołysać, jakie to dziwne, że wiatr porusza rzeczy martwe! szybko odpowiedział Prokop, jakby chciał usprawiedliwić swe milczenie. Jest to zdumiewające, gdy nagle zaczynają się trzepotać przedmioty, które zazwyczaj leżą bez życia. Nie prawdaż? Widziałem kiedyś, jak na pustym podwórku wielkie strzępy papieru — choć nie czułem wcale wiatru, gdyż stałem osłonięty domem — goniły się w kółko z wściekłością i ścigały się wzajemnie, jakby sobie śmierć zaprzysięgły. Chwile później zdawały się uspokojone, gdy naraz napadła je znowu szalona zawziętość i z uporem bezmyślnym razem w kął się wcisnęły, na nowo się rozprysły i w końcu zniknęły za rogiem. Tylko jakaś gruba gazeta nie mogła podążyć za nimi; została na chodniku, podnosiła się i opadała bezdarnie, jakby jej tchu zabrakło i z trudem chwytiała powietrze. Wówczas przyszło mi do głowy mroczne podejrzenie: cóż, jeżeli w końcu nasze życie niczem innym nie jest, jak takim strzępkim papieru? Czy to nie jaki niewidzialny, nieuchwytny wiatr pomiata nami w tę i ową stronę — i nadaje kierunek naszym czynom, gdy nam roi się w zaślepieniu, że idziemy za naszą własną wolną wolą? Cóż, jeżeli nasze życie niczem więcej nie jest, jak zagadkowym wiatrem wirowym, wiatrem, o którym Biblia mówi: wieszli skąd on przybywa i dokąd idzie? Czyż nie śni się nam czasem, że stoimy w głębokiej wodzie i łowimy srebrne ryby, a nic innego się nie stało, prąd zimnego powietrza musnął nasze ręce?

„Prokopie, mówicie słowami Pernata. Cóż to się z wami dzieje? pytał Zwak i nieufnie spojrzał na muzyka.

„Historja o księdze Ibbur, którą przedtem mistrz nam opowiadał — szkoda, żeście przyszli tak późno, i żeście jej nie słyszeli! — ta historja jakby echem w nim przemawia“ — powiedział Vrieslander.

„Historja o księdze?

„Właściwie historja o człowieku, który przyniósł książkę i wyglądał dziwnie. — Pernat nie wie jak się ten człowiek nazywa, gdzie mieszka, czego chciał, a chociaż jego postać musi być bardzo uderzająca — nie da się jednak żadną miarą określić dokładnie.

Zwak przysłuchiwał się rozmowie.

„To jest godne zastanowienia — rzekł po chwili. Czy obcy nie był czasem gołobrody i czy nie miał oczu skośnych, zezowatych?

„Zdaje się — odpowiedziałem — to jest ja tak wiem to na pewno. Więc go znacie?

Jasełkarz głową potrząsnął: „On mi tylko kogoś przypomina... To jakby „Golem“.

Malarz Vrieslander opuścił nożyk swój na ziemię.

„Golem? Już tak wiele o nim słyszałem. Czy wiecie coś o Golemie, Zwak?

„Któż może powiedzieć, że coś wie o Golemie? odpowiedział Zwak i wzruszył ramionami. Zaliczają go do dziedziny baśni, aż pewnego dnia zdarza się coś, co nagle znów powołuje go do życia. I długo jeszcze potem każdy o nim mówi i fama rozrasta się do potworności. Mówią, że początek tej historii sięga aż wielki wieku. Podług dawno zaginionych opowieści, pewien rabin kabalista miał sporządzić sztucznego człowieka — tak zwanego Golema — który, jako posługacz pomagał mu dzwonić w synagodze i wykonywał różne cięższe roboty.

Lecz z tej operacji nie powstał bynajmniej prawdziwy człowiek, ożywiała go tylko ślepa, napółświadoma dusza wegetacyjna. Jak mówią nadto, działo się to tylko za dnia i dzięki wpływom magnetycznej kartki, zatkniętej za zębami — wyzwalalo astralne siły bytu.

I gdy pewnego wieczoru po modlitwie rabin zapomniał z ust Golema wyjąć pieczęć, ten wpadł w szał, w ciemnościach wybiegł przez ulice i rozbijał, co mu stanęło po drodze.

Aż w końcu rabin wybiegł naprzeciw niego i czarodziejską kartkę zniszczył. Wtedy ów stwór runął bez życia. Nic nie zostało po nim, prócz karłowatej figurki glinianej, którą dziś jeszcze pokazują w starej synagodze. —

„Ten sam rabin — dodał Prokop — „wezwany był przez cesarza do Burgu, aby wywołać cienie umarłych i uczynić je widzialnymi. Dzisiejsi badacze twierdzą, że posługiwał się latarnią magiczną.

„Tak, żadne wyjaśnienie nie jest dość średniowieczne, jeżeli u współczesnych nie znajdzie poklasku“ — pewny siebie rzecze Zwak. — „Jak gdyby cesarz Rudolf, który całe życie zajmował się takimi rzeczami, nie przejrzał natychmiast takiego kuglarstwa! Właściwie nie wiem, skąd pochodzi baśń o Golemie, ale to wiem, że owo coś, co umrzeć nie może, istnieje i że jego istnienie związane jest z tą dzielnicą. — Z pokolenia w pokolenie mieszkali tu moi przodkowie, lecz nikt nie zna tyłu, co ja — rzeczywistych i zasłyszanych wspomnień o periodycznych zjawach Golema.

Zwak nagle zamilkł i razem z nim czułeś, jak jego myśli cofały się wstecz ku czasom zamierzchłym i ubiegłym.

Gdy z podniesioną głową siedział przy drzwiach, a w blasku światła lampy jego czerwone młodzieńcze policzki odcinały się dziwnie od siwych włosów, mimowoli porównywałem jego twarz z maseczkami jego kukielek, które mi pokazywał tak często. Dziwne, jak ten starzec był do nich podobny. Ten sam wyraz i ten sam owal twarzy.

Są na świecie rzeczy, które nie mogą się wyzwolić same od siebie. I rozpatrując losy Zwaka, uważałem za rzecz niesłychaną, żeby człowiek taki jak on, który otrzymał wychowanie lepsze niż jego przodkowie i który mógł być

doskonałym aktorem powrócił nagle do brudnego pudła marionetek, aby włóczyć się po jarmarkach i wykonywać lalkami niezręczne ukłony, przedstawiając senne przygody tych lalek, które jeszcze jego przodkom były źródłem zarobkowania.

Rozumiałem, że nie był w stanie rozstać się z nimi; żył ich życiem, a gdy się od nich oddalał, zamieniały się one w jego myśli, zamieszkiwały w jego mózgu i nie dawały mu spokoju, póki nie powrócił. Dlatego też kochał je i dumnie ubierał w błyskotki.

„Zwak, nie opowiesz nam nic więcej? zagadnął Prokop starca — i pytająco spojrzął na Vrieslandera i na mnie, czy nie podzielamy jego życzenia.

„Niewiem od czego zacząć — odparł z wahaniem Zwak, — od czego zacząć? Historję Golema trudno ułożyć. Jak wam Pernat mówił, nie wiadomo dokładnie, jak ten nieznajomy wyglądał i nie podobna go określić. Mniej więcej co lat 33 powtarza się pewne zdarzenie na naszych ulicach, które, choć nie ma w sobie nic osobliwego, wywołuje zdumienie. Zdarzenie to wymaga pewnych objaśnień i uzupełnień. Mianowicie bywa tak, że zupełnie obcy człowiek, bez zarostu, o żółtym kolorze twarzy na podobieństwo rasy mongolskiej, staromodnie ubrany, wychodzi z ulicy Staroszkolnej, przechodzi przez dzielnicę żydowską — idąc miarowym dziwnie utykającym krokiem, jakby każdej chwili miał upaść przed siebie — i nagle — znika bez śladu. Zazwyczaj skręca w pewną ulicę — i tam przepada. Czasami trafia się, że ruchem swoich kroków opisuje koło i powraca do punktu z którego wyszedł, do starego domu w pobliżu synagogi. Ten i ów wzburzony zapewnia, że go widział na rogu, jak szedł na przeciwko, a jednak choć najwyraźniej widział go na przeciwko, jego postać rozplywa się w oddali, zmniejsza się coraz bardziej, a w końcu znika zupełnie.

Przed 66 laty wrażenie, jakie obudził, było szczególnie głębokie, gdyż przypominam sobie — byłem wtedy zupełnie małym chłopcem — przeszukiwano dom na Staroszkolnej od góry do dołu. Stwierdzono, że istnieje rzeczywiście w tym domu pokój o oknach okratowanych, do którego niemasz żadnego wejścia. We wszystkich oknach zawieszono bieliznę, żeby z ulicy można było odrazu rzecz ocenić — i tym sposobem natrafiono na ślad rzeczywisty.

Nic więcej nie uzyskano. Pewien człowiek, chcąc zajrzeć do środka, spuścił się z dachu na linie. Zaledwie jednak zbliżył się do okna, lina się zerwała i nieszczęsny rozbił czaszkę o chodnik uliczny. Później, gdy badanie ponawiano, spoglądano w okno z pewnej odległości.

Ja sam spotkałem Golema blisko przed 33 laty. Wyszedł z tak zwanego domu przechodniego naprzeciw mnie tak, że szliśmy prawie tuż obok siebie. — Jeszcze dzisiaj nie mogę pojąć, co wtedy działo się we mnie. Każdy spodziewał się z dnia na dzień spotkać Golema. Lecz w danej chwili, napewno —

najpewniej, zanim go ujrzałem — zabrzmiał we mnie jakiś krzyk: Golem! I w tej samej chwili wynurzył się ktoś z ciemności bramy — i ów nieznamy przeszedł koło mnie. W mgnieniu oka później wpadła na mnie fala bladych, podnieconych postaci, która zasypała mnie pytaniami, czy go widziałem. Gdym odpowiedział na pytania, spostrzegłem, że język mój, którego przed tem nie czułem, uwolnił się od kurczu. Byłem formalnie zdumiony, że mogę się poruszać i najwyraźniej uświadomiłem sobie, że w przeciągu jednego uderzenia serca znajdowałem się jakby w letargu.

Wiele i często myślałem o tem i zdaje mi się, że będę najbliższy prawdy, jeżeli powiem: zawsze w życiu pokolenia raz jeden przebiega błyskawiczna epidemia duchowa w dzielnicy żydowskiej, napada umysły żyjących w jakimś nieokreślonym celu, który dla nas na zawsze zostaje ukryty — i jak widziadło przybiera kontury jakiejś charakterystycznej istoty, która zapewne żyła tu przed wiekami i pragnie się ucieleśnić. Być może jest ona między nami, ale my nie uważamy jej za rzeczywistą. Podobnie nie słyszymy dźwięku drgającego kamertonu, o ile nie dotkniemy nim kawałka drzewa, co je pobudza również do drgania. Być może jest to tylko coś niby psychiczny wytwór sztuki bez immanentnej świadomości — wytwór sztuki, który powstaje tak jak kryształ wyłania się z bezkształtności podług pewnego starego prawa. — Któż to wie?

„Jak w parne dni do najwyższego stopnia rośnie napięcie elektryczności, aż w końcu wywołuje błyskawice: czyż nie mogło być tak samo, że z nagromadzonych tu i nigdy nie zmieniających się myśli, które w Ghetto zatruwają powietrze, również następuje gwałtowne, nagłe ich wyładowanie, eksplozja psychiczna, która naszą senną świadomość na światło dzienne niby biczem pędzi — tworząc tam błyskawicę naturalną — tu zaś widmo, które w wyrazie twarzy, ruchu i zachowaniu nieomylnie objawić się musi we wszystkich razem i w każdym z osobna, jako symbol duszy tłumu, o ile jesteśmy w stanie dokładnie rozumieć tajemniczą mowę form zewnętrznych.

„I jak niektóre zjawiska zapowiadają uderzenie piorunu — tak i tu pewne groźne wróżby świadczą o blizkiem zejściu tego widma do królestwa rzeczywistości. Kęs opadniętego starego muru przybiera postać krocącego człowieka, a w szronie na oknach tworzą się rysy stężałych twarzy. Piasek z dachu zdaje się spadać inaczej niż zwykle — i w nieufnym przechodniu budzi się podejrzenie, że jakaś niewidzialna inteligencja, która w obawie światła kryje się tajemnie, rzuca go na ziemię, próbując w sposób nieokreślony urobić zeń wszelkiego rodzaju postacie, wyłaniające się ku bytowi. Gdy oko spocznie na jedностajnej zmarszczce lub nierówności skóry, opanowuje nas zdolność by wszędzie dostrzegać dziwne kształty, które w naszych rojeniach urastają do rozmiarów olbrzymich. I wciąż poprzez te schematyczne zakusy nagromadzonych myśli, które mają przeciągać skroś codzienności, niby

czerwona nie płynie bolesna pewność, że nasza najbardziej wewnętrzna treść umyślnie a wbrew naszej woli bywa tu wysysana, aby z niej postać widma mogła być uplastyczniona.

„Skorom usłyszał zapewnienie Pernata, że był u niego człowiek bez zarostu, o skośnych oczach: nutychmiast stanął w mojej myśli „Golem“, tak jak go widziałam wówczas. Stanął przedemną jak gdyby wyrósł z ziemi. Na chwilę ogarnęła mnie głucha trwoga, że blisko mnie znajduje się coś niewytłumaczonego; taka sama trwoga, jaką raz przeżyłem już w swoich latach dziecięcych, gdy pierwsze groźne zapowiedzi, że Golem się zbliża, rzucały swe cienie.

„Jest temu lat 66 i sprawa ta wiąże się z wieczorem, kiedy narzeczony mojej siostry przyszedł do nas w odwiedziny i kiedy miano oznaczyć dzień ślubu.

„Żartem lano wtedy ołów. Ja stałem z rozdziawionymi ustami — i nie rozumiałem istoty tej zabawy. W bujnej swej wyobraźni dziecinnej łączyłem to z Golemem, o którym często słyszałem od swego dziadka. Wyobrażałem też sobie że każdej chwili drzwi się muszą otworzyć i nieznajomy wejdzie. Siostra moja wylała z łyżki płynny metal w naczynie z wodą i roześmiała się wesoło, widząc moje wzruszenie. Zwiędła drżącą ręką dziadek mój wyjął ołowianą figurę i trzymał ją pod światło. Nagle powstało ogólne zdumienie. Rozmawiano głośno między sobą. Chciałem się do nich docisnąć, ale mnie odsunięto.

„Później, gdy byłem starszy, powiedział mi mój ojciec, że roztopiony ołów przybrał formę małej, bardzo wyraźnej głowy — równej i okrągłej, jak gdyby ulanej w sztancy — a tak podobnej z rysów do Golema, że wszyscy byli w podziwie.

„Często rozmawiałem o tem z archiwistą Szemajahem Hillelem, który przechowuje rzeczy starej synagogi i ma pewną figurę z czasów cesarza Rudolfa. Jest on doskonałym znawcą Kabały i sądzi, że owa bryłka gliniana o niby ludzkich członkach jest to nic innego, jak jakaś dawna wróżba podobnie jak w moim wypadku ołowiana głowa. Nieznajomy który zniknął, musiał to być obraz fantazji lub myśli; obraz ten ów rabin średniowieczny, pierwszy pomyślał żywym, zanim go zdołał przyodziać materją — a teraz w prawidłowych odstępach czasu, w tymże samym astrologicznym układzie gwiazd, w jakim powstał — obraz ten, widmo raczej, powraca, udręczone pragnieniem życia materialnego.

„Także zmarła żona Hillela widziała Golema oko w oko i czuła, że jest niby w letargu póty, póki ta zagadkowa postać znajduje się w pobliżu Miała — powiada — niezłomne przekonanie, że kiedyś mogła to być jej własna dusza, która — na chwilę ciało jej opuściwszy — stanęła na przeciw niej i zesztyniała z rysami obcej istoty na twarzy. Mimo straszne przerażenie, które ją wówczas opanowało, na sekundę jednak nie straciła świadomości, że ów obcy może być

tylko częścią jej własnej duszy“.

„To nie do wiary“ — szepnął zagłębiony w myślach Prokop.

Malarz Vrieslander był także zaszperany w głębokim rozważaniu tej tajemnicy.

Wówczas zapukano do drzwi. Weszła stara kobieta, która mi wieczorem przynosi wodę i wogóle to co mi potrzebne; postawiła gliniany dzbanek na podłodze i wyszła w milczeniu.

Wszyscy nagle spojrzeliśmy dokoła, rozglądając się po pokoju — niby przebudzeni ze snu, ale przez długi czas jeszcze nikt nie przemówił ani słowa.

Jakby jakiś nowy wpływ wślizgnął się wraz ze starą we drzwi, wpływ, do którego wpierv trzeba się było przyzwyczać.

„Ale! Ta ruda Rozyna — to jest także twarz której niepodobna się pozbyć — a która ci nieustannie wygląda z każdego rogu i z każdego kąta“ — powiedział nagle Zwak bez żadnego związku z tem, o czym była mowa. Ten stężyły, wyszczerzony uśmiech znam już niemal cały wiek ludzki. Naprzód babka, potem matka! I zawsze ta sama twarz, i nigdy innych rysów. I zawsze to samo imię Rozyna; zawsze jedna jest zmartwychwstaniem drugiej,

„Czy Rozyna nie jest córką tandeciarza Arona Wassertruma? zapytałem.

„Tak mówią“ — odparł Zwak — „ale Aron Wassertrum miał synów i córki, o których nic nie wiadomo. Także co do matki Rozyny nic nie wiadomo: nie wiadomo kto był jej ojcem — i również co się z nią stało. W piętnastym roku życia urodziła dziecko i odtąd już się nie pokazała. Jej zniknięcie wiąże się z zabójstwem, które, o ile sobie przypominam, miało miejsce w tym domu. —

„Jak dziś jej córka, zawracała ona wtedy głowy niedorosłym chłopcom. Jeden z nich żyje jeszcze, — widuję go często, — ale imię jego wyszło mi z pamięci. Pozostali wkrótce umarli, i myślę że ona ich wszystkich przedwcześnie powiodła do grobu. Z tego czasu przypominam sobie tylko krótkie epizody, które przesuwiają się w mojej pamięci, jak blade obrazy.

Był wtedy nawpół zidyociały człowiek, który nocami chodził od szynku do szynku i wycinał za parę centów gościom sylwetki z czarnego papieru. I gdy go kto upił, człowiek ten wpadał w niewypowiedziany smutek, i wśród łez i łkań, nie słuchając wycinał zawsze ten sam ostry dziewczęcy profil, a zużywał na to cały zapas papieru.

Nakoniec muszę dodać, o czym dawno zapomniałem, że za dziecinnych lat kochał się on w niejkiej Rozynie, zapewne w babce dzisiejszej Rozyny, i że przez to stracił rozum. Policzywszy lata, sędzę, że nie mógł to być nikt inny, tylko babka Rozyny.“

Zwak umilkł i w tył się przechylił.

„Przeznaczenie w tym domu błądzi do koła i powraca zawsze do tego samego punktu — przyszło mi do głowy — i wstrętny obraz, który niegdyś widziałem — kota z okaleczoną połową mózgu, a który wciąż kręcił się w koło — stanął mi przed oczyma.

„Teraz będzie Golem“, usłyszałem nagle malarza Vruslanda który mówił dobitnym głosem.

Wyjął okrągły kawałek drzewa i zaczął go wycinać. Ciężkie zmęczenie padło mi na oczy, i odsunąłem swój fotel ze światła w głąb pokoju.

Woda na poncz wrzała w kociołku, a Jozue Prokop napełnił znów szklanki.

Cicho, zupełnie cicho zabrzmiały przez zamknięte okna dźwięki tanecznej muzyki; — niekiedy głuchły zupełnie, potem znów się budziły, jak gdyby wiatr je gubił po drodze lub z ulicy do nas donosił.

Po chwili spytał mnie muzyk, czy nie chcę się trącić szklankami.

Nie odpowiedziałem jednak, — tak zupełnie odeszła mnie wola ruchu, że nawet otworzenie ust leżało poza nią. Zdawało mi się, że śpię, tak opanowała mnie konieczna cisza wewnętrzna. I aby mieć świadomość, że nie śpię, musiałem patrzeć wciąż na błyskający nóż Vrieslandera, który bez przerwy wycinał z drzewa drobne wzorki.

W oddali szemrał głos Zwaka, który znowu opowiadał najróżniejsze cudowne historie o marjonetkach i nadzwyczajne baśnie, które wymyślał dla swoich lalek.

Była również mowa o doktorze Savioli i o znakomitej damie, żonie jakiegoś szlachcica, która skrycie odwiedzała D-ra Savioli w tajemniczej pracowni.

I znowu zobaczyłem w myśli szyderską tryumfującą minę Arona Wassertruma.

Rozważyłem, że nie warto zadawać sobie trudu, aby podzielić się ze Zwakiem tym, co się wtedy działo. Chociaż wiedziałem, że wola mi odmówi, pragnąłem jednak teraz spróbować przemówić.

Nagle wszyscy trzej siedzący przy stole spojrzeli uważnie na mnie i Prokop powiedział zupełnie głośno: „On zasnął!“ — tak głośno, że brzmiało to prawie, jak gdyby się pytał.

Rozmawiali dalej przytłumionym głosem i poznałem, że mówią o mnie. Nóż Vreslandera tańczył tu i owdzie chwycił światło lampy, a odbite promienie raziły mnie w oczy. Padło słowo jak: „Zwarjować“ — przysłuchiwałem się rozmowie, prowadzonej w tym kółku.

Tematów takich, jak o „Golemie“ nie należy poruszać przy Pernacie — powiedział z wymówką Jozue Prokop, — „gdy opowiadał o książce ibbur, zamilkliśmy i nie pytali więcej. Ręczę, że mu się to wszystko tylko śniło.

Zwak potwierdził: „Macie zupełną słuszność. Doznajesz wrażenia, jakbyś

chciał przekroczyć, ze światłem, zapyłony pokój o ścianach i suficie obciążniętych spróchniałym sukniem i podłodze pokrytej na wysokość stopy suchym próchnem przeszłości; przy najdelikatniejszym dotknięciu wnet płomień wybucha ze wszystkich kątów.

„Czy Pernat był długo w szpitalu warjatów? Szkoda go, może mieć zaledwie czterdzieści lat“ — powiedział Vrieslander.

„Tego nie wiem i nie mam pojęcia, skąd on może pochodzić i jaki dawniej był jego zawód. Z postaci przypomina szlachcica starofrancuskiego, dzięki swojej wysmukłej postaci i ostrej brodzie. Przed wielu, wielu laty prosił mnie jeden stary doktor, abym się nim trochę zajął i wyszukał mu małe mieszkanie tutaj w tych ulicach, gdzieby nikt go nie śledził i niepokoił go pytaniami o przeszłych czasach“. Zwak znów spojrział na mnie. „Od tego czasu mieszka tu, reperuje antyki, wycina kamee i tym zapewnia sobie trochę egzystencji. To szczęście dla niego, że zapomniał o wszystkim, co ma związek z jego pomieszaniem zmysłów. Nie pytajcie się go przypadkiem nigdy o rzeczy, które mogłyby w jego pamięci wywołać przeszłość, jak to często mi tłumaczył stary doktor. Mówił mi zawsze: „Wiecie, Zwak, mamy pewną metodę; mógłbym powiedzieć, że zamurowaliśmy z trudem jego chorobę, tak, jak odgradza się miejsca nieszczęścia, gdyż z nimi wiąże się smutne wspomnienie“.

Słowa jasełkarza uderzyły mnie, jak rzeźnik bezbronne zwierzę i uciskały mi serce brutalnymi groźnymi rękami.

Zaczął mnie niegdyś nękać głuchy ból — poczucie, jak gdyby mi coś odebrano i jak gdybym, przebywszy w swem życiu długą drogę, jak lunatyk zleciał w przepaść.

I nigdy nie udało mi się wyjaśnić przyczyny.

Rozwiązanie zagadki leżało teraz przedemną ! piekło mnie nieznośnie, jak otwarta rana. Za jednym razem znalazłem okropne wyjaśnienie, skąd się wziął mój chorobliwy wstręt do wspomniania przeszłości, skąd pochodzi osobliwy, co pewien czas powracający sen, że jestem zamknięty w dziwnym domu, gdzie są izby, z których wyjść niepodobna; dlaczego wreszcie pamięć moja odmawia mi wspomnień o dniach mojej młodości.

Miałem pomieszanie zmysłów. Zastosowano do mnie hypnotyzm, zamknięto „izbę“, która się łączy z komórkami mego mózgu i stałem się bezdomny wśród otaczającego mnie życia. I niemasz nadziei na odzyskanie straconej pamięci.

Sprężyny moich czynów i myśli spoczywają w innym zapomnianym bycie. Pojąłem, że nigdy ich nie poznam: jestem ściętą rośliną, gałązką powstałą z obcego korzenia.

Gdyby mi się udało przemódz wejście do tej zamkniętej izby, czy nie wpadłbym wtenczas w ręce upiorów, które tam wpędzono?

Historja o Golemie, którą Zwak opowiadał przed godziną przeszła mi przez

myśl i nagle spostrzegłem ogromny pełen tajemniczości związek między tą okratowaną izbą bez wyjścia, w której nieznajomy miał mieszkać, a moim wiele znaczącym snem.

Tak, i w tym wypadku, gdym próbował spojrzeć przez zakratowane okno swej duszy, zerwał się sznur, na którym chciałem wspiąć się ku górze. Ten dziwny związek stawał mi się coraz wyraźniejszy i przybierał zarysy czegoś nieopisanie straszego.

Czułem to: istnieją rzeczy nieuchwytnie, powiązane ze sobą i biegnące koło siebie, jak ślepe konie, które nigdy się nie dowiedzą, dokąd prowadzi droga.

To samo w Ghetto: izba, miejsce, którego wejścia nikt nie może odkryć — jakaś tajemnicza istota, która w niej mieszka i drepce czasami po ulicach, aby między ludźmi siać przerażenie i trwogę.

Vrieslander wciąż wycinał głowę, a drzewo trzeszczało pod ostrzem nożyka. Słyszając to, odczuwałem prawie ból i spoglądałem czy prędko będzie koniec. Gdy głowa w ręku malarza zwracała się w tę i ową stronę, doznawałeś wrażenia, jak gdyby miała świadomość i śledziła po wszystkich kątach. Potem oczy jej spoczęły długo na mnie zadowolone, że nareszcie mnie znalazły. Również i ja nie byłem w stanie odwrócić mego wzroku i spoglądałem nieruchomie na drewniane oblicze.

Zdawało się, iż nóż malarza szuka czegoś ze złością, potem stanowczo wyciął jedną linję i rysy drewnianej głowy nabrały nagle straszego życia.

Poznałem obcą twarz. Była to twarz nieznajomego, który mi przyniósł książkę. Potem nie mogłem nic więcej rozróżnić; widok trwał tylko sekundę, czułem, że serce przestaje mi bić, trzepocze się trwożliwie.

Jednak tak, jak wówczas miałem świadomość tej twarzy.

Ja to sam się nią stałem i leżałem na kolanach Vrieslandera i patrzyłem dokoła. Oczy moje wędrowały po pokoju, a jakaś obca ręka poruszała moją czaszką.

Potem naraz zobaczyłem wzburzoną twarz Zwaka i usłyszałem jego słowa: „Na miłość Boską — to Golem!”

Powstała krótka walka i chciano siłą wyrwać Vrieslanderowi rzeźbę, lecz ten się bronił i wołał ze śmiechem: „Czego wy chcecie — to jest zupełnie, ale to zupełnie nieudane“. Obrócił się, otworzył okno i wyrzucił głowę na ulicę. Wtedy straciłem przytomność i pogrążyłem się w ogromną ciemność, poprzez którą snuły się złote nici, i gdy po długim, długim, jak sądzę, czasie obudziłem się, usłyszałem przedewszystkiem dźwięk spadającego na chodnik drzewa.

„Tak pan twardo spał, że nie zauważył, jak go trząśliśmy — powiedział mi Jozue Prokop — ponczu już niema, wszystko pan popsuł; — gorący ból tego, co przedtem słyszałem, opanował mnie znowu i chciałem wołać, że nie śniło mi się wcale to com opowiadał, o książce Ibbur, chciałem wyjąć ją z kasetki i pokazać

ją kolegom.

Ale te myśli nie mogły dojść do słowa i powstrzymać ogólnego nastroju, jaki porwał moich gości.

Zwak otulił mnie siłą w palto i zawołał: „Mistrzu Pernat! chodź z nami do Loisiczka, to ożywi siły pańskiego ducha!

Przypisy

- 1. i** Piosenka w gwarze złodziejskiej prasko-niemieckiej nie nadaje się do przekładu. Podajemy ją w oryginale.

N O C .

Bezwiednie pozwoliłem Zwakowi sprowadzić się ze schodów.

Coraz wyraźniej — czułem zaapch mgły, wciskającej się z ulicy do domu.

Jozue Prokop i Vrieslander szli o parę kroków przed nami i słychać było, jak rozmawiali przed bramą na ulicy.

„Musiał wpaść do ścieku — niech go djabli wezmą“.

Wyszliśmy na ulicę i zobaczyłem, jak nachylony Prokop szukał marjonetki.

„Ciesz się mnie, że nie możesz znaleźć tej głupiej głowy“ — mruknął Vrieslander. Stał przy murze, a gdy wciągał ogień z zapałki do swej krótkiej fajki, twarz jego w małych odstępach czasu świeciła rażąco i znów gasła. Prokop zrobił mocny ruch ręką, nakazując milczenie, pochylił się jeszcze bardziej, ukląkł prawie na chodniku.

„Cicho, nic nie słyszycie?“ Podeszliśmy ku niemu, wskazał gestem ściek kanałowy i przyłożył rękę do ucha, przysłuchując się uważnie. Chwilę staliśmy nieruchomo i nasłuchiwalismy nad otworem.

Nic.

„Co to było?“ — szepnął wreszcie stary jasełkarz, ale Prokop ujął go natychmiast za łokieć. Przez chwilę trwającą, tyle co uderzenie serca, zdawało mi się, że na dole jakaś ręka stuka w płytę żelazną, zaledwie dosłyszalnie. Gdy w chwilę później zdałem sobie z tego sprawę, wszystko minęło; tylko w piersi mej trwało to dalej, jak echo wspomnienia i zamieniło się powoli w nieokreślone uczucie strachu. Kroki przechodzących przez ulicę rozwiały to wrażenie.

„Idźmy, po co tu stoimy“ — zauważył Vrieslander — szliśmy wzdłuż szeregu domów. Prokop szedł niechętnie — „Dałbym szyję, że pod nami ktoś krzyczał w śmiertelnej trwodze“. — Nikt z nas mu nie odpowiedział, lecz czułem, że coś, jak cicha posępna trwoga trzymała nasze języki w kajdanach.

W krotce stanęliśmy przed zasłoniętym czerwonym oknem szynku:

Salon Loisiczek.

„Dzisiaj wielgi kohnzert“

Było napisane na papierowym transparencie, którego brzeg pokrywały wyblakłe fotografie jakichś dziewcząt. Zanim Zwak położył rękę na kłamec, drzwi otworzyły się od wewnątrz, i krępy drab z rozwichrzonym czarnym włosiem bez kołnierzyka, z gołą szyją owiniętą zielonym jedwabnym krawatem i w frakowej kamizelce, zdobnej pękiem świńskich kłów, przyjął nas ukłonami.

„To mi są goście — panie Szafranek, prędko stół,“ — rzucił, plecami zwrócony do lokalu, przepełnionego ludźmi, równocześnie zwracając się do nas

z przyjemnym ukłonem.

Brzęczący szum, jak gdyby szmer co przebiegł przez klawiaturę, był odpowiedzią na te słowa.

„No, no — to mi goście, to mi goście, patrzcie no“! — mruzczał wciąż krępy chłop do siebie, pomagając nam zdejmować palta. „Tak, tak dziś u mnie zebrała się cała wysoka szlachta wiejska“ — odpowiedział tryumfalnie na zdziwioną minę Vrieslandera, ukazując wewnątrz, na pewnego rodzaju estradzie, oddzielonej od przedniej części szynku poręczą i dwustopniowymi schodkami, dwóch eleganckich panów w wieczorowych ubraniach.

Obłoki gryzącego dymu tytoniowego unosiły się nad stołami, za którymi przy ścianach długie drewniane ławki były wypełnione obszarpanymi postaciami. prostytutki z przedmieść, nieuczesane, brudne, bose, o dużych piersiach, zaledwie osłoniętych jaskrawymi chustkami, obok sutenerzy w niebieskich wojskowych czapkach, z papierosem za uchem, handlarze bydła z obrośniętymi pięściami i ociężałymi palcami, w których każdym poruszeniu tkwił niemy język podłości, zwolnieni kelnerzy o beczelnych oczach, dziobaci subjekci w kratkowanych spodniach.

„Aby panom nikt nie przeszkadzał, postawię wam parawan hiszpański“ zakrakał tubalnym głosem niezgrabiasz i przed stołem, przy którym siedzieliśmy, opuścił ruchomą ścianę oklejoną kołem małych tańczących chinek. Skrzypiące dźwięki harfy, gwar w pokoju, sekunda rytmicznej pauzy, śmiertelna cisza, jak gdyby wszyscy wstrzymali oddech.

Po chwili ciszy w szklankach piwa ogniste gorące pręty żelazne — zasyczały parując — poczem muzyka wzięła górę nad szmerem i pochłonęła go w całości. Jak gdyby nagle powstały, wynurzyły się przed moim wzrokiem z obłoków dymu tytoniowego dwie dziwne postacie. —

Z długą falującą białą brodą proroka, w czarnej, jedwabnej mycy na łysinie, jak to nosili starzy żydowscy ojcowie rodzin, ze ślepymi oczami, mętnie i szklisto zwróconymi ku powale, siedział starzec, poruszał bezdźwięcznie wargami, uderzał suchymi palcami, jakby tępymi szponami w struny harfy.

Obok niego, w otłuszczonej, czarnej kitajce, z błyskotkami na szyi i ramionach, symbol obłudnej moralności mieszczańskiej, zgrzybiała postać kobieca z rozciągliwą harmonijką na kolanach.

Dziki chaos dźwięków wyływał z instrumentów poczem uderzyła melodia, osłabiona samym akompaniamentem. Starzec parę razy zaczerpnął powietrza i rozwarł tak szeroko usta, że widać było czarne pieńki zębów. Wolno wylaniał się z jego piersi dziki bas o specjalnie hebrajskim akcencie gardłowym.

O-krą-głą, niebieską gwiazdę.“

„Rititi“ (pisnęła przeraźliwie postać kobieca i natychmiast złożyła gderliwe wargi, jak gdyby powiedziała za dużo)

„Okrągłą, niebieską gwiazdę,
Rogalik lubię również“

„Rititit“

Czerwoną
brodę, Zieloną
brodę Wszelaką
gwiazdę —

„Rititit, rititit“

Pary wystąpiły do tańca.

„To jest pieśń o „Borchu z Chomca“ — objaśnił nam, śmiejąc się jasełkarz i uderzał cicho takt cynową łyżką, która w szczególny sposób była przyczepioną do stołu łańcuszkiem. —

„Przed stoma, albo więcej laty dwaj piekarze Czerwona broda i Zielona broda wieczorem w dzień „Szabbes Hagodel“ zatruli chleb w kształcie gwiazdek i rogaków, aby wywołać masową śmierć w dzielnicy żydowskiej; lecz „Meszores“ — służący gminny — wpadł na to zawczasu, ostrzeżony przez Boga i oddał obydwu przestępców w ręce policji. Na pamiątkę cudownego ocalenia od śmiertelnego niebezpieczeństwa „Landonim“ i „Bocherlech“ ułożyli tę dziwną pieśń, którą teraz słyszymy, jako kadryla z lupanaru.

„Rititit, rititit“

„Okrągła niebieska gwiazda“ coraz głębiej i fantastycznej brzmiało szczenie starca.

Nagle melodia ucichła i przeszła w rytm czeskiego „Szłapaka“ — posuwistego tańca, w którym pary przyciskają nawzajem spocone policzki.

„Dobrze! Brawo! Ty tam, łap, hop!“

Krzyknął harfiarzom z estrady wysmukły młodzieniec we fraku z monoklem w oku, sięgnął do kieszeni od kamizelki i rzucił w ich kierunku srebrną monetę. Nie trafiła do celu: jeszcze zobaczyłem, jak błysnęła, między tańczącymi; tam nagle zniknęła. Jakiś włóczęga, — twarz jego wydała mi się znajomą, myślę, że to był ten sam, który podczas deszczowej ulewy stał obok Charouska — wyciągnął rękę, którą dotychczas trzymał spokojnie, poza chustką swej tancerki, — z małą zręcznością, nie opuszczając ani jednego taktu muzyki, pochwycił monetę w powietrzu i skarb znalazł się w jego ręce.

Żaden muskuł nie drgnął w twarzach wyrostków, tylko dwie, trzy pary w pobliżu roześmiały się cicho. „Zapewnie ktoś z „Bataljonu“, sądząc ze zręczności“ — powiedział, śmiejąc się Zwak.

„Mistrz Pernath zapewne nigdy nie słyszał nic o „Bataljonie“ — rzucił dziwnie pospiesznie Vrieslander i mrugnął na jasełkarza, tak żebym ja tego nie spostrzegł.

Zrozumiałem zupełnie dobrze: było tak jak przedtem w moim pokoju — uważali mnie za chorego i chcieli mnie rozweselić.

I Zwak miał coś opowiedzieć.

Gdy dobry stary patrzył na mnie tak litościwie, gorąco wstrząsnęło to mną aż po serce.

Gdyby wiedział, jak mnie bolało jego współczucie!

Nie dosłyszałem pierwszych słów, od których Zwak rozpoczął opowiadanie, — wiem tylko, tak mi jakoś było, jakby krew powoli wypływała ze mnie. Było mi coraz zimniej i nieruchomiałem, jak wówczas, gdy jako drewniana głowa leżałem na kolanach Vrieslandera.

Potem nagle wpadłem w środek opowiadania, które mi dziwnie duszę otulało, jak

martwa część jakiejś szkolnej książki.

Zwak zaczął:

„Opowiadanie o uczonym prawniku D-rze Hulbercie i jego bataljonie.“ No, co mam wam powiedzieć: twarz miał pełną brodawek i krzywe nogi, jak jamnik.

Jeszcze jako młodzieniec, nic nie znał poza nauką.

Z tego, co męcząco zarabiał udzielaniem lekcji, musiał jeszcze utrzymywać chorą matkę. Myślę że tylko z książek wiedział, jak wyglądają zielone łąki, gaje oraz pagórki pokryte kwiatami i lasy.

Sami wiecie, jak mało promieni słonecznych pada na ciemne uliczki Pragi.

Doktoraty zdał z odznaczeniem: to się rozumie samo przez się. — No, i z czasem został sławnym jurystą. Tak sławnym, że wszyscy — sędziowie, notariusze, starzy adwokaci — przychodzili do niego po światło, gdy czego nie wiedzieli. Przytem żył ubogo jak żebrak na poddaszu, którego okno wyglądało na podwórze.

Tak szły lata za latami. Rozgłos doktora Hulberta, jako gwiazdy w swej nauce stawał się przysłowiowy w całym kraju. Nikt nie przypuszczał, aby człowiek taki jak on mógł być przystępny tkliwym, uczuciom serca, zwłaszcza, że jego włos już zaczynały siwieć. Nikt nie przypuszczał, aby dr. Hulbert mógł myśleć i mówić o czem innym niż o Pandektach. A właśnie w takich zamkniętych sercach kwitnie najgoręcej tęsknota. Owego dnia, gdy dr. Hulbert cel osiągnął, cel który mu za czasów studenckich wydawał się najwyższy: mianowicie kiedy Najjaśniejszy Pan cesarz wiedeński nadał mu tytuł: *Re cor magnificus* naszego uniwersytetu, podawano sobie z ust do ust, że Hulbert się ożenił z młodą prześliczną panną z zupełnie biednej ale szlachetnej rodziny.

I rzeczywiście zdawało się, że szczęście nawiedziło d-ra Hulberta. Chociaż jego małżeństwo było bezdzietne, to jednak nosił on swoją młodą żonę na rękach — i największą jego radością było spełniać każde życzenie, jakie mógł wyczytać z jej oczu.

W szczęściu swoim nie zapomniał jednak bynajmniej, jak to wielu innym

się trafia, o cierpiących bliźnich. — „Bóg — miał raz powiedzieć Hulbert — zaspokoił moją tęsknotę; pozwolił mi urzeczywistnić senne marzenie, które jak promień świeciło mi od dzieciństwa; dał mi za żonę najlepszą istotę na ziemi. I chcę, żeby odblask tego szczęścia, o ile to leży w moich siłach — spłynął też na innych.“

I w końcu przy sposobności zaopiekował cię pewnym biednym studentem, niby rodzonym synem.

Pomyślał sobie, jakby podobny dobry czyn był dla niego samego zbawczy — niegdyś — za dni jego pełnej trosk młodości.

Lecz ponieważ na ziemi nieraz czyny mające wszelki pozór dobroci i szlachetności — prowadzą za sobą skutki, godne tylko przekleństwa, gdyż nie potrafimy dobrze rozróżnić tego, co nosi w sobie nasiona jadowite od tego co uzdrowia: stało się również i tutaj, że z pełnego litości dzieła d-ra Hulberta powstała dla niego gorzka krzywda. Młoda, żona wkrótce rozgorzała skrytą miłością do studenta a nielitościwy los chciał, że gdy Rektor raz, niespodzianie wrócił do domu, aby jej na dowód miłości zrobić przyjemność i ofiarować bukiet róż, jako dar imieninowy: zastał ją w ramionach tego, któremu tyle dobrodziejstw wyświadczył. Mówią, że błękitna niezapominajka może stracić na zawsze swój kolor, gdy nagle padnie na nią płowe siarczane światło błyskawicy, zwiastujące burzę gradową; nic dziwnego, że dusza starego męża oślepla na zawsze w dniu, w którym jego szczęście rozbiło się na szczęty. —

Tego samego jeszcze wieczoru siedział on, on który dotychczas nie wiedział, co to jest nadużycie siedział, mówię, tutaj — u „Loisiczka“ — prawie nieprzytomny od trunków — aż od świtu. „Loisiczek“ stał mu się domem do końca jego zrujnowanego życia. Latem sypiał gdziekolwiek na rusztowaniach nowobudujących się domów, zimą tutaj na drewnianych ławach. —

Tytuł profesora i doktora obojga praw dyskretnie mu pozostawiono. Nikt nie miał odwagi powiedzieć jemu, niegdyś jednemu z najznakomitszych uczonych, że jego sposób życia sieje zgorszenie.

Powoli gromadził się koło niego motłoch, stroniący od światła, pędzący życie w dzielnicy żydowskiej — i w ten sposób powstała ta osobliwa grupa, która jeszcze do dzisiejszego dnia zowie się „bataljonem“.

Znajomość prawa, którą dr. Hulbert szerzył teraz w owem kole, stała się oparciem dla wszystkich, którym policja zbyt surowo zaglądała w ręce.

Gdy jakiś świeżo wypuszczony więzień był w niedostatku, kazał mu dr. Hulbert iść zupełnie nago na Rynek Staromiejski i urząd na t. zw. Ławicy Rybiej zmuszony był obdarzyć go ubraniem.

Gdy jakaś bez określonego zajęcia dziewczucha miała być wypędzoną z miasta — natychmiast z porady mistrza wychodziła za męża za jakiego włóczęgę, który należał do okręgu — i wskutek tego stawała się stałą mieszkanką miasta.

Setki takich wykrętów znał Hulbert, a wobec jego rad policja była bezbroną. — Wszystko, co te wyrzutki społeczeństwa „zapracowały“ — oddawały stale co do halerja i centa do kasy wspólnej — co szło na najpilniejsze potrzeby. Nikt nie pozwoliłby tu sobie na najmniejszą choćby nieuczciwość.

Być może, że z powodu tej żelaznej dyscypliny powstała nazwa „bataljon“.

Ściśle, pierwszego Grudnia — w rocznicę nieszczęścia, które spotkało starca, odbywała się w nocy u Loisiczka oryginalna uroczystość. Głowa przy głowie stali tutaj stłoczeni koło siebie: żebracy, włóczęgi, alfonsi, bazarki, pijanice i próżniacy — i panowała cisza, jak w czasie nabożeństwa.

Wtedy dr. Hulbert opowiadał im z tego kąta' w którym teraz siedzi oboje muzykantów, tuż pod potretem Jego Cesarskiej Mości — Historję swego życia: jak się przebij ał przez nędzę aż cel osiągnął, j ak to później stał się zeń R e c t o r magnificus i t. d. Gdy zaś dochodził do miejsca, kiedy z bukietem róż wszedł do pokoju swej młodej żony — aby uczcić dzień jej urodzin oraz pamięć tej godziny, w której ostatecznie ją pozyskał i w której stała się jego ukochaną żoną: wtedy za każdym razem głos odmawiał mu posłuszeństwa i równocześnie z płaczem gwałtownym głowę opuszczał na stół. Zdarzało się wtedy czasami, że jakaś ladacznica, wstydliwie i pokryjomu, kładła mu w rękę — aby nikt tego dostrzec nie mógł — na pół zwiędły kwiatek. —

Długi czas jeszcze nikt ze słuchaczy się nie poruszał. Ludzie ci są twardzi do płakania, ale oczy spuszczaali ku ziemi i niepewnie kręcili palcami.

Pewnego ranka znaleziono d-ra Hulberta martwym na ławce nad rzeką Wełtawą. — Zdaje się, że zmarł.

Widzę jeszcze dzisiaj jego pogrzeb przed sobą. Bataljon czynił co mógł, aby wszystko wypadło z największą paradą.

Na czele szedł pedel uniwersytecki w szacie uroczystej: na ręku nosił czerwoną poduszkę ze złotym łańcuchem na niej a za karawanem w nieprzerwanym szeregu „batalion“ bosi, brudny, w łachmanach i w poszarpanym przyodziewku. Jeden z nich posprzedawał wszystkie swoje resztki — i obwinał sobie ciało, nogi i ręce kawałkami starych gazet.

Tak mu ostatni hołd złożyli:

Na grobie jego, na cmentarzu, stoi dziś biały głaz, na którym wyryte trzy figury: zbawiciel ukrzyżowany między dwoma łotrami. — Nieznana ręka postawiła ten pomnik, Jak przypuszczają — żona nieboszczyka.

Jednak w testamencie zmarłego uczonego prawnika — przewidziany był legat na zasadzie którego każdy z „bataljonu“ w południe otrzymuje u „Loisiczka“ bezpłatną zupę; dla tego celu wiszą tu przy stole łyżki na łańcuchu — a wydrążone na powierzchni stołu małe niecki zastępują talerze. O godzinie dwunastej przychodzi kelnerka z wielką blaszaną sikawką, rozlewa zupę w

niecki — a jeżeli kto nie może dowieść, że należy do „batalionu“ — z powrotem szprycą zabiera zupę.

O tym stole szeroko po całym świecie rozchodziły się wieści, jako o rzeczy nadzwyczaj zabawnej.

Wrażenie hałasu w lokalu obudziło mnie z letargu. Ostatnie słowa, które mówił Zwak, przewiały jakoś ponad moją świadomością. Widziałem jeszcze, jak poruszał ręce, by pokazać sikawkę, co wylewa i wsiąka płyn, poczem obrazy jęły się przed moimi oczami rozwijać tak szybko i automatycznie, a jednak z taką upiorną wyrazistością — że chwilami zapomniałem zupełnie o sobie i zdawało mi się że jestem kółkiem w jakimś żyjącym zegarze.

Cała izba wyglądała, jak jeden kłęb ludzkich istot. W górze na estradzie: tuziny panów w czarnych frakach. Białe mankiety, świecące pierścienie. Dragoński mundur z szamerunkiem. W głębi kapelusz damski ze strusiem i piórami barwy łososiowej.

Po przez sztachety poręczy — jak młody byczek — patrzył swoją wykrzywioną gębą — Lois. — Spojrzałem: zaledwie mógł się trzymać prosto. I Jaromir był w pobliżu i spoglądał niewzruszony w salę — oparłszy grzbiet ściśle o ścianę boczną, jakby go przytłoczyła jakaś niewidzialna ręka. Postacie nagle zatrzymały się w tańcu: gospodarz musiał im coś krzyknąć, co je przeraziło. Muzyka grała jeszcze, ale ciszej, nie dowierzała już sama sobie. Drżała. Czuleś to wyraźnie. A jednak był na twarzy gospodarza wyraz zdradzieckiej dzikiej radości.

U drzwi wchodowych nagle ukazał się komisarz policji w mundurze. Ramiona rozpostarł, co znaczyło, że nie wypuszcza nikogo. Za nim podoficer policji kryminalnej.

— A więc tutaj tańczą? Pomimo zakazu? Zamykam tę szpelunkę. Chodź ze mną, gospodarzu! A wszyscy, którzy tu są, marsz na policję!“

Brzmi to jak komenda.

Kwadratowy gospodarz nic nie odpowiada, ale zdradliwie szyderczy małpi grymas na jego twarzy pozostał dalej.

Tylko jakby zdrętwiał.

Harmonika urwała swą grę i tylko poświstuje chwilami.

I harfa wciąga w siebie swoje dźwięki. Naraz wszystkie twarze ukazują się w profilu: pełne jakiegoś oczekiwania wszystkie się gapią w estradę.

I oto idzie jakaś dostojna czarna postać, która zstąpiła z paru stopni estrady — i kroczy powoli wprost do komisarza.

Oczy podoficera policji kryminalnej zawisły jak zakłęte na powolnie stąpających czarnych lakierowanych bucikach.

Kawaler o jeden krok zatrzymał się przed komisarzem — i znudzonym

wzrokiem przygląda mu się od stóp do głów i od głów do stóp.

Inni młodzi panicze ze szlachty na estradzie przechylili się przez barjerę i pokrywają śmiech jedwabnymi chusteczkami.

Rotmistrz dragonów kładzie sztukę monety w oko — i dziewczynie, która stoi pod nim koło estrady, wyziewa dym swego cygara w jasne warkocze.

Komisarz policji zarumienił się i przy sposobności dokładnie się przygląda perle na koszuli arystokraty; nie jest w stanie znieść obojętnego, pozbawionego blasku spojrzenia tej gładko wygolonej nieruchomej twarzy z orlim nosem.

Wytrąca go ze spokoju. Wali nim o ziemię.

Grobowe milczenie w zakładzie staje się coraz bardziej dręczące.

„Tak wyglądają posągi rycerzy, co z rękami na krzyż leżą na kamiennych grobach w kościołach gotyckich“ — szepcze malarz Vrieslander, spoglądając na kawalera.

Wkońcu arystokrata przerywa milczenie. —

— Eh — hm! — naśladuje głos gospodarza — Tek, tek, to są moje goście, to widać!“

Wrzaskliwy chychot wybucha w lokalu, aż szklanki dzwonią; andrusy aż się za brzuchy trzymają ze śmiechu. Butelka jakaś leci na ścianę i pęka. Czworograniasty szynkarz powiadamia nas pełnym czci najwyższej głosem:

— Jego Wysokość Jaśnie Oświecony książę Ferri Athenstadt.

Książę podał urzędnikowi kartę wizytową. Nieszczęśliwy ją przyjął, salutował kilkakrotnie i bardzo pragnął dać drapaka.

Na nowo cisza, tłum przysłuchuje się bez oddechu, co się dalej stanie.

Kawaler mówi znów.

„Damy i panowie, których Pan tu widzi zebranych — eh, eh — to są moje miłe i przyjemne goście!“ Jego Wysokość niedbałym ruchem ręki wskazuje zgromadzoną gawiedź: „czy nie zechciałby pan, panie komisarzu — eh — być przedstawiony temu państwu?“

Komisarz odmawia z przymuszonym uśmiechem, szepce coś przy okazji o „smutnym obowiązku“ i ostatecznie kończy temi słowy: „Widzę, że tu się wszystko wcale przyzwoicie odbywa“.

Słowa te budzą życie w rotmistrzu dragonów: spieszy w głąb po kapelusze damski ze strusimi piórami — i w następnej chwili wśród wybuchów śmiechu młodych paniczów wyciąga Rozynę na środek sali, objąwszy ją ramieniem. —

Rozyna chwieje się od trunku; oczyma zamknięte. Wielki drogi kapelusz leży jej krzywo na głowie; ona zaś nie ma na sobie nic prócz długich różowych pończoch — i męzki frak na gołym ciele. —

Na dany znak: muzyka jak szalona gra „Rititit, Rititit“ i pochłania gardłowy krzyk, który wydał stojący pod ścianą głuchoniemy Jaromir, zobaczywszy Rozynę.

Chcemy wyjść!

Zwak woła kelnerkę.

Hałas powszechny zagłusza jego słowa.

Sceny wydają mi się fantastyczne jak pod działaniem opium.

Rotmistrz trzyma pół nagą Rozynę — w ramionach i powoli krąży z nią do taktu.

Tłum z szacunkiem robi im miejsce.

Z ław słyhać poszmer: Loisiczek, Loisiczek! Szyje się wydłużają i do tańczącej pary przyłącza się druga, jeszcze osobliwsza. Po niewieściemu wyglądający chłopiec w różowym trykocie, z długim jasnym włosiem aż do łopatek, pod malowaną jak u dziewczki twarzą i wargą, z oczami wywróconemi kokieteryjnym zyzem, pożądliwie się zwiesza na piersiach księcia Athenstadta.

Słodkawy walc kwili na arfie.

Dzikiem obrzydzeniem do życia zaciska mi gardło.

Z trwogą oczy moje szukają drzwi: komisarz stoi tam odwrócony, aby nic nie widzieć — i pospiesznie coś szepcze z kryminalnym policjantem, który coś mu podaje. Słyhać niby uderzenie ręki o rękę.

Obaj śledzą w głębi krostowatą fizjonomię Loisa, który chwilowo stara się ukryć, potem zaś zdrętwiały — z twarzą białą jak kreda i wykrzywioną od zgrozy — stoi dalej na miejscu.

Jakiś obraz mi się nagle przypomina i natychmiast gaśnie: obraz, jak „Prokop spogląda (widziałem to przed godziną) — poprzez sztachety kanałowe nachylony — i krzyk śmiertelny dochodzi nas z pod ziemi!”

Chcę wołać i nie mogę. Zimne palce wcisnęły mi się w usta i zaginają mi język w dół na podniebienie tak jak bryła, coś zasłania mi krtań i słowa powiedzieć nie mogę.

Palców nie mogę dostrzec; wiem, że są niewidzialne a jednak odczuwam je jako coś cielesnego.

I jasno to tkwi w mej świadomości: są to palce tej upiornej ręki, która mi w mym pokoju na Kogucim zaułku podała księgę „Ibbur“.

„Wody, wody“ krzyczy Zwak koło mnie. Trzymają mi głowę i zapomocą świecy starają się zajrzeć mi w źrenice.

„Do mieszkania go odnieść, doktora sprowadzić — archiwarjusz Hillel zna się też na takich rzeczach do niego pójdźmy z nim radzą tak szeptem.

Leżę nieruchomy jak trup na narach, a Prokop i Yrieslander wynoszą mnie na ulicę.

J A W A .

Zwak, uprzedziwszy nas, pobiegł po schodach i usłyszałem, jak Mirjam córka archiwarjusza Hillela trwożnie go wypytywała, on zaś starał się ją uspokoić.

Nie zadawałem sobie trudu, by usłyszeć, co oni z sobą mówili, i raczej odgadłem, niż w słowach zrozumiałem, że Zwak opowiadał, jakoby zdarzyło mi się nieszczęście i przyszli prosić, aby mi dano pierwszą pomoc i przywrócono do przytomności.

Ciągle jeszcze nie mogłem ruszyć żadnym członkiem ciała, a niewidzialne palce trzymały mię za język; ale myśl moja była mocna i pewna a poczucie zgrozy zupełnie, mnie odeszło. Wiedziałem dokładnie, gdzie byłem i co się zemną stało — i nieraz wyłamało mi się to osobliwością, że mnie wniesiono tu jak umarłego, wraz z narami złożono w pokoju Szemajaha Hillela i pozostawiono samego.

Ciche naturalne zadowolenie, jakiego się doznaje po długiej wędrówce, napełniało moją duszę.

W izbie było ciemno, a ramy okien unosiły się rozlewnym rysunkiem w formie krzyża, odbijając od matowo-świecącego dymu, który wił się z ulicy.

Wszystko mi się wydawało samo z siebie zrozumiałem i nie dziwiło mnie ani to, że Hillel wszedł z żydowskim siedmio płomiennym świecznikiem sobotnim, ani że mi życzył „Dobry wieczór“ jak komuś, czyjego przyjścia oczekiwał.

To na co przez cały czas, odkąd mieszkałem w tym domu nie zwróciłem uwagi, jako na rzecz szczególną mimo, żeśmy się spotykali na schodach dwa — trzy razy w tygodniu uderzyło mnie teraz z wielką siłą, gdy Hillel tak chodził w tę i ową stronę pokoju, niektóre przedmioty na komodzie ustawiał i wreszcie swoim świecznikiem zapalał drugi również siedmio-ramienny.

Mianowicie: zauważyłem harmonję jego ciała i członków oraz szczupły, delikatny rysunek jego twarzy ze szlachetnym układem czoła. Mógł, jak to

widziałem teraz przy blasku świecy, mieć lat nie więcej odemnie: najwyżej 45.

„Przyszedłem o parę minut za wcześniej, zaczął po chwili, inaczej bym już przedtem światła zapalił“. Wskazał na oba świeczniki, zbliżył się do nar i skierował swe ciemne głęboko osadzone oczy, jak się zdaje, na kogoś, co mi w głowach stał lub klęczał, ktoś kogo jednak dostrzec nie byłem w stanie. Przytem poruszał ustami i bez głosu wymówił jakieś zdanie.

Natychmiast niewidzialne palce oswobodziły mój język i letarg przeminął: odwróciłem się i spojrzałem poza siebie: nikogo prócz Szemajaha Hillela oraz mnie w pokoju nie było.

A więc jego „ty“ i uwaga, że mnie oczekiwał dotyczyły tylko mojej osoby?

Daleko szczególnie od tych obojga okoliczności działało na mnie to, że nie byłem w stanie doznać mniejszego zdziwienia z tego powodu.

Hillel odgadł jawnie moje myśli, gdyż uśmiechał się przyjaźnie, przyczem pomógł mi wstać z nar i ręką wskazał na krzesło, mówiąc:

„Nie ma tu nic dziwnego, straszliwie działają na ludzi tylko rzeczy upiorne, Kiszuf; życie drapie i parzy jak Włosienica, ale słoneczne promienie świata duchowego są łagodne i ogrzewające“.

Milczałem, gdyż nie wpadła mi na myśl żadna odpowiedź. Zdaje się też, że z mojej strony żadnych słów nie oczekiwał Hillel, gdyż mówił dalej.

„I srebrne zwierciadło, gdyby miało czucie, odczuwało by wielki ból w chwili polerowania. Stawszy się gładkiem i promiennym — odbija ono wszelkie obrazy, jakie w nie wpadają — bez cierpienia i wzruszenia.“

„Błogosławiony jest człowiek — mówił dalej milcząco — który o sobie może powiedzieć: Jestem wypolerowany (jak zwierciadło).“

Chwilę pogrążył się w myślach i słyszałem — jak szeptał parę słów po hebrajsku: *Liszuosecho kiwisi adoszem*.“ Poczem znów jego głos brzmiał mi w uszach wyraźnie:

„Przyszedłeś do mnie w głębokim śnie, a ja zbudziłem cię do jawy. W Psalmie Dawida powiedziano: „Tedy rzekłem sam w sobie: teraz zacynam! Prawica to Boga, co uczyniła te zmianę.“

„Gdy ludzie budzą się w swoich łóżach, roją, że otrząsnęli się ze snu, a nie wiedzą, że padają jako ofiara swych zmysłów i stają się łupem nowego znacznie głębszego snu, niż ten, z którego wyszli: Jest tylko jeden prawdziwy stan jawy; ten mianowicie, do którego się teraz przybliżasz.“

„Gdybyś o tem powiedział ludziom, to by ci odparli, żeś chory, gdyż nie są w stanie cię zrozumieć. Jest to więc rzecz bezcelowa i smutna — mówić im o tem.“

Oni płyną niby potok,

A są jak gdyby sen,

Niby trawa, która wnet powiędnie —

A pod wieczór będzie ścięta — i uschnięta.

„Kto był ten nieznajomy, co mnie szukał u mnie w domu i dał mi księgę „Ibbur.“ Czym go widział na jawie czy we śnie? — chciałem zapytać, lecz Hillel mi odpowiedział, zanim swą myśl wyraziłem w słowach:

„Przypuść, że człowiek, który przyszedł do ciebie i którego zowiesz Golem, oznacza przebudzenie umarłego poprzez najwewnętrzniejsze życie duchowe. Wszelka rzecz na ziemi — niczem innym nie jest, jeno symbolem, przyodzianym w proch. — Jak ty myślisz okiem? Wszelką formę, którą spostrzegasz, myślisz okiem. Wszystko, co zgęstniało do formy, było przedtem istotą widmową.

Czułem, że te pojęcia, co dotychczas siedziały w moim mózgu jak na kotwicy, zerwały się i jak okręty bez steru pognały po bezbrzeżnym morzu.

Pełen spokoju Hillel mówił dalej:

„Kto jest przebudzony, ten nie może już umrzeć; sen i śmierć są dla niego tem samym.

„— już nie może umrzeć? — głuchy ból mną zaszarpał.

„Dwie ścieżki biegną w dal obok siebie: droga życia i droga śmierci. Otrzymałeś księgę Ibbur i czytałeś ją. Dusza twoja stała się ciężarna duchem żywota“ — słyszałem jego słowa.

„Hillelu, Hillelu, daj mi iść drogą, którą idą wszyscy ludzie: drogą śmierci! Dziko we mnie krzyczało wszystko.

Twarz Szemajaha Hillela stała się nieruchoma z powagi:

„Ludzie nie kroczą żadną drogą, ani drogą życia, ani drogą śmierci. Pędzą jak plewy w wicherze. W Talmudzie stoi: „Zanim Bóg stworzył świat, postawił zwierciadło przed istotami. Istoty widziały w niem duchowe cierpienia bytu i rozkosze, jakie z nich wynikają. Więc jedni wzięli na się cierpienie. Ale inni wzbraniłi się — i tych Bóg wykreślił z księgi żywota. „Ty idziesz pewną drogą — i wkroczyłeś na nią z wolnej woli, — choć może sam teraz o tem już nie wiesz. Jesteś powołany sam przez siebie! Nie trap się: stopniowo, gdy przychodzi poznanie, przychodzi też wspomnienie.

Poznanie i wspomnienie — to jedno i to samo.

Przyjacielski, prawie miłościwy ton, który zabrzmiał w mowie Hillela, przywrócił mi spokój, i czułem się bezpieczny jak chore dziecko, które wie że ojciec przy niej siedzi.

Spojrzałem w górę i spostrzegłem że naraz zjawiły się w izbie liczne postacie i otoczyły nas kołem: niektóre w białych koszulach śmiertelnych, jak to nosili starzy rabini, inne w kapeluszu trójkątnym w trzewikach ze srebrnymi sprzączkami — ale Hillel przesunął rękę przed moimi oczyma — i pokój znów stał się pusty.

Potem wyprowadził mię na schody i dał mi zapaloną świecę, abym mógł sobie drogę oświetlić do swego pokoju.

Położyłem się do łóżka i chciałem zasnąć, ale sen nie przychodził — i zamiast tego wpadłem w szczególny stan, który nie był ani marzeniem, ani czuwaniem, ani snem.

Światło zgasilem, ale pomimo to w izbie wszystko było tak wyraźne, że mogłem najdokładniej rozróżnić każdą pojedynczą formę. Przytem czułem się doskonale błogo, wolny od pewnego męczącego niepokoju, co niejednemu sprawia katusze, gdy się znajdzie w podobnej sytuacji.

Nigdy przedtem w życiu swoim nie byłbym w stanie myśleć tak ściśle i wyraźnie jak właśnie w tej chwili. Rytm zdrowia toczył się poprzez moje nerwy i porządkował moje myśli w szeregi jak wojsko, które jeszcze czeka na rozkaz.

Dość mi było tylko zawołać, a przychodziły do mnie i wykonywały to, czegom pragnął.

Przypomniała mi się naraz gemma, którą, w ostatnich tygodniach próbowałem wyciąć z awentury — nie mogłem jednak dojść do żadnego wyniku, gdyż nie udawało mi się nigdy rozproszonych błysków minerału pokryć rysami twarzy, jaką sobie wyobraziłem i oto w jednym mgnieniu ujrzałem rozwiązanie i wiedziałem dokładnie, jak mam prowadzić dłutko, by opanować strukturę masy.

Niegdyś niewolnik hordy fantastycznych wrażeń i sennych widziadeł, o których nie wiedziałem czy to pojęcia czy też uczucia: nagle uczułem się jako pan i król we własnym państwie.

Zadania z rachunku, które wprzód stękając na papierze mogłem rozwiązać, wpadały mi naraz do głowy, niby w igraszce prowadząc do rezultatu. Wszystko przy pomocy jakiejś nowej, zbudzonej we mnie zdolności, żem widział i ustanawiał to właśnie, co mi było potrzebne: cyfry, formy, przedmioty, barwy.

A gdy chodziło o kwestję, które zapomocą tych środków — nie dawały się rozstrzygać: — problemy filozoficzne i t. p. — miejsce wewnętrznego wzroku zajmował słuch, przyczem głos Szemajaha Hillela brał na siebie rolę mówiącego.

Udzielone mi były uświadomienia najrzadszego rodzaju.

Com tysiąc razy w życiu nieuważnie jako puste słowo puszczał mimo ucha, teraz w najgłębszych fibrach mej istoty tkwiło we mnie, jako wartość; to czegom nauczył się „powierzchniej w jednej błyskawicy „ujmowałem“ jako swoją „własność“ wewnętrzną. Budowy słów tajemnica, której nie przeczuwałem, obnażyła się przedemną.

„Wysokie“ ideały ludzkości, które z dobroduszną radcowsko-handlową miną, zakleksano orderem na patetycznej piersi, z góry mi chciały się narzucić: pokornie teraz zdjęły z pyska maskarę i tłumaczyły się przedemną: w istocie one są żebrakami, ale zawsze mają przy sobie ożogi — dla jeszcze gorszego oszustwa.

Czy ja nie śnię? Czy nie rozmawiałem z Hillelem?

Wyciągnąłem rękę do krzesła obok mego łóżka. Wszystko jak należy: tu leży świeca, którą mi dał Szemajah; szczęśliwy jak mały chłopiec w noc Bożego Narodzenia, który się przekonał, że jego skoczek rzeczywiście i żywo jest przy nim obecny — na nowo się wtuliłem w poduszki.

I jak wyżeł wciskałem się coraz głębiej w gęstwinę duchowych zagadek, które mnie otaczały dokoła.

Naprzód próbowałem dotrzeć do tego momentu mego życia, do którego najdalej sięga moja pamięć. Tylko z tego punktu — sądziłem — było dla mnie rzeczą możliwą spojrzeć w tę część mego bytu, która dla mnie — przez szczególny zbieg warunków mego losu, leży utajona w mroku.

Ale jakkolwiek dręczyłem się nad tem, nie mogłem iść dalej, jak po za to, że się kiedyś znalazł w ponurym dworcu naszego domu i przez łuk bramy oglądał tandeciarnię Arona Wassertruma: tak jak gdybym od stu lat jako snycerz kamej, mieszkał w tym domu — zawsze jednakowo stary człowiek, który nigdy nie był dzieckiem.

Chciałem już dać temu pokój jako próbom beznadziejnym i przerwać to szperanie po warstwach minionej przeszłości: gdy naraz z promienną jasnością pojąłem, że istotnie w mojej pamięci szeroki gościniec zdarzeń kończy się łukowem sklepieniem pewnej bramy, ale błyska mi też cały szereg maleńkich ścieżek, które dotychczas stale towarzyszyły drodze głównej; a których ja dotąd nie zauważyłem:

„Skądże — krzyknęło mi coś prawie w ucho — masz wiadomości, dzięki którym wleciesz życie? Kto cię nauczył wycinania kamej, kto cię nauczył sztuki rytowniczej i wszystkiego innego? Czytać, pisać, mówić — i jeść — i chodzić, oddychać, myśleć, czuć?“

Wnet uchwyciłem się wskazówki mego wnętrza. Systematycznie szedłem wstecz przez moje życie.

Zmusiłem się w odwróconej ale nieprzerwanej kolei zdarzeń wyrozumieć, co się stało ostatnio, jaki był ku temu punkt wyjścia, co stało się przed tem i tak dalej?

Znowu dotarłem do łuku pewnej bramy.

Teraz — teraz! Tylko mały skok w próżnię w otchłań, która mię oddzielała od zapomnianego; ten mały skok powinienbym zrobić. Naraz ukazałmi się obraz, który dostrzegłem przy powrotnym biegu swoich myśli: Szemajah Hillel przeciągnął mi rękę przed oczami — ściśle tak jak przedtem na dole w swym pokoju.

I wszystko się zatarło. Nawet pragnienie dalszych poszukiwań. —

Tylko jedno osiągnąłem jako zysk trwałe i niezmienny; świadomość, że szereg przygód w życiu to ślepa ulica, jakkolwiek zdaje się szeroka i dogodna

do przechadzki.

Drobne to są, ukryte szczeble, co prowadzą do zatraconej ojczyzny: to, co delikatną, prawie niewidzialną farbą w naszym ciele jest wyryte — nie zaś ohydna blizna, jaką pozostawia po sobie raszpla życia zewnętrznego — to właśnie ukrywa rozwiązanie ostatecznych tajemnic.

Podobnie, jak mógłbym wyobrazić sobie ruch wstecz ku dniom mojej młodości, jak gdybym z elementarza uczył się abecadła w odwrotnym porządku od Z do A, aby z tego punktu dojść do szkoły, w której zacząłem się uczyć, — tak samo, zrozumiałem, musiałbym też umieć powędrować do innej dalekiej krainy, która leży po tamtej stronie wszelkiego myślenia.

Głob świata toczył się z trudem na moich barkach. I Herkules jakiś czas dźwigał na głowie sklepienie niebios, przyszło mi do głowy — i utajony sens baśni odsłonił mi się przejrzyście. I jak się na nowo podstępem wyzwolił, mówiąc do olbrzyma, atleta: „Pozwól mi jeno wiązką szpagatu głowę obwiązać, aby mi czaszka nie pękła od tego straszliwego ciężaru“ — tak może byłaby jakaś ciemna droga, którą udałoby mi się zejść z tej stromej skały.

Naraz opanowała mię mocna podejrzliwość: nie chciałem już ślepo ufać kierownictwu swoich myśli. Położyłem się na grzbiecie — i palcami zasłoniłem oczy i uszy, aby mię zmysły nie prowadziły na manowce. Ażeby zabić wszelką myśl.

Jednakże wola moja łamała się o żelazne prawo: mogłem tylko wypędzać jedną myśl przy pomocy drugiej — i skoro tylko jedna marła, druga wnet wyłaniała się z mogiły tamtej. Uciekałem w huczący potok swej krwi, ale myśli szły za mną aż do nóg; ukryłem się w kowadle swego serca: ale trwało to jedną chwilę, odkryły mię natychmiast.

Znowu przybiegł mi z pomocą życzliwy głos Hillela i rzekł: „Zostań na swojej drodze i nie bądź chwiejny. Klucz sztuki zapomnienia należy do naszych braci, którzy wędrują po ścieżce śmierci; ale ty jesteś brzemienny duchem — żywota.

Księga Ibbur ukazała się przede mną — i dwie litery płomienne z niej błysły: jedna, która odznaczała kobietę ze spiżu, mającą tętna, pulsę tak potężne jak trzęsienie ziemi — i druga w nieskończonej dali, hermafrodyta na tronie z masy perłowej, w koronie z czerwonego drzewa na głowie.

Po raz trzeci Szemajah Hillel przeciągnął rękę przed moimi oczyma — i pogrążyłem się w głęboki sen.

Ś N I E G .

„Drogi i szanowny mistrzu Pernat!

„Piszę do Pana ten list w niesłychanym pośpiechu i najwyższej trwodze. Proszę, niechaj Pan ten list natychmiast zniszczy — po przeczytaniu albo jeszcze lepiej niech mi go Pan zwróci wraz z kopertą. — Inaczej nie miałabym ani chwili spokoju. — Żadnej ludzkiej duszy niech Pan nie mówi, że do Niego pisała. Ani też, dokąd Pan dziś pójdzie.

Pańska zacna dobra twarz — „świeżo“ (ta aluzja pozwoli Panu przypomnieć zdarzenie, którego P. był świadkiem — i odgadnąć kto pisze list, gdyż lękam się podpisać tu swe imię) — obudziła we mnie tyle zaufania, a nadto ponieważ drogi Pański nieboszczyk ojciec był moim nauczycielem, kiedym była dzieckiem — wszystko to daje mi śmiałość, że zwracam się do Pana jako do jedyne go człowieka, do którego zwrócić się mogę.

Błagam Pana niechaj pan dziś wieczorem o godzinie piątej przyjdzie do katedry na Hradczynie.

Znana Panu dama.

Więcej niż kwadrans siedziałem bez ruchu i trzymałem list w ręce. Szczególny, uroczysty nastrój, który mię opanował od wczoraj w nocy — nagle m uderzeniem został rozbity — został rozwiany świeżym powiewem nowego dnia ziemskiego.

Młode przeznaczenie — uśmiechnięte i gorące — dziecię wiosny — przyszło do mnie. Ludzkie serce szukało u mnie pomocy. U mnie! Jakże inaczej wyglądał teraz mój pokój! Od robaków stoczona szafka patrzyła na mnie ze szczególnem zadowoleniem, a cztery krzesła wydały mi się jak czworo pocziwych ludzi, którzy zasiedli dokoła stołu i chichocząc wesoło grają w taroka.

Godziny moje nabrały treści, treści botagej i świetnej. Miałożby więc powiędle drzewo — jeszcze przynosić owoce?

Czułem jak zaszemrała we mnie siła żywotna, która dotychczas we mnie drzemała — ukryta w głębiach mojej duszy, przysypana wrzawą, dnia powszedniego: wytrysła jak krynica zpod lodu, kiedy zima pęka.

I wiedziałem na pewno, trzymając ten list w rękę, że choćby nie wiem co się stanie, potrafię znaleźć ratunek. Radość mego serca dawała mi pewność.

Jeszcze raz — i jeszcze raz czytałem ten ustęp „a nadto ponieważ drogi

Pański nieboszczyk ojciec, był moim nauczycielem, kiedy byłem dzieckiem “; oddech miałem cichy. Czyż nie brzmiało to jak zapowiedź: czy dziś jeszcze będziesz ze mną w raju?”

Ręka, co się wyciągnęła ku mnie, szukając pomocy, dar trzymała dla mnie: odrodzenie wspomnień których pożałowałem. Ona mi objawi tajemnicę, ona mi pomoże podnieść zasłonę, która się zamknęła nad moją przeszłością.

„Drogi Pański nieboszczyk ojciec“, jakże osobliwie brzmią, mi te słowa, które sobie wywróżyłem! — Ojciec! — Przez chwilę widziałem zmęczoną twarz siwowłosego starca — wynurzającą się w fotelu koło skrzyni — twarz obcą a jednakże tak oczywiście mi znaną; potem oczy moje znów wróciły do siebie, a młot uderzeń mego serca wybijał uchwytą godzinę terażniejszości.

Podniosłem się przerażony. Czyżem przemarzył czas? Spojrzałem na zegarek: chwala Bogu wpół do piątej.

Zaszedłem do swej sypialni, wziąłem kapelusz i płaszcz — i zszedłem na dół po schodach.

I cóż mię dziś obchodzić mogła ta zgroza ciemnych kątów i owe złowrogie, cisnące, pełne przygnębienia myśli, co się tu wszędzie ku mnie wydobywały: „Nie opuścimy cię tyś nasz; nie chcemy żebyś się radował — dopieroż byłoby to dobre, radość w tym domu!“

Lekki, zatruty pył, co się tu ze wszystkich przejść i zakamarków wydobywał i kładł się na mnie dławiącymi rękami: dziś rozpraszał się przed żywym tchnieniem mej piersi. Na chwilę zatrzymałem się przed drzwiami Hillela.

Czyż miałem wejść?

Tajemnicza trwoga powstrzymała mnie: nie zastukałem. Jakoś inaczej było we mnie tak mianowicie, jakbym nie powinien wchodzić do niego. I już ręka żywota popychała mnie naprzód, w dół po schodach.

Ulica była biała od śniegu.

Zdaje się, że wielu ludzi mi się kłaniało. Nie pamiętam, czym też im odpowiadał ukłonem. Nieustannie czułem na piersi, że list przy sobie niosę. Ciepło tchnęło z tego miejsca.

Szedłem przez łuki arkad z ciosowego kamienia na rynku Staromiejskim i obok spizowej studni, której barokowe sztachety obwieszane były soplami z lodu, dalej przez kamienny most z posągami świętych i figurą świętego Jana Nepomucena.

W dole pienią się rzeka, pełna nienawiści ku fundamentom mostu.

Przez pół w marzeniu rzuciłem wzrok na wydrążony piaskowiec ze świętym Luitgardem i „mękami potępionych“ na nim; gęsto leżał śnieg na członkach pokutników i łańcuchach, pętających ich do góry podniesione ręce.

Łuki arkad były już poza mną, teraz ciągnęły się powoli pałace o dumnych, snycerską robotą zdobnych podwojach, a na nich lwie głowy z kółkiem spiżowem w paszczy.

I tu wszędzie śnieg — śnieg. Miękki, biały jak skóra olbrzymiego niedźwiedzia z pod bieguna lodowatego.

Wszystkie, dumne okna, gzymsy pokryte szromem i lodem, obojętnie spoglądały w przestwór ku obłokom.

Dziwiłem się, że niebo jest pełne ciągnących ptaków.

Gdym wchodził po niezliczonych stopniach granitowych na Hradczyn, a każdy szeroki na miarę czworga chłopa, krok za krokiem miasto ze swemi dachy i szczyty zapadało się w mgły przed moimi zmysłami.

Już czołgał się zmierzch wzdłuż szeregu domów, gdy wszedłem na samotny plac, z którego środka katedra unosi się ku tronowi aniołów.

Ślady nóg, których brzegi zaskrzepły lodem — prowadziły do bocznej bramy.

Skądś z jakiegoś odległego mieszkania dzwoniły łagodne zabłąkane tony harmoniki — wśród powszechnej ciszy wieczornej. Jak kropelki łez żaloby dźwięki te zapadały w omdleniu.

Usłyszałem poza sobą westchnienie wyścielanej poduchy gdy zamykał za sobą drzwi kościelne poduchą wewnątrz wyścielone; wówczas znalazłem się w mroku, a złoty ołtarz w niemym spokoju migał ku mnie zielonem i niebieskiem skrzyeniem zamierającego światła, które spływało na klęczniki poprzez kolorowe szyby.

Iskry się sypały z czerwonych szklanych ampl.

Powiedły zapach wosku i kadzidła.

Opieram się o ławkę. Krew moja dziwnie się uspokaja w tem królestwie nieruchomości.

Życie bez uderzeń serca napępniało przestrzeń — tajemnicze, cierpliwe oczekiwanie.

Srebrne skrzyneczki z relikwiami leżały we śnie wiekuistym.

Oto! Z wielkiej, wielkiej oddali przenikał turkot kopyt końskich przytłumiony, ledwie wyczuwalny uchem, jakby chciał się przybliżyć i milknąć.

Matowy dźwięk, jak kiedy turkot kół ścicha.

Szelest jedwabnej sukni zbliżył się do mnie i subtelna wytworna kobieca

ręka dotknęła się mego ramienia.

„Proszę, proszę — chodźmy tam pod kolumnę; przykro by mi było tu koło klęczników mówić z panem o rzeczach, o których mam mu powiedzieć.

Uroczyste obrazy dokoła wypłynęły w trzeźwej jasności, światło nagle mi się jawiło.

„Nie wiem wcale, jak mam Panu dziękować mistrzu Pernath, że Pan był łaskaw na tak brzydką niepogodę zrobić dla mnie tak daleką drogę.“

Szepnąłem parę banalnych wyrazów.

„Ale nie znam innego miejsca, gdzie była bym pewniejsza od szpiegów i niebezpieczeństwa, jak tu. Tu do katedry napewno nikt za nami nie chodził.

Wyjąłem list i wręczyłem go damie.

Była ona prawie jak zamaskowana, w kosztownym futrze — ale już z dźwięku jej głosu poznałem ją jako tę, która niegdyś pełna strachu uciekła przed Wassertrumem do mego pokoju na Kogucim zaułku. Nie byłem też bynajmniej zdziwiony, gdyż tego właśnie oczekiwałem.

Oczy moje zawisły na jej twarzy, która w zmierzchu wśród tej niszy muru zdawała się jeszcze bladszą, niż to mogło być w rzeczywistości. Piękność jej była tak zdumiewająca, że powstrzymałem oddech i stałem jak zakłęty. Najchętniej padłbym jej do nóg i całowałbym jej stopy, dziękując, że to ona była, co wzywała mojej pomocy; że ona mnie do tego wybrała.

„Niech pan zapomni, najserdeczniej błagam Pana — przynajmniej dopóki tutaj jesteśmy — o sytuacji w jakiej mię Pan kiedyś widział — mówiła z pewnym zażenowaniem — choć nie wiem nawet, co pan o takich sprawach myśli“.

„Stary już jestem, ale ani razu w życiu nie miałem tyle pychy, aby pozwolić sobie być sędzią swoich bliźnich! — oto jedyna rzecz, którą powiedziałem.

„Dziękuję Panu, mistrzu Pernat“ — rzekła mi ciepło i szczerze — A teraz niech P. słucha cierpliwie, czy P. nie, mógłby mi w moich wątpliwościach, dopomóc albo przynajmniej rady jakiej udzielić“.

Czułem, jak ją dzika trwoga opanowuje. Głos jej drżał.

„Wówczas w pracowniówczas ze straszliwą świadomością, błysła mi pewność, że ten okropny ludożerca śledzi mię nieustannie z rozmysłem. Już od paru miesięcy zauważyłam, że gdziekolwiek pójdę — czy to sama — czy ze swoim mężem — czy z doktorem Savioli zawsze bezecna zbrodnicza twarz tego tandeciarza gdziekolwiek krąży w moim pobliżu. We śnie czy na jawie prześladowają mnie jego zezowate oczy. Jeszcze nie masz żadnego znaku, któryby świadczył, co on zamyśla, ale tem bardziej dręczy mię trwoga po nocy: kiedy

poczuję jego pętlę na szyi.

„Początkowo dr. Savioli chciał mię uspokoić, drwiąc, co wogóle mógłby tam zrobić taki nędzny tandeciarz jak Aron Wassertrum — co najwyżej chodzi tu może o jakie błache wyciśnięcie pieniędzy lub coś podobnego. Uważałem jednak, że zawsze gdy zabrzmiało imię Wassertrum — wargi jego stawały się prawie białe. Czuję, dr. Savioli ukrywa przedemną, jakąś tajemnicę, aby mnie uspokoić, — coś strasznego, co albo on albo ja mogę zapłacić życiem.

I oto dowiedziałam się tajemnicy, którą on starannie chciał przede mną zasłonić: że tandeciarz wielokrotnie nocą odwiedzał jego mieszkanie! — Wi e m o t e m, czuję to każdą fibram swego ciała: dzieje się coś, co powoli dokoła nas się zacieśnia, jak pierścienie węzowe. — Czego szuka ten morderca? Dlaczego dr. Savioli nie może go precz wypędzić? Nie, nie! dłużej tak wytrzymać nie mogę: muszę coś uczynić! Co bądź, zanim wpadnę w obłąkanie“ . —

Chciałem jej powiedzieć kilka wyrazów na pocieszenie, ale ona aż do końca nie dała mi dojść do słowa.

„A w ostatnich dniach ten upiór co mi grozi zadławieniem, przybiera coraz uchwytnejsze formy. Dr. Savioli zachorował — nie mogę się z nim więcej porozumieć — nie mogę iść do niego, bo co chwila się lękam, że tajemnica naszej miłości będzie odkryta. Leży w gorączce — i jedyna rzecz, jakiej się mogłam dowiedzieć jest ta, że w delirium czuje się ściganym przez okropne widmo, które ma zajęczką wargę: to Aron Wassertrum.

„Wiem, jak dr. Savioli jest mężny; tem bardziej przerażająco — czy P. może sobie to wyobrazić — działa to na mnie, że go widzę całkiem złamanym, gdy mu grozi jakieś niepojęte niebezpieczeństwo, które ja sama przeczuwam tylko jako ponure zbliżanie się jakiegoś strasznego anioła dusiciela.

„Pan mi powie, że jestem tchórzliwa — i dlaczego otwarcie się nie przyznam, że kocham d-ra Saviolego... Tak, odrzuciłam precz od siebie wszystko: bogactwa, zaszczyty, reputację i tak dalej, ale“ — krzyknęła tak mocno, że głos jej odbił się echem w galerjach chórowych — ale ja nie mogę. Ja mam dziecko, drogą, jasnowłosą, małą dziewczynkę. Nie mogę przecie dziecka ustąpić! Czy P. myśli, że mój mąż by mi je zostawił?

Niech pan to weźmie, panie Pernat — w Półobłądzie rzuciła mi woreczek wyhaftowany sznurami pereł i drogich kamieni.

— I niech pan to zanieś temu zbrodniarzowi; wiem, on jest chciwy — niechaj zabiera wszystko co mam, ale dziecko musi mi zostawić! — Nie prawda, będzie milczał? A więc powiedz mi pan na miłość Jezusa Chrystusa, powiedz mi Pan tylko jedno słowo, że Pan mi pomoże!“

Po długich trudach udało mi się opętaną kobietą uspokoić na tyle, że usiadła w ławce.

Mówiłem do niej to, co mi chwila przyniosła. Pomieszane, związku

pozbawione zdania.

Myśli przytem ściagały się wzajem w moim mózgu tak, że ledwie rozumiałem co mówiły moje usta — pomysły fantastyczne, które rozwiewały się, zanim na świat się rodziły.

Nieprzytomny prawie utkwilem wzrok na jakiejś malowanej postaci mnicha w sąsiedniej kaplicy. Mówilem a mówiłem. Rysy posągu zmieniały się co chwila: habit stał się wytartym do nici paltem o wysoko oklapłym kołnierzu, a razem wyłaniała się młodzieńcza twarz z wyżartą wargą — i suchotniczymi plamami.

Zanim zdołałem ująć tę wizję, mnich na nowo stał się mnichem. Pulsa moje były za mocno.

Nieszczęśliwa kobieta pochyliła się nad moją ręką — i po cichu płakała.

Dałem jej coś z tej siły, jaką wyrobiłem w sobie wówczas, gdym czytał jej list — i na nowo czułem się teraz mocny — i widziałem, jak ona powoli się tem napawała.

„Powie panu, dla czego ja właśnie do pana się zwróciłam, mistrzu Pernat“ — łagodnie rzekła znów po dłuższem milczeniu — „Pan mi kiedyś powiedział parę słów — i tych słów nie zapomniałam nigdy pomimo, że wiele lat już minęło.

Wiele lat! Ile? krew mi uderzyła do głowy.

„ Pan odjeżdżał — pan się żegnał ze mną — nie wiem już dla czego i poco — przecież byłam jeszcze dzieckiem — i mówił Pan tak życzliwie a jednak tak smutno: „Oby nigdy ta chwila nie nadeszła, ale jeżeli kiedy zdarzy ci się w życiu, czego nie przeczuwasz, to wspomnij sobie o mnie. Może pozwoli mi Pan Bóg, że ja to będę kiedyś tym, co ci da pomoc i ratunek“. Odwróciłam się i szybko rzuciłam piłkę do wodotrysku, aby Pan moich łez nie zobaczył. A potem chciałam panu dać czerwone serce koralowe, które nosiłam na szyi na jedwabnej wstążce, ale wstydziłam się, bo to byłoby tak śmieszne.

Wspomnienie!

Palce drętwego kurczu dotykały znów mego gardła. Błysk z jakiejś zapomnianej dalekiej krainy tęsknoty zajaśniał mi — bezpośrednio i strasznie: mała dziewczynka w białym ubraniu a dokoła ciemna łąka parku zamkowego, otoczona starymi wiązami. Wyraziście ujrzałem znowu to wszystko przed sobą.

Musiałem się zarumienić; zauważyłem to z pośpiechu, z jakim ona mówiła dalej „Ja wiem, że pańskie słowa wówczas odpowiadały nastrojowi pożegnania, ale ich pamięć często była moją pociechą — i dziękuję Panu za nie.

Ze wszystkiej siły ścisnąłem zęby — i wyjący ból, co mnie szarpał, wyгнаłem z powrotem z piersi.

Zrozumiałem: dobrotliwa była to ręka, która zasunęła rygle przed moją

pamięcią. Jasno teraz wyczytałem w swej świadomości: Miłość, zbyt silna dla mego serca, na lata przegryzła moje myślenie, a noc obłąkania stała się balsamem dla mego ranionego ducha.

Pomału zapadł nade mną spokój obumierania i ochładzał łyzy na mych powiekach. Odgłos dzwonu poważnie i dumnie zagrzemiał po katedrze — i z radosnym uśmiechem mogłem spoglądać w oczy tej, co tu przyszła szukać u mnie pomocy.

Znów słyhać było głuchy turkot kół i tętent kopyt końskich.

W nocnym błękitnawym połysku śnieżnych ulic zeszedłem w dół do miasta.

Latarnie przyglądały mi się migotliwym okiem, a z zestromiałych gór — z jodeł — płynęły szepty o błyskotkach i srebrnych orzechach i o nadchodzącym Bożem Narodzeniu.

Na placu ratuszowym pod figurą Matki Boskiej przy blasku świec stare żebraczki w szarych chustach na głowie mruzczały swój różaniec do Marji Panny.

Przed ciemnym wejściem do żydowskiego miasta sterczały budy jarmarczne na Boże Narodzenie. W samym środku — opięta czerwonym płótnem, jaskrawo się uwydatniała, oświetlona bujającymi lampionami — otwarta scena teatru kukiełek.

Poliszynel Zwaka w purpurze i fioletach, z biczem w ręce a na biczu na sznurku trupia głowa — pędził kłapiąc na drewnianej szkapie po deskach.

Szeregami ściśle koło siebie stłoczeni stali malcy — chłopcy i dziewczęta — w czapeczkach futrzanych, mocno na uszy naciśniętych — z otwartą buzią — i jak oczarowani słuchali wierszy poety praskiego Oskara Wienera, które mój przyjaciel Zwak wymawiał ukryty w parawanie.

Na samym czele szedł Skoczek,

Chłop chudy niby wierszopis:

Jaskrawe nosił

łachmany Chwiał

się i gębę

wykrzywiał.

Skręciłem w zaułek, który czarno i węglowato wsuwał się w plac. Gęsto, głowa przy głowie, milcząco stał tłum ludzi — w mroku — przed jakimś ogłoszeniem.

Pozbawiony pragnień, współdziału w czymkolwiek, żywy trup — szedłem powoli w głąb — w ciemne szeregi domów.

Garść drobnych gwiazdek migotała na wąskiej, ciemnej drodze niebios nad wierzchołkami kamienic.

Pełne upojenia myśli moje bujały, płynąc z powrotem ku katedrze — a cisza mojej duszy stawała się wciąż uroczystsza i głębsza, gdy oto dotarł do mnie z placu poprzez zimowe powietrze donośny i wyraźnyjak — by tuż koło mego ucha brzącały — głos jasełkarza.

„Gdzie serce z czerwonego kamienia?

Wisiało na sznurku jedwabnym,

I błyszczało w jutrzni porannej!

STRACH.

Długo w noc niespokojnie krążyłem po pokoju i w mózgu trawiłem różne myśli, jak to ja mógłbym jej dopomóc.

Nieraz byłem już bliski postanowienia aby zejść nadół do Szemajaha Hillela, opowiedzieć mu co mi powierzono i prosić go o radę. Ale za każdym razem odrzuciłem precz tą decyzję.

Stał on w duchu przedemną tak wysoko, że mi świętokradztwem się zdawało zaprzętać go rzeczami, które dotyczą życia zewnętrznego; poczem znów przyszły chwile, gdy mnie opadły palące wątpliwości, czy ja rzeczywiście przeżyłem wszystko, co trwało jeno krótki czas a jednak zdało się przybladłem — w porównaniu z huraganowym potokiem przeżyć dnia ubiegłego.

Czym nie śnił? Czyż ja, człowiek, któremu się zdarzyła rzecz niesłychana, że zapomniał swej przeszłości — czyż ja na jedną chwilę mogłem uznać za pewność — to, ku czemu jako jedyny świadek wspomnienie moje wyciągało rękę?

Oko moje padło na świecę Hillela; wciąż leżała na krześle. Dzięki Bogu przynajmniej jedna rzecz jest pewną: byłem z nim w osobistym zetknięciu.

Czyż nie powinienem bez namysłu lecieć do niego, za kolana go obłapić i jak człowiek człowiekowi żale mu swe wypowiedzieć, że jakiś niewymowny ból pożerał moje serce.

Już ręką trzymałem za klamkę, ale znów ją cofnąłem. Domyślam się, coby z tego wynikło. Hillel łagodnie przeciągnąłby spojrzeniem moje oczy i Nie, nie! tylko tego nie chcę. Nie miałem prawa szukać ulgi. Ona zaufała mnie i mojej pomocy, a gdyby nawet niebezpieczeństwo, w jakim się czuła, chwilami nawet zdawać się mogło drobne i nikłe — to jednak ona je odczuwała napewno jako olbrzymie.

Hillela prosić o radę — miałem czas jutro; zmuszałem się myśleć chłodno i trzeźwo.

Teraz — w połowie nocy go niepokoić — nie, to rzecz niewłaściwa. Tylko obłąkany tak by postąpił.

Chciałem zapalić lampę; ale dałem pokój.

Światło księżycyca z zaśnieżonych dachów spływało do mej izby i dawało mi więcej jasności niż potrzebowałem. Lękałem się, że noc mogłaby mi się wydać dłuższą, gdybym zapalił lampę.

Tyle beznadziejności było w moich myślach, że nie palę rzekomo lampy dla tego tylko, aby doczekać się świtu! Ale lekka trwoga szeptała mi, że ranek tym sposobem cofa się w dal niepochwytą.

Zbliżyłem się do okna; jak widmowy, w powietrzu bujający cmentarz unosiły się bezładnie rozmieszczone szeregi szczytów kamienicznych tam w górze: niby głązy mogilne z zatartą cyfrą lat, zawisły te „siedziby“, w których gryzły się rojowiska piekieł i ścieżek pokolenia żywych.

Długo tak stałem i spoglądałem w górę, aż w końcu miękko, zupełnie miękko zacząłem się dziwić, dlaczego się nie przerażam, gdy odgłos powstrzymywanych kroków przenika do mego ucha wyraźnie poprzez ściany.

Nasłuchuję: niema wątpliwości, znów jakiś człowiek tam stąpa. Krótkie skrzypienie desek zdradza, gdzie jego trzewik, zwlekając, dotknie podłogi.

Odrazu wróciłem do przytomności. Prostu znalazłem siebie, tak się wszystko zjednoczyło we mnie pod naciskiem woli nasłuchiwania. Każde wrażenie czasu zlewało się w terażniejszość.

Jeszcze gwałtowne trzeszczenie, które się przeraziło samo siebie i gwałtownie się przerwało.

Nieruchomy stałem, przycisnąwszy ucho do ściany, z groźnym uczuciem w gardle, że wewnątrz tam ktoś stoi, właśnie tak jak ja i czyni to samo.

Nasłuchuję a nasłuchuję:

Nic!

Pracownia w sąsiedztwie wydawała się jak zamarła.

W najgłębszej ciszy — na palcach nóg zakradłem się na krzesło przy moim łóżku, wziąłem świecę Hillela i zapaliłem.

Wtedy przekonałem się: żelazne drzwi spichrzowe na zewnątrz na ganku, prowadzące do pracowni Saviolego, można było otworzyć tylko z wewnątrz.

Na chybi — trafi pochwyciłem kawał hakowatego drutu, który leżał wśród moich narzędzi do rytowania. Takie zamki łatwo się otwierają.

I co by się potem stać mogło?

Mógł to być jak przypuszczam tylko Aron Wassertrum, który w pobliżu szpiegował, — zapewne szperał w szafkach, aby dostać w ręce nową broń i dowody.

Czy to mi na co się przyda, gdy tam wejść?

Nie namyślałem się długo: trzeba działać a nie namyślać się. Aby się tylko skończyło to straszne oczekiwanie jutra!

I stałem już koło żelaznych drzwi na podłodze, nacisnąłem je, wyciągnąłem hak z zamku i nadśluchiwałem. Rzeczywiście: wewnątrz w pracowni szmer, jak gdyby ktoś wysuwał szufladę.

W następnej chwili rygiel odskoczył.

Mogłem obejrzyć pokój, chociaż było prawie ciemno, i świeca tylko mnie

oślepiła; ujrzałem jak ktoś w długim czarnym palcie, nagle odskoczył przerażony, od biurka, — wahając się przez sekundę dokąd uciekać, — wykonał ruch, jakby chciał się na mnie rzucić, zerwał po chwili kapelusz z głowy i szczerze zakrył nim twarz.

„Czego pan tutaj szuka?“ chciałem krzyknąć, lecz człowiek ten uprzedził mnie: „Pernat! to pan? Na Miłość Boską! Zgaś pan światło.“ Głos wydawał mi się znajomy, lecz w żadnym wypadku nie należał do kramarza Wassertruma.

Automatycznie zdmuchnąłem świecę. W pokoju był półmrok — słabo rozświetlony tylko błyszczącą parą, wciskającą się przez zagłębienia okienne, i musiałem oczy dobrze wyteńczyć, zanim udało mi się w wynędzniałej, przelękniętej twarzy, która wynurzyła się nagle ponad paltem, poznać rysy studenta Charouska.

„Mnich!“ cisnęło mi się na usta i poznałem odrazu wizję, którą widziałem wczoraj w katedrze.

Charousek! To był człowiek, z którym miałem rozmawiać! Słyszałem znowu jego słowa, które wypowiadał wtedy podczas deszczu w bramie: „Aron Wassertrum przekonał się, że można kłuć po przez mury zatrutą niewidzialną igłą.

Właśnie w dniu, w którym chciał ująć za kark d-ra Saviolego.

Czyżbym miał w Charousku współnika? Czy on wiedział, co się teraz stało? Jego obecność tutaj o tak niezwykłej porze prawie stwierdzała to, lecz lękałem się wprost go o zapytać. Pośpieszył do okna i z za firanki śledził ulicę.

Zrozumiałem: obawiał się, czy Wassertrum nie spostrzegł światła mojej świecy. „Pan myśli zapewne, że jestem złodziejem, który nocą grabi po cudzych mieszkaniach, mistrzu Pernacie?“, zaczął po długim milczeniu, niepewnym głosem, — „lecz przysięgam panu “.

Przerwałem mu natychmiast mowę i uspokoiłem go szczerze. I aby mu okazać, że o nim nic złego nie myślę, lecz uważam go raczej za współnika, opowiedziałem mu z małymi opuszczeniami to, co uważałem za konieczne, i co miało związek z pracownią. Dodałem nadto: „Obawiam się, że pewna blizka mi kobieta jest w niebezpieczeństwie, i w nieprzewidziany sposób może stać się ofiarą złych zamiarów tandeciarza“. Po uprzejmym sposobie, w jaki się przysłuchiwał, nie przerywając pytaniami, domyśliłem się, że jeżeli nie szczegóły, to przynajmniej ogólna treść sprawy jest mu znana. „Zgoda“ powiedział, gdy skończyłem.

„Nie myliłem się jednakże! Łotr chce schwycić Saviolego za gardło, ale widocznie ma jeszcze przy sobie za mało materiału. Gdyby nie to, pocóż by on się tutaj kręcił!

„A mianowicie szedłem wczoraj — powiedzmy: przypadkowo, przez Koguci zaułek“ objaśnił spostrzegłszy moją pytającą minę, — „wtem wpadło mi w

oczy, że Wassertrum z początku długo zapewne niezdecydowany — wahał się wciąż przed bramą, lecz potem, gdy się przekonał że nikt go nie śledzi, skręcił szybko do domu. Szedłem wciąż za nim, udawałem jak gdybym go chciał odwiedzić, to znaczy, zapukałem do niego i zaskoczyłem go właśnie, gdy wewnątrz majstrował kluczem przy żelaznych drzwiach w podłodze.

„Naturalnie zaniechał tego natychmiast, gdy tylko wszedłem, i także upozorował, że stuka do pana. Zdaje się, że właśnie pana w domu nie było, gdyż nikt nie otwierał.

„Skoro potem ostrożnie wypytywałem w żydowskiej dzielnicy, dowiedziałem się, że ktoś — podług opisu mógł to być tylko dr. Savioli — zajmuje tutaj potajemnie uboczne mieszkanie. Lecz ponieważ dr. Savioli leży często chory, reszty domyśliłem się sam. „Widzi Pan: wyłowilem to z szuflad, aby uprzedzić Wassertruma w każdym wypadku“ — zakończył Charousek i wskazał paczkę listów, leżącą na biurku — „to wszystkie papiery, jakie mogłem znaleźć. Przypuszczam, że nic więcej nie zostało. Tak dobrze mi to szło w ciemności, że wypróżniłem przynajmniej wszystkie skrzynie i szafy“.

W ciągu tego opowiadania przyglądałem się bacznie pokojowi i mimowoli wzrok mój zatrzymał się na skrytych drzwiach w podłodze. Zamyśliłem się przytem, gdyż Zwak mi kiedyś opowiadał, że do pracowni prowadzi z dołu jakieś skryte wyjście. Była to czworokątna płyta z kółkiem do podnoszenia. „Gdzie mamy schować te listy? — rozpoczął znowu Charousek. Pan, panie Pernat, i ja jesteśmy jedyni w całym Ghetto, którzy bez złej myśli uprzedzamy działanie Wassertruma, — dlaczego właśnie ja, to ma swoje specjalnie znaczenie“. (Widziałem, jak jego rysy wykrzywiły się w dzikiej nienawiści, gdy rozgryzał to ostatnie zdanie —) „A pana on uważa za —“ Charousek stłumił ostatnie słowo „warjata“ prędkim sztucznym kaszlem, lecz domyśliłem się, co chciał powiedzieć. Nie sprawiło mi to przykrości: Uczucie, że mogę „jej“ pomóc, wywołało we mnie taką radość, że wszystką wrażliwość moją zatarła.

W końcu zrobiliśmy postanowienie, ukryć paczkę u mnie i poszliśmy do mego pokoju.

Charousek wyszedł już dawno, lecz ja wciąż nie mogłem się zdecydować iść do łóżka. Jakieś wewnętrzne niezadowolenie gryzło mnie i powstrzymywało od tego, czułem, że miałem jeszcze coś do wykonania; Ale co? co?

Nakreślić plan dla studenta, co czynić potem? Było to niepodobieństwem. Tak czy owak, Charousek nie schodzi z oczu tandeciarza, to nie ulegało najmniejszej wątpliwości. Wzdrygnąłem się, pomyślawszy o nienawiści przezierającej ze słów Charouska. Cóż mu uczynić mógł Wassertrum?

Dziwny niepokój wewnętrzny wzrastał we mnie i doprowadzał mnie do rozpaczy. Było to coś niewidzialnego, coś grobowego, lecz nie rozumiałem co to jest. Czulem się jak szkapa, którą tresują, która czuje szarpnięcie wędzidla, lecz nie wie, jaką sztukę ma wykonać, nierozumiejąc woli swego pana. Może zejść na dół do Szemajaha Hillela? Każda fibra mówiła mi: nie! Wizja mnicha w katedrze, z którego ramion wynurzała się wczoraj głowa Charouska, jako odpowiedź na niemą prośbę o radę, dała mi wskazówkę aby nie lekceważyć bezwzględnie przeczuć utajonych. Tajemnicze siły kiełkowały we mnie od dłuższego czasu, było to pewne: okazały się one zbyt potężne, jeżeli tylko spróbowałem się im oprzeć. Pojąłem, że wyczuwać można litery nie tylko oczyma, czytając je w książce; — wywołać w sobie samym tłumacza, który by objaśniał co bez słów szeppczą instynkty: — że to jest właśnie klucz porozumienia ze swą duszą za pomocą przejrzystej mowy nadcielesnej. „Macie oczy, a nie widzicie; macie uszy, nie słyszycie“ — wpadł mi do głowy, niby wyjaśnienie, wyjątek z Pisma.

„Klucz, klucz, klucz,“ zauważyłem nagle, że wargi moje powtarzają to mechanicznie, podczas gdy duch igraszkę sobie robił we mnie z temi szczególnymi pojęciami. „Klucz, klucz ?“

Wzrok mój padł na zgięty drut trzymany w ręce, który mi służył do otwierania drzwi od śpichrza i ogarnęła mnie niezwalczona ciekawość, dokąd mogły prowadzić czworokątne ukryte drzwi pracowni. — Nie namyślając się, wszedłem jeszcze raz do pracowni Saviolego i ciągnąłem kółko od drzwi tak długo, aż wkońcu udało mi się płytę podnieść.

Z początku nic, tylko ciemność. Zszedłem na dół. Chwilę dotykałem rękami wzdłuż ściany, lecz nie można było się domyśleć, kiedy to się skończy. Framugi wilgotne od pleśni i próchna, zakręty; rogi i kąty, — spadziste przejścia na lewo i na prawo, resztki starych drzwi drewnianych, rozgałęzienia dróg i potem znów stopnie, stopnie w górę i na dół. Wszędzie mdły, duszący zapach, pleśniowego grzyba i wilgotnej ziemi. I nigdzie ani promyka światła. — Gdybym choć zabrał ze sobą świecę Hillela! W końcu płaska równa droga. Ze skrzywienia pod nogami doszedłem do wniosku, że stąпам po suchym piasku. Mogło to być jedno z tych niezliczonych przejść, które bezcelowo pod Ghettem prowadziły do rzeki. Nie zdziwiłem się: pół miasta stoi od niepamiętnych czasów na takich podziemnych przejściach, a mieszkańcy Pragi mieli widać niejedną ważną powód, aby unikać światła dziennego. Brak jakiegokolwiek szmeru nad głową mówił mi, że znajduję się wciąż w okolicach dzielnicy żydowskiej, która w nocy jest jakby wymarłą — chociaż wędrowałem już tak zda się całą wieczność. Ożywione ulice i place zdradzały by się nademną odległym turkotem wozów. Przez sekundę ogarnęła mnie trwoga: co będzie, gdy zabłądzę?! Wpadnę w dół, poranię się, złamię nogę i nie będę mógł iść dalej? Co się wtedy stanie z jej

listami w moim pokoju? Musiałyby niezawodnie wpaść w ręce Wassertruma. Myśl o Szemajahu Hillelu, z którym niejasno łączyłem pojęcie pomocnika i kierownika uspokoiła mnie mimowoli. Ostrożnie szedłem coraz wolniej, badawczym krokiem i trzymałem ręce w górę, aby nie uderzyć się niespodzianie w głowę, gdyż korytarz robił się coraz niższy. Od czasu do czasu coraz częściej uderzałem ręką w sufit, aż w końcu kamienie tak znacznie wystawały, że aby przejść, musiałem się pochylać! Nagle podniósłszy rękę natrafiłem na pustą przestrzeń. Stałem i zdrętwiałem. Zdawało mi się, że z sufitu pada słaby, zaledwie dostrzegalny promień światła. Czyżby dochodził dotąd szyb z jakiejś piwnicy?

Udałem się w tym kierunku, obmacywałem obojgiem rąk dokoła siebie: na wysokości głowy otwór był czworokątny i obmurowany. Powoli mogłem rozróżnić w nim, jako zamknięcie, ciemne zarysy poziomego krzyża, a w końcu udało mi się pochwycić za jego ramiona, podciągnąć się w górę i precyzyjnie przejść przez jego szczyty. Stałem teraz na krzyżu i zaczęłem się orjentować. Widocznie kończyły się tu resztki żelaznych krętych „schodów”, o ile mnie czucie moich palców nie myliło. Długo, bardzo długo musiałem szukać, zanim znalazłem drugi stopień, poczem wdrapywałem się dalej. Wszystkiego było ośm stopni. Każdy z nich prawie na wysokość człowieka nad poprzednim. Dziwne schody kończyły się pewnego rodzaju poziomą płaszczyzną, co migotała od regularnych, krzyżujących się linii świetlnych, które zauważyłem jeszcze na dole w korytarzu. Schyliłem się, jak tylko mogłem najbardziej, aby mózgiem z trochę większej odległości lepiej odróżnić, jak idą te linie i spostrzegłem ku memu zdziwieniu, że tworzą one tutaj kształt prawidłowego sześciokąta, jak to ma miejsce na Synagogach.

Co by to mogło być? Nagle odgadłem. Były to drzwi spuszczone dające światłu przejście przez szpary! Drzwi spuszczone z drzewa w kształcie gwiazdy. Oparłem się plecami o płytę, nacisnąłem ją, a w chwili następnej stanąłem w pokoju, pełnym rażącego światła. Był on bardzo mały, zupełnie pusty z wyjątkiem kąta, gdzie leżały liczne gałgany; i miał tylko jedno jedyne silnie zakratowane okno. Drzwi, ani wejścia z wyjątkiem tego, z którego właśnie korzystałem, nie mogłem znaleźć, pomimo, że obszukiwałem mury bardzo dokładnie. Kraty w oknie były za gęste, abym mógł między nimi precyzyjnie przejść głowę; tyle tylko zobaczyłem: pokój znajdował się mniej więcej na wysokości trzeciego piętra, gdyż domy naprzeciwko miały tylko dwa piętra i były znacznie niższe. Jeden brzeg ulicy na dole był mało widzialny, lecz wskutek oślepiających promieni księżyca, który świecił mi prosto w oczy, był pograżony w głębokim cieniu, co mi ułatwiło rozróżnianie szczegółów. Ulica musiała należeć do dzielnicy żydowskiej, gdyż wszystkie okna były zamurowane, a tylko w Ghetto zwracały się tak dziwnie ku sobie. Naprawdę z

trudem starałem się poznać, co to może być za dziwny budynek, w którym się znajdowałem. Może to jest opuszczona boczna wieżyczka greckiego kościoła? A może należy do starej synagogi? Otoczenie nie zgadzało się z temi domysłami. Znowu rozejrzałem się po pokoju: nic, coby mi mogło objaśnić. Ściany i sufit były gołe, wapno wzdłuż opadło, a dziury od gwoździ i same gwoździe zdradzały, że pokój był kiedyś zamieszkały.

Podłoga była pokryta kurzem na wysokość stopy, jak gdyby od dziesiątków lat żadna żywa istota nie stąpała po niej. Brzydziłem się przeszukiwać kąty ze śmieciami; były one w cieniu i nie mogłem rozróżnić, co by one zawierały. Zewnętrznie wyglądało to, jak zwinięty kłębek łachmanów albo była to może para starych ręcznych tobołków? Wcisnąłem tam nogę i udało mi się obcasem wyciągnąć jakiś kawałek na światło, które rozlewał po pokoju księżyc. Wyglądało to jak szeroka ciemna wolno rozwijająca się wstążka.

Punkt błyszczący, jak oko!

Może guzik metalowy?

Powoli zacząłem pojmować: stary rękaw dziwnego niemodnego kroju zwieszał się z tłomoka.

I mała biała szkatułka czy coś podobnego, co leżało pod tą płachtą, znalazło się koło mojej nogi i rozsypało się na mnóstwo drobnych ułamków.

Kopnąłem je lekko: jakiś karton błysnął w promieniach księżyca. Obraz? Nachyliłem się: **P a g a d ? ^ ^ 2**

To co mi się wydawało białą szkatułką, było talją kart do taroka. Podniosłem ją. Czy mogło być coś śmieszniejszego talja: kart — tutaj — w tym tajemniczym miejscu?

Dziwne, że zmuszałem się do śmiechu. Lekkie uczucie zgrozy zakradło się we mnie.

Szukałem jakiegoś banalnego wyjaśnienia, w jaki sposób te karty mogły się tutaj dostać i zarazem mechanicznie liczyłem talję. Była pełna: 78 sztuk. Ale już w czasie liczenia zauważyłem coś szczególnego; karty były jak z lodu.

Wiało z nich zimno paraliżujące i gdy trzymałem zamkniętą paczkę w ręku, nie mogłem jej już wypuścić: tak zdrętwiały mi palce. Znow chwyciłem się za trzeźwe wyjaśnienie:

Oto przyczyny: moje lekkie ubranie, długą wędrówką bez płaszcza i kapelusza w podziemnych przejściach, groźna noc zimowa, kamienne ściany, straszny mróz, który wraz z księżycowym światłem przedostawał się przez okno: dosyć dziwne, że dopiero teraz zacząłem marznąć!

Podniecenie w jakim się znajdowałem cały czas, nie dawało mi tego odczuć! Dreszcze, jeden po drugim przechodziły mi po skórze. Stopniowo wciskały się głębiej w moje ciało, coraz głębiej. Czułem, że mój szkielet lodowacieje i każda pojedyncza kość wydawała się, jak sztaba żelazna, do której przymarzło mi ało.

Nie pomagało bieganie dokoła, stukanie nogami, ani uderzenie rękami. Ścisnąłem zęby, żeby nie słyszeć ich szczękania. To śmierć kładzie ci zimne swe dłonie na ramiona — powiedziałem sobie. Bronilem się, jak szalony od zmarznięcia przeciwko odurzającemu snowi, który skrycie się zbliżał, aby mnie okryć swym płaszczem.

Listy w moim pokoju, — jej listy! wołało coś we mnie; znajdą je, jeśli ja umrę tutaj. A ona liczy, na mnie!

Jej ratunek spoczywa w moich rękach.

Na pomoc, na pomoc, na pomoc! — I przez okienne kraty krzyknąłem w pustą ulicę, aż echo odpowiedziało: na pomoc, na pomoc, na pomoc!

Rzuciłem się na podłogę i znów skoczyłem na nogi. Ja nie mogę umrzeć, nie mogę! Dla niej, tylko dla niej! Nawet, gdybym musiał wykrzesać iskry z mych kości, aby się ogrzać. Nagle wzrok mój padł na łańchmany w kącie rzuciłem się na nie i wciągnąłem je trzęsącymi rękami na swoje ubranie. Była to odzież zniszczona z grubego ciemnego, sukna o staromodnym dziwnym kroju.

Wydzielał się z niej zapach pleśni. Potem przykucnąłem w przeciwległym kącie i czułem, że skóra moja powoli się rozgrzewa. Tylko uczucie osobliwego, lodowatego szkieletu we mnie, trwało dalej. Siedziałem nieruchomo, a oczy moje wędrowały dokoła: karta, którą najpierw zobaczyłem Pagad, — wciąż jeszcze leżała pośrodku pokoju, w promieniu światła. Musiałem nieruchomo wlepić w nią oczy. Wydawała się, o ile mogłem odróżnić z oddalenia, namalowaną wodnemi farbami, niezręczną dziecięcą ręką, i przedstawiała hebrajską literę Alef w postaci człowieka odzianego po staro-frankońsku, z krótko ostrzyżoną na szpic brodą, z lewą ręką podniesioną, gdy druga była w dół opuszczona.

Czy twarz tego człowieka nie ma dziwnego podobieństwa z moją? — zaświtało mi podejrzenie. Broda — wcale to nieodpowiednie dla Pagada podpełzłem do karty i rzuciłem ją w kąt do reszty gratów, żeby oswobodzić znużony wzrok.

Teraz, tam leżała i błyszczała — biało-szara niejasna plama — z ciemności.

Siłą zmusiłem się do myślenia, co mam aby znów wrócić do swego mieszkania! Czekać rana! Zawołać z okna na przechodzących, żeby mi za pomocą drabiny dostarczyli świece albo latarni. Miałem przygnębiającą pewność, że nigdy mi się nie uda znaleźć bez światła nieskończonych, wciąż krzyżujących się labiryntów podziemnych. Okno leży za wysoko: to może ktoś by mi z dachu sznur ?

Boże Wielki! jak błyskawica mi zajaśniało — teraz wiedziałem, gdzie jestem: to pokój bez wejścia, z jednym tylko zakratowanym oknem — starożytny dom na Staroszkolnej ulicy, od którego każdy stroni! już raz przed wielu laty spuścił się człowiek na sznurze z dachu, żeby spojrzeć w okno i sznur

się zerwał — Tak byłem w domu, w którym za każdym razem znikał upiorny Golem.

Głęboka zgroza, przeciwko której daremnie się broniłem, której nie mogłem zmódcz wspomnieniem o listach, paraliżowała każdą dalszą myśl, i serce zaczęło odczuwać kurcz. Spiesznie powiedziałem sobie zdrętwiałymi wargami, że to tylko wiatr, co zawiął z kąta tak lodowato — mówiłem to sobie wciąż prędzej, a prędzej przyczem oddech mój poprostu świszczał. Nie to nie pomogło: tam z tamtej strony biaława palma — karta napęczniała do rozmiarów wydętej bryły, sunęła brzegiem światła księżycowego i podpełzła napowrót w ciemność. Kapiące szmery nawpół urojone, nawpół rzeczywiste — w pokoju i wokoło mnie i jeszcze gdzieś — głęboko w moim sercu, i znowuż w środku pokoju dźwiękły, jak kiedy padnie cyrkiel i ostrzem utkwi w drewnianej desce.

Wciąż: biaława plama, biaława plama ! To nędzna karta głupia niedorzeczna karta do gry, krzyczałem w myśli — daremnie — teraz jednak — bądź co bądź — przybrał postać — Pagad — teraz przykucnął w rogu i spogląda na mnie moją własną twarzą !

Godziny za godzinami siedzałem w kucki nieruchomo — tam w moim kącie, zamarznięty szkielet w cudzych spleśniałych sukniach ! I on po tamtej stronie: ja sam ! Niemy i nieruchomy.

Tak spoglądaliśmy sobie w oczy — jeden straszne zwierciadlane odbicie drugiego.

Czy on też widzi, jak promienie księżycy ślimaczo — leniwie czołgają się po podłodze, niby wskazówki niewidzialnego zegara w nieskończoności, wpełzają na ściany i stają się coraz płowsze — płowsze ?

Zaczarowałem go mocno swoim wzrokiem i nic mu nie pomogło, że chciał się rozwiać w zorzy porannej, która mu przyszła z pomocą — przez okno.

Trzymałem go mocno. Krok za krokiem walczyłem z nim o swe życie — o życie które jest mojem, bo już nie należy do mnie. I gdy on coraz bardziej małał i przy szarym świcie ukrywał się i chował w swoją kartę: wstałem, poszedłem naprzeciw niemu i włożyłem go do kieszeni — tego Pagada !

Ulica była wciąż pusta i bezludna. Przeszukałem kąt pokoju, który teraz był oświetlany mdłym światłem poranka: tu skarupy, tam zardzewiała patelnia, spróchniałe strzępy, szyjka od butelki. Martwe przedmioty, a jednak tak dziwnie

znane. I także mury, gdy się uwydatniły ich rysy i szczeliny — gdzie ja je widziałem? Wziąłem do ręki talię kart, przeszło mi przez myśl, czy nie ja sam je kiedyś malowałem? Będąc dzieckiem?

Przed dawnymi, dawnymi czasy?

Była to starodawna gra w taroka z hebrajskimi znakami Numer 12 musi być wisielec — przeszło mi przez myśl prawie, jak wspomnienie.

Z głową pochyloną w bok? Ręce na plecach?

Przerzuciłem karty: tak to był on!

Potem znów jako pół sen, pół rzeczywistość, wynurzył się przedemną obraz: szczerbiały dom szkolny pochylony, zapdający się, mroczna kuźnia czarownic, lewe skrzydło domu podniesione, prawe zrosnięte z przybudówką.

Nas jest dużo: wyrostki — chłopcy — gdzieś ci tu jest opuszczona piwnica.

Potem spojrzałem na swe ciało i znów zdało mi się, że wpadłem w bredzenie: staromodne ubranie było mi zupełnie obce. Chropowaty hałas taczki przestraszył mnie ale gdy spojrzałem na dół; nie było tam żadnej ludzkiej duszy, tylko pies od rzeźnika stał na kamieniu.

Nakoniec. Głosy! ludzkie głosy! Dwie stare kobiety szły powoli ulicą, precisnąłem głowę do połowy przez kraty i zawołałem na nie. Otworzyły usta, wytrzeszczyły w górę oczy i jęły się naradzać. Lecz gdy mnie zobaczyły, zaczęły strasznie krzyżeć i uciekły. Domyśliłem się, że wzięły mnie za Golema. Czekałem aż powstanie zbiegowisko ludzi, którym mógłbym się dać poznać, lecz minęła godzina i tylko od czasu do czasu spoglądała na mnie z dołu, ostrożnie jaka blada twarz, aby natychmiast w śmiertelnym strachu znów się ukryć. Czy miałem czekać, aż po kilku godzinach, albo może dopiero jutro przyjdą policjanci — miejskie I a mury jak ich Zwak nazywał? Nie, wolę zbadać podziemne przejścia nieco dalej w odwrotnym kierunku do tego, w jakim się tu dostałem. Może w ciągu dnia wpadnie przez szpary w kamieniach jakikolwiek pobłysk światła?

Spuściłem się po drabinie, ruszyłem w tę samą drogę, którą wczoraj przeszedłem; przez całe stopy pokruszonych cegieł i przez zapadniętą piwnicę, wdrapałem się na rozwalone schody i nagle stanąłem w sieni czarnego budynku szkolnego, który już poprzednio widziałem jak we śnie. W tej chwili uderzyła mnie fala wspomnień: ławki opryskane od góry do dołu atramentem, kajety rachunkowe, chłopiec który wpuścił do klasy chrabąszcza, szkolne książki ze zgniecionymi bułkami, i zapach skórek pomarańczowych. Teraz wiedziałem napewno: kiedyś znajdowałem się tutaj, będąc jeszcze pacholęciem. — Lecz nie namyślałem się długo nad tem i pospieszyłem do domu.

Pierwszy człowiek, który mnie spotkał na ulicy Saletrzanej był to zarośnięty stary żyd z białymi pejsami. Zaledwie mnie spostrzegł, zakrył twarz rękoma i zawył głośno hebrajską modlitwę. Na krzyk ten musiało prawdopodobnie dużo

ludzi wybiedz ze swoich kryjówek, gdyż pozamną powstał zgiełk nieopisany. Odwróciłem się i ujrzałem rojną armię śmiertelnie bladych przerażonych twarzy, która szła moim śladem.

Zdumiony spojrzałem na siebie i zrozumiałem: — nosiłem wciąż osobliwą szatę średniowieczną, którą osłoniłem swój kostjum, i ludzie sądzili, że widzą przed sobą Golema. Prędko pobiegłem za róg do bramy i zerwałem ze siebie spleśniały łachman. Równocześnie obok mnie przebiegł tłum, wymachując laskami i wrzeszcząc oślinionemi usty.

Przypisy

1. **i** Karta w grze zwanej tarok — prz. tłum.
2. **1** **v** pagad — prawdopodobnie chodzi o kartę tarota „Głupiec/Wędrowiec“ należącą do Wielkich Arkanów, oznaczoną numerem 0, której przypisuje się literę alfabetu hebrajskiego — N (alef)

S W I A T Ł O .

Kilka razy w ciągu dnia stukałem do drzwi Hillela; nie dawało mi to spokoju; musiałem z nim mówić i zapytać, co znaczą wszystkie te dziwne przygody; lecz nie było go ani razu w domu. Córka jego miała mnie zawiadomić natychmiast, gdy ojciec powróci z żydowskiego ratusza. Szczególna zresztą dziewczyna ta Mirjam. Typ jakiego jeszcze nigdy nie widziałem. Piękność tak niezwykła, że w pierwszej chwili nie można jej uchwycić, piękność, która oniemia, gdy się na nią spojrzy, i budzi niewyjaśnione uczucie czegoś, jak ciche zwątpienie o sonie. Twarz jej jest ukształtowaną podług zasad proporcji, które już od wieków zanikły; takem ją sobie określił gdym ją znów spostrzegł w duchu przed sobą. I namyślałem się, jaki kamień szlachetny musiał bym wybrać, aby ją w gemmie utrwalić i przytem zachować wyraz artystyczny, choć by tylko co do strony zewnętrznej: granatowo-czarny połysk włosów i oczu, który przewyższał wszystko cokolwiek tylko widziałem. Jak należało by tę nieziemską szczupłość oblicza zaczarować w gemmie, stosownie do wymagania zmysłów i wizyjności, aby nie wpaść w owo tępe odtwarzanie podobieństwa podług prawideł estetyki banalności. Tylko sposobem mozaiki można rozwiązać te zadanie: zrozumiałem to jasno.

Jaki jednakże wybrać materiał? Życie całe przystało by szukać wzajemnej odpowiedniości. Lecz gdzie się podziewa Hillel? Tęskniłem za nim jak za drogim starym przyjacielem. Rzecz zdumiewająca, jak w ciągu tych kilku dni wrósł mi on w serce, chociaż ściśle biorąc, rozmawiałem z nim tylko jeden jedyny raz w życiu.

Ale prawda, listy — jej listy chciałem lepiej ukryć, dla własnego spokoju, gdybym kiedy na dłuższą chwilę wyszedł z domu. Wyjąłem je ze skrzyni, w kasetce będą pewnie schowane. Z pośród listów wyslizgnęła się jakaś fotografia, chciałem nie spojrzeć na nią, lecz było już zapóźno.

Złotogłów zarzucony na nagie ramiona — zabłysła mi w oczach — tak jak „ją“ widziałem po raz pierwszy, gdy uciekła z pracowni Saviolego do mego pokoju. Ból uczułem obłądny. Nie pojmując słów, przeczytałem pod fotografią dedykację i imię:

Twoja Angelina.

Angelina!!!

Gdy wymówiłem to imię, zasłona, ukrywająca przedemną moje lata młodzieńcze, rozdarła się nagle od dołu. Myślałem, że umrę z bólu. Drapałem palcami powietrze i skomlałem — ugryzłem się w rękę. Oślepnąć znów, Boże

na niebiesiech, daj mi być nadal tą pozorną śmiercią, błagałem. Ból wcisnął mi się w usta.

Męczarnia!

Smakowało to dziwnie słodko, — jak krew — Angelina!

Imię to krążyło w moich żyłach i stało się nieznośną, upiorną tęsknotą. Gwałtownym ruchem zerwałem się i szczękając zębami, zmusiłem wzrok swój, by utkwiał w fotografii, aż powoli nad nią zapanuję!

Zapanuję! jak dzisiaj w nocy nad kartą z taroka.

Nareszcie: kroki? Ludzkie kroki! Przyszedł.

Z radością pobiegłem do drzwi i szarpnąłem je.

Za niemi stał Szemajah Hillel, a zanim — pocichu wyrzucałem sobie, że mnie to rozczarowało: z rudemi baczkami i okrągłymi dziecięcymi oczyma, stary Zwak.

„Ku mojej radości wygląda pan dobrze, mistrzu Pernat „zaczął Hillel.

Chłodne „Pan“?

Mróz! Śnieżysty zabójczy mróz zaległ nagle pokój. Ogłuszony, pół uchem nadśluchiwałem, co mi plótl zadyszany od wzburzenia Zwak.

„Wiesz pan, że Golem znów się ukazał. Niedawno mówiliśmy o tem. Czy wie pan już, mistrzu Pernat? Cała dzielnica żydowska poruszona. Vrieslander sam go widział, Golema, i znów jak zwykle rozpoczęło się to morderstwem —

Słuchałem zdumiony? Morderstwo?

Zwak kiwnął mi: „To pan nic o tym nie wie? Wszędzie na rogach są porozlepiane olbrzymie wezwania policyjne: zamordowany został gruby Zottman „wolny mularz“; przypuszczam, że to jest Zottman, dyrektor towarzystwa ubezpieczeń. Lois — z tego domu, już jest aresztowany. A ruda Rozyna zniknęła bez śladu. — Golem — aż włosy podnoszą się ze strachu.

Nie dałem żadnej odpowiedzi, śledziłem oczy Hillela: dlaczego on się tak przenikliwie na mnie patrzy?

Wstrzymywany uśmiech zadrgał nagle w kątach jego ust.

Zrozumiałem. Miało to dla mnie znaczenie. Z największą chęcią radośnie rzuciłbym mu się na szyję. Nie posiadając się z zachwytu, biegałem bezmyślnie po pokoju. Co najpierw przynieść? Szklanki? Butelkę burgunda? (Miałem przecie tyłką jedną). Cygara? — W końcu znalazłem słowa: „Lecz dlaczego panowie nie siadacie!?” Szybko przysunąłem obydwu moim przyjaciołom krzeselka. — Zwak zaczął się złościć: „Dlaczego pan się ciągle śmieje, panie Hillel? Może pan nie wierzy, że Golem straszy? Mnie się zdaje, że pan wogóle nie wierzy w Golema?”

„Nie uwierzyłbym w niego, gdybym go nawet zobaczył przed sobą tutaj w pokoju“ odpowiedział spokojnie Hillel ze wzrokiem utwionym we mnie,

Zrozumiałem dwuznaczność, ukrytą w jego słowach. Zwak, zdziwiony

przerwał picie: „Czy świadectwo setek ludzi dla pana nic nie znaczy, panie Hillel? — Ale niech pan tylko zaczeka, niech pan pomyśli nad moimi słowami: morderstwo za mordestwem będzie się teraz powtarzało w dzielnicy żydowskiej! Znam to. Golem pociąga za sobą nieprzewidziane skutki.

„Tego rodzaju zdarzenia bynajmniej nie są niczem zadziwiającym“ odpowiedział Hillel. Mówił to, chodząc; podszedł do okna i spojrzał w dół na sklepik kramarza. — Gdy silny wiatr wieje, drgają korzenie zarówno słodkie jak i jadowite“.

Zwak mrugnął na mnie wesoło i wskazał głową Hillela.

„Gdyby Rabbi zechciał mówić, mógł by nam takie rzeczy opowiedzieć, że aż włosy na głowie by powstawały“ dorzucił szeptem.

Szemajah obrócił się. „Nie jestem Rabbi, chociaż mam prawo używać tego tytułu. Jestem tylko biednym archiwariuszem w żydowskim ratuszu i prowadzą rejestrację żywych i umarłych“.

Poczułem w jego mowie jakieś ukryte znaczenie. Właściciel teatru marionetek zdaje się również to wyczuł; zamilkł, długi czas żaden z nas nie odezwał się ani słówkiem,

„Wysłuchaj mnie Rabbi — przebacz mi panie Hillel, chciałem powiedzieć“ — rozpoczął po chwili Zwak, a głos jego brzmiał rażąco poważnie, — „już od dawna chciałem się pana o coś zapytać“.

„Pan mi nie odpowie, jeżeli pan nie może lub nie chce“

Szemajah podszedł do stołu i bawił się szklanką od wina i migotaniem jego czerwieni; nie pił; zapewne bronił mu tego rytuał żydowski.

„Niech się pan śmiało pyta, panie Zwak.“

„Czy wie pan coś o żydowskiej nauce tajemnej, Kabbale, panie Hillel?“

„Bardzo niewiele.“

„Słyszałem, że istnieje dokument, za pomocą którego Kabbalę można zrozumieć: tak zwany „Zohar“

„Tak Zohar, księga światłości.“

„A widzi pan. tam on jest! — drwił Zwak — czy to nie jest wołającą o pomstę do nieba niesprawiedliwością, że pismo, zawierające klucze do zrozumienia Biblii i do szczęścia wiekuistego “

Hillel przerwał mu: „niektóre tylko klucze;“

„Dobrze, w każdym razie kilka — a więc, że to pismo, wskutek wysokiej ceny i rzadkości, jest dostępne tylko dla bogatych? Że egzystuje, jak mi opowiadano, w jednym jedynym egzemplarzu, który przytem jeszcze jest schowany w muzeum londyńskim? i napisany do tego po Chaldejsku, aramejsku, hebrajsku — czy ja wiem zresztą jak? Czy ja miałem naprzykład choć raz w życiu sposobność uczyć się tych języków albo pojechać do Londynu?

„Czy wszystkie swoje życzenia wyteżął pan tak gorąco do tego celu?“ zapytał Hillel z lekką ironją.

„Otwarcie powiedziawszy — nie,“ — odparł Zwak poniekąd zmieszany.

„Więc nie powinien się pan skarżyć“ — sucho odpowiedział Hillel, — „kto nie krzyczy o ducha każdą komórką swej istoty, — jak ten co się dusi — o powietrze: ten nie może przejrzyć tajemnic boskich.“

„Pomimo to powinna być wydana książka, zawierająca wszystkie klucze do zagadnień tamtego świata, a nie niektóre tylko,“ „błysnęło mi przez głowę a ręka moja bawiła się „Pagadem,“ którego wciąż jeszcze nosiłem w kieszeni, lecz zanim to pytanie ubrałem w słowa, już je Zwak wypowiedział. Hillel uśmiechnął się zagadkowo!

„Na każde pytanie, które człowiek w duchu zadaje, w tej samej chwili otrzymuje odpowiedź.“

„Czy pan rozumie, co on przez to chce powiedzieć?“ zwrócił się Zwak do mnie. Nie dałem mu odpowiedzi i wstrzymałem oddech, aby nie uronić żadnego słowa Hillela. Szemajah mówił dalej:

„Całe życie jest to nic innego jak szereg pytań, przeobrażonych w formy, które noszą same w sobie jądro odpowiedzi, oraz szereg odpowiedzi, które płyną brzemienne pytaniami. Jeżeli ktoś co innego w tem widzi — jest głupcem.“

Zwak uderzył pięścią w stół!

„Tak, pytania, które za każdym razem inaczej brzmią i odpowiedzi, które każdy inaczej rozumie.“

„Właśnie o to się rozchodzi,“ powiedział Hillel przyjaźnie. Wszystkich ludzi kurować jedną łyżką jest jedynie przywilejem lekarzy. Pytający otrzymuje tę odpowiedź, która mu jest potrzebna: inaczej stworzenie nie szłoby drogą swojej tęsknoty. Czy pan myśli, że nasze żydowskie pisma są tylko dla jakiegoś widzi mi się pisane wyłącznie spółgłoskami? Każdy wyszukuje sobie skryte samogłoski, które zawierają tylko dla niego określoną myśl, — żywe słowo nie powinno zamieniać się w martwy dogmat.“

Właściciel teatru marionetek odparł z siłą:

„To są słowa, Rabbi, słowa! Nazwę się Pagad ultimo^, jeżeli będę z tego mądry.“

Pagad!!

Słowo to uderzyło we mnie jak piorun. Ze zdziwienia o mało nie upadłem z krzesła. Hillel unikał mego wzroku.

„Pagad ultimo? kto wie, czy się pan tak rzeczywiście nie nazywa, panie Zwak“ uderzyły mnie jak z dalekiej odległości, słowa Hillela.

„Nigdy nie można być siebie pewnym. Zresztą ponieważ mówimy właśnie o kartach; panie Zwak, czy gra pan w taroka?“

„W taroka? Naturalnie. Od dzieciństwa.

„Dziwi mnie przeto, jak pan mógł się pytać o książkę zawierającą całą kabałę, jeżeli pan ją miał już tysiące razy w ręku.“

„Ja? Miałem w ręku? Ja?“

Zwak chwycił się za głowę.

„Tak, pan! Czy panu nigdy nie wpadło na myśl, że tarok ma 22 atuty, właśnie tyle, co alfabet hebrajski liter? Czy nasze czeskie karty nie przedstawiają więcej niż trzeba obrazków, które jawnie są symbolami: głupiec, śmierć, djabeł, sąd ostateczny? Jak głośno, kochany przyjacielu, chciałbyś właściwie, aby ci życie wrzeszczało w ucho swe odpowiedzi? Chociaż pan tego nie potrzebuje wiedzieć, lecz „tarok“ lub „tarot“ znaczy to samo co żydowskie „To r a“ — prawo, albo staroegipskie „T a r u t“ — Rozpytywana, a w starożytnym języku Zend, słowo „t a r i s k“ — „żądam odpowiedzi.“ — Lecz uczeni, zanim to twierdzenie postawią, powinni wiedzieć, że tarok pochodzi z czasów Karola VI. — I — jak Pagad jest pierwszą kartą w grze, tak człowiek jest pierwszą figurą w swojej książce obrazkowej, swoim własnym sobowtórem: hebrajska litera Alef, zbudowaną jest w kształcie człowieka, którego jedna ręka wskazuje niebo, druga jest opuszczona na dół, a to ma znaczyć: „Jak jest na górze, tak jest również i na dole; jak jest na dole, tak jest również i na górze.“

„Dlatego też powiedziałem poprzednio; kto wie, czy pan rzeczywiście nazywa się Zwak, a nie „Pagad.“

„Niech pan tego nie wywołuje“ — Hillel spojrział przytem nieznacznie na mnie, ja zaś przeczuwałem, jak pod jego słowami otwierała się otchłań coraz nowych znaczeń — „niech pan tego nie wywołuje, panie Zwak! Można się dostać w ciemne przejścia, z których jeszcze nikt, kto nie nosi przy sobie pewnego talizmanu, nie znalazł wyjścia. Podanie mówi, że pewnego razu trzech mężczyzn zstąpiło do państwa ciemności; jeden zwarjował, drugi oślepił, tylko trzeci Rabbi ben Akiba, wrócił zdrów i mówił, że spotkał tam samego siebie. Już nie jeden, powie pan, spotykał samego siebie, np. Goethe zazwyczaj na moście, albo też w przejściu z jednego brzegu rzeki na drugi, spoglądał sam sobie w oczy i nie warjował.

„Lecz wtedy było to tylko odzwierciedlenie jego świadomości, a nie prawdziwy sobowtór: nie to co nazwano „tchnieniem kości,“ — „Habal Garmin,“ o czym się mówi:“ „Jak schodził on w grób, nie ulegając zgniliznie, w swych zwłokach, tak zmartwychwstanie w dzień sądu ostatecznego.“ Wzrok Hillela zatapiał się coraz głębiej w moich oczach

„Nasze prababki mówią o nim: mieszka on wysoko ponad ziemią, w izbie bez drzwi, o jednym tylko oknie, skąd porozumienie się z ludźmi jest niepodobieństwem; kto go zdoła oczarować i wysubtelnić, ten będzie samemu

sobie dobrym przyjacielem.

„Co pozatem tyczy się Taroka, to pan wie wszystko tak dobrze, jak ja: dla każdego gracza karty mają inną wartość, lecz kto odpowiednio zastosuje atuty, ten wygra partję.

„Teraz jednak chodźmy? panie Zwak! Chodźmy, wypije „pan wszystkie wino mistrzowi Pernatowi, a dla niego samego nic nie zostanie.

Przypisy

1. [i v](#)> pagad ultimo — ostatni głupiec

N ę d z a .

Śnieżyca srożyła się przed moim oknem. Gwiazdki śniegu ścigały się w szyku bojowym, jak drobni żołnierze, w białych, kosmatych płaszczkach, — przebiegając w przeciągu minuty jedna za drugą koło okien — wciąż w tym samym kierunku, jak we wspólnej ucieczce przed nadzwyczaj złośliwym przeciwnikiem. Potem naraz zgęściły się przy tej ucieczce, jakby z zagadkowych powodów nabrały wściekłej odwagi, zaszumiały znowu, aż z góry i z dołu nowe armie nieprzyjacielskie napadły na ich skrzydło i wszystko rozproszyły w obłąkanym wirze.

Zdawało mi się, że przeszły miesiące od tego, niedawno minionego czasu, w którym przeżywałem te dziwne rzeczy, i gdyby nie dochodziły mnie codziennie po kilka razy, coraz to nowe sprzeczne wieści o Golemie, które kazały mi przeżywać wszystko na nowo, to mógłbym w chwilach zwątpienia podejrzewać, że stałem się ofiarą zamroczenia duszy. Z pstrych arabesek, w jakie osnuły mnie te zdarzenia, wyłoniło się w jaskrawych barwach to, co mi opowiadał Zwak o dotychczas niewyjaśnionem zamordowaniu tak zwanego „Wolnomularza.“ Nie mogłem dokładnie pojąć, jaki ma z tym związek dziobaty Lois, chociaż trudno mi było się otrząsnąć z mrocznego podejrzenia; prawie bezpośrednio potem, gdy Prokopowi wydawało się, że słyszy pod sztachetą kanału tajemniczy szmer, widzieliśmy chłopaka u „Loisiczka.“ Wszelako nie było powodu, ów krzyk pod ziemią, który mógł być również dobrze złudzeniem zmysłów, uważać za wołanie o pomoc jakiegoś człowieka.

Szerząca się przed moimi oczyma zawierucha śnieżna oślepiła mnie i zacząłem wszystko widzieć w tańczących smugach. Zwróciłem całą swoją uwagę na leżącą przedemną gemmę. Twarz Mirjam, rzuconą na woskowy model, chciałem przenieść na wspaniale błyszczący, błękitnawy selenit. — Cieszyłem się; był to przyjemny wypadek, że w zapasie swoich minerałów znalazłem coś tak odpowiedniego. Ciemno-czarna macica blendy rogowej nadawała kamieniowi prawdziwe światło, a kontury były tak rzetelne, jak gdyby sama natura stworzyła to trwałe odbicie regularnych rysów profilu Mirjam.

Początkowo zamierzałem wyryć z tego kruszcu kameę, przedstawiającą egipskiego boga Ozyrysa i wizję Hermafrodyty z księgi Ibbur, którą w każdej chwili mogłem z uderzającą dokładnością w pamięci wywołać, co mnie wielce parło do twórczości, lecz po pierwszych nacięciach, znalazłem takie podobieństwo do córki Szemajaha Hillela, że projekt swój zmieniłem.

— Księga Ibbur!

Wstrząśnięty odłożyłem rylec. Nie do pojęcia co wdarło się w tym krótkim

urywku czasu w moje życie. Jak ktoś co się znalazł nagle w niezmierzonej pustyni, uczulem za jednym ciosem głęboką, bezwzględną samotność, oddzielającą mnie od reszty ludzi.

Czy mógłbym porozmawiać o tym co przeżyłem z jakimś przyjacielem — wyłączając Hillela? W cichych godzinach minionych nocy wracało wprawdzie wspomnienie, że całe moje lata młodości, poczynając od najwcześniejszego dzieciństwa, męczyła mnie aż do śmiertelnego udręczenia niewypowiedziana żądza dziwów, leżących poza krainą śmiertelnych, lecz spełnienie moich marzeń przyszło jak rozwichrzona burza i stłumiło okrzyk radości mej duszy całym swym ciężarem.

Drżałem przed tą chwilą, w której przyjdę do siebie i wszystko co się zdarzyło za pełni swego życia ujmę jako rzeczywistość. Lecz niechaj to jeszcze nie teraz nastąpi. Wpierw spróbować rozkoszy: ujrzeć jak dochodzi do przejrzystości to, co jest nie wypowiedziane. Posiadam to w swojej mocy. Dość mi było tylko przyjść do sypialni i otworzyć kasetkę, w której leży książka Ibbur, dar świata niewidzialnego. Dopóki ta księga tutaj się znajduje, ręka moja dotknęła jej się tylko wtedy, gdy ukrywałem w niej listy Angeliny.

Na zewnątrz — tępy odgłos strącanych od wiatru mas śniegowych z dachów przerywał głuchą ciszę, gdyż pokrywa śniegowa na chodnikach zagłuszała każdy dźwięk. Chciałem pracować w dalszym ciągu, wtem wzdłuż ulicy zabrzmiały ostre uderzenia podków, aż widać było formalnie sypiące się skry.

Otworzyć okno i wyjrzeć na ulicę było niemożliwe: sopele lodu spoiły silne jego brzegi z murem, a szyby były do połowy zamrożone. Ujrzałem tylko Charouska, stojącego na pozór zupełnie przyjaźnie przy kramarzu Wassertrumie, — musieli właśnie rozmawiać ze sobą, — spostrzegłem jak osłupienie, malujące się na ich twarzach, wzrastało; nie mówiąc nic, wlepili wzrok w powóz, którego moje oczy dostrzedz nie mogły. Przyszło mi przez myśl, że to mąż Angeliny. — To nie mogła być ona! Własnym ekwipażem przyjeżdżać tutaj do mnie, — na Koguci zaułek w oczach wszystkich ludzi! To było by szaleństwem. — Lecz co odpowiem jej mężowi, gdyby to był on i znieścacka mnie zapytał?

Zaprzeczę, naturalnie zaprzeczę. W mgnieniu oka przedstawiłem sobie wszelkie możliwości: to może być tylko jej mąż. Otrzymał anonimowy list, od Wassertruma — że ona tu jest na schadzce, i użyła jakiejś mymówki: prawdopodobnie, że zamówiła u mnie jakąś kamee lub coś w tym rodzaju.

Wtem, — zjadłe stukanie do drzwi — Angelina stanęła przedemną. Nie mogła wymówić ani słowa, lecz wyraz jej twarzy zdradzał wszystko: nie potrzebowała więcej się ukrywać. Pieśń była skończoną. Jednakże coś buntowało się we mnie przeciwko temu wnioskowi. Nie przypuszczałem nawet, aby uczucie, iż jestem w stanie jej dopomóc, miało mnie okłamać.

Zaprowadziłem ją do fotelu. Nic nie mówiąc, pogłaskałem ją po włosach; ona zaś śmiertelnie znużona, jak dziecko, ukryła głowę na mojej piersi. Słuchaliśmy trzasku palących się w piecu szczap, i patrzeliśmy jak czerwona zjawa na palenisku rozżarzało się i gasło, rozżarzało i gasło — rozżarzało i gasło.

„Gdzie jest serce z czerwonego kamienia? —“ dźwięczało w mej duszy. Zerwałem się; gdzie jestem! Jak długo już ona tu siedzi?

Wypytywałem ją, — ostrożnie, powoli, zupełnie wolno, aby nie przebudziła się i abym śledztwem swoim nie uraził bolesnej rany. Urywkami dowiedziałem się, co chciałem wiedzieć i ułożyłem to razem jak mozaikę: „Mąż pani wie?“. „Nie, jeszcze nie; wyjechał“. A więc rozchodziło się o życie Dr. Savioli’ego; — Charousek odgadł trafnie. A ponieważ rozchodziło się o życie Savioli’ego, nie zaś jej — przyszła tu. Domyśliłem się, że ona już nie myśli, aby co kolwiek ukrywać. Wassertrum był powtórnie u Dr. Savioli’ego. Groźbą i siłą znalazł sobie drogę, aż do łóżka chorego. A dalej! Dalej! Czego on chce od niego? Czego chce? ona to nawpół odgadła, nawpół przekonała się: on chce, aby — aby on chce, aby Savioli’emu stała się krzywda.

Teraz ona zna również powody dzikiej, nieprzytomnej nienawiści Wassertruma: doktor Savioli doprowadził niegdyś jego syna, okulistę, Wassory’ego do śmierci. Natychmiast, jak błyskawica, wpadła mi myśl; zbiedzna dół i wszystko kramarzowi wyjawić; że Charousek zadał cios z zasadzki, — a nie Savioli, który był tylko narzędziem. „Zdrada!zdrada!“ zawyło mi w umyśle, — „chcesz więc biednego suchotnika Charouska wydać na łup żądzy zemsty tego łajdaka?“ — Rozdarło się to we mnie na krwawiące połowy. — Potem myśl jakaś wypowiedziała mi lodowato i spokojnie rozstrzygnięcie: „Głupcze! w twoim ręku jest wszystko! Starczy, gdy schwycisz pilnik z tego stołu, zbiegniesz na dół i uderzysz nim kramarza w gardło tak, aby koniec wyszedł od strony karku!“ Serce moje wydało okrzyk dziękczynny do Boga.

„Badałem dalej: „A d-r. Savioli?“ Niema najmniejszej wątpliwości, że on sam sobie zada śmierć, jeśli ona go nie ocali. Siostry miłosierdzia nie spuszczają go z oczu, uspiły go morfiną, lecz może nagle się obudzić — może właśnie teraz — i — i — nie, nie, ona musi iść, nie może stracić ani sekundy czasu, — ona chce napisać do męża, — we wszystkim mu ustąpić, — niech on zabierze jej dziecko, lecz Savioli będzie wyratowany, gdyż tym sposobem wytrąciła by Aronowi z ręki jedyną broń, którą ten posiada i którą grozi. Ona chce tajemnicę sama wyjaśnić, zanim tandeciarz ją zdradzi. „Tego pani nie robi, Angelino!“ — krzyknąłem wspomniawszy pilnik, a głos radości odmówił mi posłuszeństwa na myśl o mojej mocy. Angelina chciała się zerwać, zatrzymałem ją siłą. „Jeszcze tylko jedno: niech pani pomyśli nad tem, czy mąż pani uwierzy kramarzowi bez zastrzeżeń?“

„Lecz Wassertrum ma dowody, zapewne moje listy i prawdopodobnie moją

fotografię, — wszystko co było ukryte w biurku, obok w pracowni.“

Listy? fotografie? biurko? — Nie wiedziałem już co czynią: porwałem Angelinę w objęcia i całowałem ją. W usta, czoło, oczy.

Jej jasne włosy rozpostarły się przed moim wzrokiem, jak złoty welon. Potem trzymałem ją za szczupłe ręce i w przerywanych słowach powiedziałem, że śmiertelny wróg Wassertruma — pewien biedny student czeski, listy i inne rzeczy z wielką ostrożnością zabrał, że są one w mojem posiadaniu i dobrze utajone. Rzuciła mi się na szyję, śmiała się i przez chwilę płakała. Całowała mnie. Pobiegła do drzwi. Wróciła raz jeszcze i znów mnie całowała. Potem zniknęła. Stałem, jak ogłuszony i wciąż czułem na twarzy oddech jej ust. Słyszałem turkot kół powozu na bruku i wściekły galop podków. Po minucie wszystko ucichło. Jak grób. Również i we mnie.

W tem za mną cicho zaskrzypiały drzwi; w pokoju stał Charousek. „Wybacz pan, panie Pernat, długo stukąłem, lecz pan zdaje się nie słyszał/⁴ Kiwnąłem tylko głową milcząco. „Spodziewam się, że pan nie sądzi, jakobym się pogodził z Wassertrumem dla tego, że przed chwilą widział pan, jak z nim rozmawiałem?⁴⁴ Szyderyczy uśmiech Charouska mówił mi, że okrutnie sobie zażartował. — „A mianowicie, powiniem pan wiedzieć: szczęście mi sprzyja; ta kanalia tam na dole chce mię ująć za serce, mistrzu Pernat. To szczególna rzecz, że głos krwi,“ — dodał cicho, nawpół do siebie. Nie rozumiałem, co chciał przez to powiedzieć i przyjąłem, jak gdybym się przestyszał. — Podniecenie, przez jakie przeszedłem, jeszcze zbyt silnie mną wstrząsało. „Aron chciał mi podarować palto,“ mówił wciąż głośno Charousek. „Naturalnie z podziękowaniem nie przyjąłem. Dość mi już gorąco w mojej własnej skórze. — A potem wcisnął mi pieniądze/⁴ „Pan je przyjął?!⁴⁴ chciało mi się wyrwać, lecz szybko zatrzymałem język na uwięzi. Na policzkach studenta ukazały się okrągłe czerwone plamy. „Pieniądze ma się rozumieć, przyjąłem/⁴ Zakręciło mi się w głowie! „Przy — przyjął?⁴⁴ Zabełkotałem. „Nigdy nie przypuszczałem, żeby na ziemi można było doznać takiej radości!⁴⁴ Charousek zatrzymał się na chwilę i zrobił minę cudaczną. Czy to nie jest uczucie, wzniosłe widzieć w gospodarstwie natury ekonomiczny palec „Mateczki Opatrzności⁴⁴, zarządzający mądrze i przezornie?“ Mówił, jak pastor, pobrzękując zarazem pieniędzmi w kieszeni, — „zaprawdę, uważam za święty obowiązek, aby skarb, powierzony mi przez dobrotliwą rękę przeznaczyć kiedyś co do halerza i feniga na cel możliwie najszlachetniejszy/⁴ Czy był pijany? Może oszalał? Charousek zmienił nagle ton: „W tym właśnie leży szatański komizm, że Wassertrum sam sobie zapłacił za — lekarstwo. Czy pan tego nie spostrzega?“ Zamroczyło mnie jakieś przeczucie tego, co się kryje w mowie Charouska i zaczęło mi świtać w jego rozgorączkowanym wzroku. „Zresztą zostawmy to, mistrzu Pernacie.

Musimy przedtem załatwić sprawy bieżące. Przed chwilą, ta dama to była „ona“? Co jej znów przyszło na myśl, aby tutaj zajeżdzać tak jawnie?“. Opowiedziałem Charouskowi, co się stało. „Wassertrum napewno nie ma żadnych dowodów w ręku“, przerwał mi wesoło, „gdyż powtórnie nie przeszukiwałby dzisiaj rano pracowni. Zadziwiające, że pan go nie słyszał!? Całą godzinę był sam wewnątrz/⁴ Zadziwiło mnie, z kąd Charousek może wiedzieć wszystko tak dokładnie, co mu też powiedziałem.

„Czy mogę?“ Dla wyjaśnienia wziął ze stołu papierosa, zapalił go i tłumaczył mi sprawę. „Widzi pan, jeżeli otworzy pan teraz drzwi, to ciąg powietrza, wiejący z klatki schodowej, przyniesie ze sobą z tamąd dym tytoniowy. To jest zapewne jedyne prawo natury, które Wassertrum zna dokładnie, i na wszelki wypadek umieścił on w murze frontowym pracowni — jak pan wie, ten dom należy do niego — małą, ukrytą, otwartą framugę: rodzaj wentylacji, a wewnątrz niej czerwoną chorągiewkę. Gdy tylko ktośkolwiek wchodzi do pokoju, lub opuszcza go, to znaczy otwiera drzwi: Wassertrum to dostrzega z dołu po silnym trzepotaniu chorągiewki. Jednakże wiem ja również dobrze, dorzucił sucho Charousek, „co mam wtedy czynić, i mogę to dokładnie obserwować z nory piwnicznej naprzeciwko, w której łaskawy los wspaniałomyślnie pozwala mi mieszkać. — Milutki żarcik z wentylacją jest wprawdzie patentem czcigodnego patriarchy, lecz również i dla mnie jest to już od lat dostępne“. „Jakaż nadludzką nienawiść musi pan czuć do niego, jeżeli pan czatuje tak na każdy jego krok? A do tego, jak pan mówi, od dawna!“ dorzuciłem „Nienawiść?“ Charousek zaśmiał się spazmatycznie. Nienawiść? Nienawiść, to zbyt słabe wyrażenie.

„Słowo, któreby określało moje uczucie względem niego, musi być dopiero stworzone. — Nienawidzę jego krew.

„Czy pan to rozumie? Węszę, czuję to jak dzikie zwierzę, gdy choć jedna kropla jego krwi płynie w żyłach jakiegoś człowieka — i — zacisnął zęby — to zdarza się „czasami“ tutaj w Ghetto“. Od wzburzenia niezdolny mówić dalej, podbiegł do okna i zaczął przez nie wyglądać.

Słyszałem, jak tłumił sapanie. Przez chwilę milczeliśmy obaj. „Hallo! cóż to jest?“ — zerwał się nagle i natychmiast skinął na mnie; „Prędko, prędko! Czy ma pan lornetkę, albo coś w tym rodzaj u?“

Głuchoniemy Jaromir stał przed wejściem do kramu i o ileśmy się z jego migów mogli domyślić, prosił Wassertruma, aby kupił od niego jakiś mały błyszczący przedmiot, który był nawpół ukryty w ręku chłopca. Wassertrum poskoczył na to jak sęp i cofnął się do swojej jamy. W chwilkę potem wybiegł z powrotem — śmiertelnie blady i porwał Jaromira za piersi: jęli się pasować ze sobą zażarcie. — Naraz Wassertrum puścił go i zdawał się rozważać. — Zajadłe gryzł swoją górną zajęczą wargę. Rzucił w naszą stronę śledczym wzrokiem i

spokojnie pociągnął Jeromira za rękę do swego sklepu. Czekaliśmy jakiś kwadrans: zdawało się, że handel nie dojdzie do skutku. W końcu głuchoniemy wyszedł z zadowoloną miną i ruszył precz z tandeciarzem. „Co pan sądzi o tem?” zapytałem „Zdaje się, że to nic ważnego. Prawdopodobnie biedny chłopak posrebrzył jakiś wyżebrany przedmiot“ Student nie dał mi żadnej odpowiedzi i milcząc usiadł przy drzwiach. Widocznie nie przypisywał tej transakcji żadnego znaczenia, gdyż po przerwie zaczął dalej rozwijać kwestyę, na której się zatrzymał: „Tak. A więc powiedziałem, że nienawidzę jego krew. Niech mi pan, przerwie, mistrzu Pernat, gdy będę znów zbyt popędliwy. Chcę traktować rzecz na zimno. Nie mogę trwonić swych najlepszych uczuć. Zresztą później bywa mi czczo. Człowiek z poczuciem wstydu powinien rozmawiać chłodnymi słowami a nie z patosem jak prostytutka — albo poeta. Odkąd świat istnieje, nikomu nie przyszło by na myśl z żalu „załamywać ręce“, gdyby aktorzy nie stosowali tego gestu jako szczególnie „plastycznego“.

Domyśliłem się, że mówił to jedynie w tym celu, aby zachować spokój wewnętrzny. Nie udawało mu się to bynajmniej. Nerwowo biegał po pokoju, chwycił wszystkie możliwe przedmioty i w roztargnieniu stawiał je z powrotem na miejscu. Potem w jednej chwili wrócił do swego tematu: „Najmniejszym, mimowolnym ruchem człowieka krew ta zdradza się przedemną.

„Znam dzieci, które są podobne do „niego“ i uchodzą za jego dzieci, jednakże nie są one tego samego rodzaju; złudzić mnie nie podobna. Długie lata nie wiedziałem, że Dr. Wassory jest jego synem, lecz ja to, mógłbym powiedzieć, zwęszyłem. Jeszcze jako młody chłopiec, gdy nie mogłem nawet przeczuć, jaki jest stosunek Wassertruma do mnie, (jego wzrok przez sekundą spoczął na mnie badawczo) posiadałem ten dar. Kopano mnie nogami, bito, że niema chyba miejsca na moim ciele, któreby nie wiedziało, co to jest szalony ból, — głodzono mnie i pić nie dawano, aż stałem się nawpół niespełna rozumu i pożerałem zbutwiałą ziemię, lecz nigdy nie mogłem nienawidzić tych, którzy mnie dręczyli. Poprostu nie mogłem. Nie było już więcej miejsca we mnie na nienawiść. — Czy pan rozumie? Cała moja istota była nią nasycona. Wassertrum nie uczynił mi nigdy nawet najmniejszej przykrości — chce przez to powiedzieć, że wtedy, gdy jako ulicznik rozbijałem się po ulicach, nigdy mnie nie uderzył ani popchnął, ani nigdy mnie nie zelżył, — a jednak wszystko co we mnie wre żądzą zemsty i wściekłością, wyło przeciw niemu. Tylko przeciw niemu.

„Zadziwiający jednak pomimo to, że jako dziecko, nigdy nie wypłatałem mu żadnego figła; gdy inni to robili, natychmiast się wycofywałem. Lecz całe godziny mogłem stać w przejściu bramy, ukryty za drzwiami, i przez szparę patrzeć nieruchomo w jego twarz, aż od niewytłomaczonego uczucia zemsty czarno mi się robiło w oczach. Przypuszczam, że wtedy właśnie położyłem

kamień węgielny tego jasnowidzenia, które budzi się we mnie natychmiast, gdy wchodzę w styczność z istotami, a nawet rzeczami, co są z nim w jakimś związku. Wszystkie jego ruchy, sposób w jaki nosi chałat, jak bierze w rękę rzeczy, jak kaszle, jak pije i tysiące innych gestów: wszystkiego tego nieświadomie musiałem, nauczyć się na pamięć tak, aby wżarło mi się w duszę, abym wszędzie na pierwszy rzut oka z wszelką pewnością mógł rozpoznać jego dziedziczne ślady.

„Później stawało się to u mnie czasami prawie że manją: wyrzucałem precz niewinne przedmioty, gdyż dręczyła mnie myśl, że może jego ręka się ich dotknęła — inne znowu przypadły mi do serca; kochałem je jak przyjaciół, życzących mi złego.“

Charousek na chwilę zamilkł. Ujrzałem, jak nieprzytomny spoglądał w próżnię. Palce jego mechanicznie głąskały pilnik leżący na stole.

„Gdy potem paru litościwych nauczycieli złożyło się dla mnie i studjowałem filozofję i medycynę — gdy przytem nauczyłem się sam myśleć, — wtedy doszedłem powoli do świadomości, co to jest nienawiść.

„Tak głęboko nienawidzić, jak ja, możemy tylko coś, co jest częścią nas samych. A gdy potem sięgać jałem dalej — powoli dowiedziałem się wszystkiego — czem była moja matka — i — musi być, jeżeli — jeżeli jeszcze żyje, — i że moje ciało“ odwrócił się, abym nie mógł dojrzeć jego twarzy — „jest pełne jego wstrętnej krwi — no tak, Pernat, dlaczego pan ma o tem nie wiedzieć: on jest moim ojcem! — wtedy stało mi się jasnym, gdzie jest źródło. Czasami wydaje mi się, jako tajemniczy jakiś związek z tem wszystkim, fakt, że jestem suchotnikiem i muszę płuć krwią: moje ciało broni się przeciwko wszystkiemu, co jest od niego i odwraca się od siebie ze wstrętem“.

„Często moja nienawiść nawiedzała mnie we śnie i starała się pocieszyć mnie obliczem wszystkich możliwych katuszy, które pragnąłem „mu“ wyrządzić, lecz zawsze wypłaszalem je sam, gdyż pozostawiały mi miły obcy posmak niezaspokojenia. Gdy pomyślę o sobie i muszę się dziwić, że niema zupełnie nikogo i nic na świecie, kogo bym nienawidził, — a przynajmniej był w stanie nazwać antypatycznym, z wyjątkiem „niego“ i jego rodu, — to wkrada się często we mnie odrażające uczucie: mógłbym być tem, co nazywają „dobrym człowiekiem.“ Lecz na szczęście tak nie jest. — Powiedziałem już panu, że niema we mnie już na nic więcej miejsca.

„Lecz niech pan nie myśli, że rozgorczył mnie tak smutny los. (Co on uczynił z moją matką, dowiedziałem się o tem dopiero w późniejszych latach) — przeżyłem jedyny, dzień radości, dzisiaj już odległy i zaciemniony, co zresztą dozwolone jest każdemu śmiertelnikowi. Nie wiem czy pan zna wewnętrzną, prawdziwą, gorącą pobożność, — dotychczas również jej nie znałem, — lecz gdy w tym dniu, w którym Wassory sam sobie śmierć zadał,

stałem na dole przy sklepie i widziałem, jak „on“ otrzymał tę wiadomość: przyjął ją „zdrętwiały“ jak laik nie znający prawdziwego teatru życia, całą godzinę stał bez czucia, wysunął troszeczkę wyżej ponad zęby swoją zajęczą szczękę i gdy wzrok tak jakoś, tak — tak, — tak jakoś specjalnie zagłębił w siebie, to uczułem zapach kadzidła od powiewu skrzydeł archanioła.

„Czy zna pan obraz Matki Boskiej Łaskawej w kościele Tyńskim? Tam rzuciłem się na ziemię i ciemność raju owionęła moją duszę.“

Patrząc na Charouska, który tak stał a którego wielkie, rozmarzone oczy były pełne łez, wpadły mi na myśl słowa Hillela, jak niepojętą ciemnością osnuta jest droga, którą kroczą bracia śmierci.

Charousek mówił dalej: „Zewnętrzne okoliczności, które „usprawiedliwiają“ moją nienawiść albo które mogły by się wydawać zrozumiałe i mózgom wszystkich płątnych sędziów, zapewne nie będą dla pana ciekawe: fakty przedstawiają się jak kamienie milowe, a jednak są to tylko puste skorupy od jaj. Są one niby natrętny odgłos korków od szampana, co chyba tylko człowiek o słabym umyśle uważa za istotę uczyty.

„Wassertrum zmuszał moją matkę wszelkimi piekielnymi środkami, jak to było jego przyzwyczajeniem, stosować się do jego woli, — jeżeli nie gorzej. A potem, potem — a więc tak — a potem sprzedał ją — do domu publicznego, — co nie jest trudne, skoro ma się radców policyjnych za przyjaciół, — lecz nie dla tego, żeby nią był znudzony, o nie! Znam wszystkie skrytki jego serca: on ją sprzedał w tym dniu, w którym pełen przerażenia przekonał się, jak ją gorąco w rzeczywistości kocha. Taki jak on, postępuje napozór niedorzecznie, lecz zawsze równo miernie. Chomikowa jego istota tylko kwiczy, aby ktoś przyszedł do jego kramu i kupił od niego cokolwiek, a przytem za drogie pieniądze. Czuje wyłącznie potrzebę złapania czegoś. — Najchętniej chciałby na wskroś przesiąknąć tem pojęciem „mieć“, a gdyby mógł wogóle wymyśleć sobie jakiś ideał, to było by tylko to, co by się kiedyś zamieniło w oderwaną ideję „posiadania“.

„I wtedy to rozrosła się w nim aż do rozmiarów olbrzymiej góry obawa: „nie być pewnym samego siebie,“ — nie, żeby chciał ofiarować coś miłości, ale żeby był zmuszony do tego; i przeczuwać w sobie obecność czegoś niewidzialnego, co jego wolę, lub to czem by pragnął, aby było jego wolą, tajemnie spętał więzami. — Tak się zaczęło.

Co potem nastąpiło, stało się automatycznie:

tak jak szczupak, chce czy niechce — musi mechanicznie chwycić gębą — gdy we właściwym czasie przyplywa koło niego jaki błyszczący przedmiot. Sprzedaż mojej matki wydała się Wassertrumowi zupełnie naturalnem następstwem rzeczy.

Zaspokoila ona resztki drzemiących w nim właściwości: żądzę złota i

złośliwą rozkosz samoudręczenia. „Wybaczy pan, mistrzu Pernat,“ — głos Charouska zabrzmiał nagle trzeźwo i tak silnie, że się zląkłem — „wybaczy pan, że mówię o tym tak przerażająco mądrze, lecz gdy się jest w uniwersytecie, to przechodzi przez ręce mnóstwo przerafinowanych ksiązek; pomimo woli wpada się w akademicki sposób wyrażenia.“

Aby zrobić mu przyjemność, zmusiłem się do uśmiechu; wewnętrznie czułem bardzo dobrze, że student walczy ze łzami.

Musze mu jakoś pomódz, pomyślałem, przynajmniej spróbować ulżyć mu w gorzkiej nędzy, o ile to leży w mojej mocy. Niespostrzeżenie wyjąłem z komody banknot stuguldenowy, jedyny, który miałem jeszcze w domu i włożyłem mu do kieszeni. „Gdy kiedyś w przyszłości znajdzie się pan w lepszych warunkach i spełni swoje powołanie jako lekarz: spokój zawita do pana, panie Charousek;“ powiedziałem, aby rozmowę skierować na łagodniejsze tory — „Czy prędko pan zda doktorat?“ „Wkrótce. Jestem to winien swoim dobroczyńcom. Ale to rzecz bezcelowa, gdyż moje dni są policzone.“

Chciałem uczynić zwykły zarzut, jakoby widział zbyt czarno, ale on, uśmiechając się, odparł:

„Tak jest najlepiej. Nie może to być żadna przyjemność, udawać po kuglarsku lekarza i jeszcze pozyskać dla siebie tytuł szlachecki jako dyplomowany truciciel studzien. Przytem — dodał ze swoim szubienicznym humorem — niestety wszelkie dalsze działanie błogotwórcze zakazane mi jest po tej stronie Ghetta“ — Chwycił za kapelusz. — „Teraz nie chce już więcej śledzić. Albo może jest jeszcze co do powiedzenia w sprawie Saviolego? Nie sądzę. Proszę jednak, niech mię pan zawiadomi, jeżeli się p. dowie czego nowego. Najlepiej, niech pan tu na oknie zawiesi lustro na znak, że mam pana odwiedzić. Do mnie — do piwnicy niechaj Pan w żadnym razie nie przychodzi. Wassertrum zaraz poweźmie podejrzenie, że my coś mamy ze sobą. — Jestem zresztą ciekawy, co on teraz uczyni, skoro zobaczył, że ta dama była u pana. Powiedz pan po prostu, że przyniosła panu jakiś klejnot do naprawy, a gdyby się zanadto przyczepiał, to udawaj rozgniewanego“.

Nie nadarzyła się jakoś żadna właściwa sposobność, by Charouskowi wcisnąć banknoty; wziąłem więc znowu воск do modelowania z okna i rzekłem: „Pozwól pan, odprowadzę pana trochę po schodach — Hillel na mnie czeka“, skłamałem.

„Pan jest z nim zaprzyjaźniony? zapytał.

„Trochę. Czy pan go zna? Albo może pan nie ma zaufania“ — zdaje się, że się mimowoli uśmiechnął — i do niego także?“ Niechże Bóg pana broni!

„Czemuż Pan mówi to tak poważnie?

Charousek chwilę zwlekał i namyślał się.

„Sam nie wiem dla czego. Musi to być coś nieświadomego: ile razy

napotykam go na ulicy, chciałbym najlepiej zejść z bruku i uklęknąć przed nim jak przed księdzem, który niesie hostję. Widzi pan, mistrzu Pernat, jest to człowiek, który w każdym swoim atomie — stanowi przeciwieństwo Wassertruma. Uchodzi on np. tu w dzielnicy wśród chrześcijan, który jak zawsze tak i w tym wypadku są źle poinformowani — za skąpca i tajemnego milionera, gdy właśnie jest niewymownie biedny“.

„Biedny?“ zawołałem przerażony.

„O ile tylko można być biednym. Słowo „brać“ zna on, jak sędzę, wyłącznie z książek; ale gdy pierwszego dnia każdego miesiąca powraca z „ratusza“, wtedy żebracy żydowscy biegną za nim, wiedząc, że on pierwszemu lepszemu z nich całą swoją skąpą zapłatę wciśnie do ręki — i w parę dni potem wraz ze siostrą będą głodni. — Jeżeli jest prawdą, co mówi prastara legenda w Talmudzie, że z dwunastu pokoleń żydowskich dziesięć jest przeklętych a dwa święte: to Hillel jest wcieleniem tych dwóch pokoleń świętych, gdy Wassertrum wciela wszystkie pozostałe razem. — Czy pan zauważył, jakie to Wassertrum miny stroi, gdy Hillel koło niego przechodzi? — Bardzo ciekawe, mówię panu. Uważa pan, taka krew nie może się nigdy przemieszać: dzieci przychodziłyby na świat umarłe. Przypuszczając, że matki nie umarłyby przed tem ze zgrozy. Hillel zresztą jest to jedyny, któremu Wassertrum się nie narzuca; — uchodzi przed nim jak przed ogniem. Sądzić należy dla tego, że Hillel oznacza dla niego coś niepojętego, coś doskonale nieodgadnionego. Może też przeczuwa w nim kabalistę.

Zeszliśmy tym czasem w dół po schodach.

„Czy pan sądzi, że dzisiaj jeszcze istnieją kabaliści — i że wogóle z kabały da się co wyciągnąć? — pytałem, czekając z natężeniem, co też on mi powie, ale zdawało się, że nawet nie słyszał moich słów.

Powtórzyłem pytanie.

Charousek spiesznie się odwrócił i wskazał na drzwi na piętrze urobione z desek skrzyniowych.

„Masz tu pan nowych współ lokatorów. Jest to wprawdzie żydowska ale biedna rodzina: pół obłąkany — meszugen muzyk Neftali Szafrank, z córką, zięciem i wnuczętami. Kiedy jest ciemno — i kiedy on sam zostaje z małemi dziewczynkami, wtedy przychodzi na niego pomieszanie zmysłów. Obwiązuje dzieci aż do małego palca, ażeby mu nie uciekły, pomieszcza je w starym kojcu i naucza je „śpiewu“, jak mówi, aby później mogły sobie zarabiać na życie — to znaczy uczy je najszańszych piosenek, jakie istnieją, teksty niemieckie, kawalki, które stąd i zowąd pochwytał w mroku swego stanu duchowego, a które ma za pruskie hymny bojowe lub coś podobnego“. Istotnie brzmiała stamtąd osobliwa cicha muzyka. Skrzypce straszliwie i głośno skomlały ciągle w jednym i tym samym tonie, niby tracz co piłuje drzewo; towarzyszyły zaś mu

dwa cienusieńkie głosiki dziecięce.

„Frau Pick, frau Hock
Krau Kle — pe — tarsch,
se stehen beirenond
und schmu — sen allerhond“.

Było to zarazem szalone i komiczne — i mimowoli musiałem się głośno uśmiechnąć.

„Zięć Szafranek — którego żona na targu jajecznym sprzedaje na szklanki sok ogórkowy dzieciom szkolnym — przez cały dzień biega po rozmaitych kantorach — mówił dalej jakby gniewnie Charousek — i zebrze dla siebie o stare marki pocztowe. Marki potem sortuje, a gdy znajdzie takie, co przypadkowo tylko u brzegu są stemplowane, składa je z sobą i odpowiednio rozcina. Niestemplowane kawałki skleja razem i sprzedaje za nowe. Z początku interes kwitnął i nieraz dawał prawie florena dziennie, ale w końcu wpadli na to wielcy przemysłowcy żydowscy z Pragi — i zaczęli sami to robić. Tak zabrali sobie śmietankę.“

„Czy pan by starał się zapobiedz nędzy, p. Charousek, gdyby pan miał nadmiar pieniędzy? zapytałem gwałtownie. — Staliśmy u drzwi Hillela — a ja zastukałem.

„Czy pan mnie uważa za istotę tak pospolitą, abyś pan mógł myśleć, że tego bym nie czynił? — odparł zmieszany.

Kroki Mirjam zbliżały się coraz bardziej i czekałem, aż ona klamkę naciśnie; wówczas szybko mu wcisnąłem banknot do kieszeni i rzekłem: „Nie, panie Charousek, ja nie sędzę pana w ten sposób, ale pan musiałby mnie uważać za człowieka pospolitego, gdybym tej rzeczy zaniedbał.

Zanim ten cokolwiek mógł odpowiedzieć, uścisnąłem mu rękę i zawarłem drzwi za sobą. W chwili gdy Mirjam witała się ze mną, nasłuchiwałem co on robi.

Chwilę stał na miejscu, lekko zaszlochał; i powoli wahającym krokiem zeszedł w dół po schodach. Niby ktoś, co się musi trzymać za poręcz.

Poraz to pierwszy byłem w pokoju Hillela.

Nie miał on żadnej ozdoby, jak więzienie. Podłoga była czysta i białym piaskiem posypana. Żadnych mebli prócz dwóch krzeseł, stołu i komody. Drewniany słup na lewo i na prawo koło ściany.

Mirjam siedziała na przeciw mnie koło okna, ja zaś jałem ugniatać wosk modelowy.

„Czy trzeba koniecznie mieć przed sobą twarz, aby uchwycić podobieństwo? — zapytała nieśmiało, jakby tylko poto, by przerwać milczenie.“

Trwożliwie unikaliśmy spojrzeń nawzajem. Niewiedziała, w którą stronę ma skierować oczy w żalu i wstydzie dla nędzarskiego wyglądu pokoju, a mnie palić usta wyrzut, że się nie troszczyłem o to, jak żyła ona i jej ojciec.

Ale cokolwiek bądź musiałem odpowiedzieć.

„Nie tyle, aby utrafić podobieństwo, ile aby porównać, czy też wewnętrznie dobrze się twarz widziało“ mówiłem i w czasie mowy czułem, jak z gruntu fałszywym było wszystko, com mówił.

Długie lata, jak tępą i ograniczony umysł, szedłem za błędną zasadą malarską, że należy studyować naturę zewnętrzną, aby mózgi tworzyć artystycznie. Dopiero, kiedy mnie Hillel owej nocy przebudził, rozwinęło się we mnie widzenie wewnętrzne: prawdziwa moc widzenia z zamkniętą powieką, a która natychmiast gaśnie, gdy otworzysz oczy — dar, który wszyscy sądzą że posiadają, a którego na miliony nikt nie posiada rzeczywiście.

Jakże mogłem mówić o możliwości, chcąc mierzyć nieomylną wskazówkę wizji duchowej brutalnymi środkami widzenia naocznego?

Mirjam, zdawało się, myśli podobnie: tak mogłem sądzić ze zdumienia, jakie się malowało na jej twarzy.

„Nie powinna pani tego brać dosłownie“ — starałem się uniewinnić.

Z wielką uwagą przyglądała się, jak ja rylcem pogłębiałem formę.

„Musi to być niezmiernie trudna rzecz — wszystko to najdokładniej przenosić na kamień.“

„To tylko mechaniczna robota. Prawie nic.“ Przerwa.

„Czy będę mogła zobaczyć gemmę, gdy ją pan wykończy?“ zapytała.

„Dla pani jest przeznaczona, Mirjam.“

„Nie, nie. To nie idzie to — to“ — widziałem, jak jej ręce nerwowo się poruszały.

„Takiej drobnostki nie chce pani przyjąć odemnie? przerwałem jej nagle. Chciałbym, powinienbym dla pani zrobić daleko więcej.“

Szybko odwróciła twarz odemnie.

Co też ja powiedziałem złego? Musiałem ją głęboko urazić. Tak to brzmiało, jakbym chciał zrobić aluzję do jej ubóstwa.

Czy mógłbym to czemś upozorować? Czy nie było by to gorzej?

Zacząłem próbę.

„Mirjam, proszę, niech mię pani posłusha spokojnie. Proszę o to — Winien jestem pani ojcu tak nieskończenie wiele — pani tego nie może ocenić.“

Patrzyła na mnie niepewnie; widocznie nie rozumiała.

„— tak, tak: nieskończenie wiele. Więcej niż życie.“

„Że on panu raz dopomógł, kiedy p. zemdlał? Ależ to rozumiało się samo

przez się“.

Czułem to: nie wiedziała, jaka nić mię łączyła z jej ojcem. Ostrożnie badałem, jak daleko mogę iść, nie zdradzając tego, co on przed nią zamilczał.

„Daleko wyżej niż pomoc zewnętrzną, powiedziałem, należy cenić wewnętrzną. — Myślę o pomocy, która promienieje z duchowego wpływu jednego człowieka na drugiego. Czy pani rozumie, co ja chcę przez to powiedzieć, Mirjam? — Można kogoś uleczyć duchowo, nie tylko cieleśnie, Mirjam“.

„I to właśnie “.

„I to właśnie uczynił dla mnie ojciec pani — ująłem ją za rękę — czy więc pani nie rozumie, jakie to dla mnie musi być serdeczne życzenie — zgotować jakąś przyjemność jeżeli nie jemu, to przecież komuś, co stoi tak blisko niego, jak pani. Czy pani ma choćby najmniejsze zaufanie do mnie? Czyi niema pani żadnego życzenia, które mógł bym pan wypełnić?

Potrząsała głową: „Czy p. sądzi, że ja się tutaj czuję nieszczęśliwą?“.

„Bynajmniej. Ale może pani ma niekiedy troski, które mógł bym usunąć? pani jest obowiązana, słyszy pani — obowiązana powiadomić mię o tem. Dla czego oboje mieszkacie w ponurej, ciemnej uliczce, jeżeli nie jesteście do tego zmuszeni? Przecież pani jest tak młoda, Mirjam, i “.

„Sam pan tu mieszka, p. Pernat“ przerwała z uśmiechem: „cóż pana wiąże z tym domem?“.

Byłem zdumiony. Istotnie, tak, to prawda. Dla czego ja właściwie żyłem tutaj? Nie mogłem sobie wyjaśnić, co mię łączy z tym domem? powtarzałem sobie nieprzytomnie. Nie mogłem znaleźć żadnego wyjaśnienia i na chwilę zapomniałem, gdzie jestem. Znalazłem się porwany nagle gdzieś daleko: byłem w jakimś ogrodzie — doleciał mię czarodziejski zapach kwitnących bzów — widziałem z góry miasto.

„Czy dotknęłam jakiej rany? Czy uraziłam pana? — dopłynął mię z dala, z dala głos Mirjam.

Pochyliła się nademną i niespokojnie badawczo w twarz mi spojrzała.

Musiałem dłuższy czas siedzieć tak w odrętwieniu, że się niemal o mnie zatwożyła.

Chwilę jakąś kołysało się coś we mnie na prawo i na lewo, w końcu gwałtownie drogę sobie przerwało, opanowało mnie — i całe serce otwarłem przed Mirjam.

Opowiedziałem jej, jak drogiemu, staremu przyjacielowi, z którym całe życie przepędziłem i przed którym niema żadnej tajemnicy, jak to było ze mną i w jaki sposób mimowoli z opowiadania Zwaka dowiedziałem się, że w ubiegłych latach byłem obłąkany i pozbawiony wspomnienia przeszłości; — jak w ostatnich czasach zaczęły we mnie budzić się obrazy, tkwiące korzeniem w tych

dniach zapomnianych; jak nachodzą mię coraz częściej a częściej i że drzę z trwogi przed tą chwilą, gdy wszystko mi się na nowo objawi i gdy mię zacnie szarpać na nowo.

Przemilczałem tylko to, co się łączyło ze stosunkiem do Hillela i moje przeżycia w podziemnych przejściach — i wszystko pozostałe.

Zwróciła się do mnie bardzo blisko i słuchała mię z zapartym oddechem głęboko wzruszona, co działało na mnie niewymownie dobrze.

Nareszcie znalazłem człowieka, przed którym mogłem się wywnętrzyć, gdy mi zbyt ciężkim się stanie moje osamotnienie duchowe. Niewątpliwie, był jeszcze Hillel, ale ten wydawał mi się istotą, jakby poza obłokami, która się ukazywała i znikala jak światło, do której nie mogłem dosięgnąć, gdy tęskniłem.

Powiedziałem to jej i zrozumiała mnie. I ona tak go widziała, chociaż był to jej ojciec. Miał on dla niej miłość nieskończoną — równie jak ona dla niego — „a jednak jestem z nim przedzielona jak by ścianą ze szkła — zwierzyła mi się — której nie jestem w stanie przestąpić. Tak jest od chwili, gdy zaczęłam myśleć“. — Kiedy jako dziecko widziałam go stojącym we śnie przy moim łożu, zawsze zdawało mi się, jakoby nosił szatę wielkiego kapłana, złotą tablicę Mojżesza z dwunastu na niej kamieniami na piersi, a błękitne świetlane promienie szły mu ode skroni. — Sądzę, że jego miłość jest z tych, co idą po za grób — i zbyt wielka, niż byśmy mogli ją objąć.

Toż samo mówiła moja matka, gdy się jej potajemnie zwierzałem.“

Wzdrygnęła się naraz, jakby dreszcz przeszedł całe jej ciało.

„Niech pan będzie spokojny, to jest nic. Tylko wspomnienie. Kiedy moja matka umarła — jedynie ja wiem jak on ją kochał, choć byłam wtedy dopiero dzieckiem — sądziłam, że serce pęknie mi z bólu, pobiegłam do niego, i wcisnęłam się w jego surdut, chciałam krzyczeć, ale nie mogłam, gdyż wszystko się we mnie załamało — i — i o to znów jakby lodem ścina mi się grzbiet, kiedy o tem pomyślę spojrział na mnie z uśmiechem, pocałował mię w czoło i pociągnął mi rękę nad oczami. I od tej chwili do dziś wszelkie cierpienie z powodu śmierci mej matki jakgdyby rozprysło się i roztopiło we mnie. Łzy jednej nawet nie byłam w stanie wylać, gdy ją pochowano; widziałam słońce jakby promienną rękę Boga na niebie i dziwiłam się, dla czego ludzie płaczą. Ojciec mój szedł za trumną, koło mnie, a gdy spoglądałam, wciąż uśmiechał się łagodnie i czułam, jaka zgroza przenikała tłum na ten widok.“

„Pani jest szczęśliwą, Mirjam? Zupełnie szczęśliwą? Czy nie jest to uczucie jakiejś rzeczy strasznej myśleć, że pani ma za ojca istotę, która tak przerasta ludzi? zapytałem ją szeptem.

Mirjam wesoło kiwnęła głową.

„Żyję niby w błogosławieństwie sennem. — Gdy mię pan przedtem pytał, panie Pernat, czy nie mam trosk i dla czego my tu mieszkamy, musiałam się

prawie śmiać. Aboż natura jest piękną? Prawda, drzewa są zielone, a niebo jest niebieskie, ale to wszystko mogę sobie wyobrazić daleko piękniej, kiedy oczy zamknę.

„Czyż, aby ją widzieć, muszę siedzieć na łące?

„A ta trocha niedostatku i głodu? To postokroć wyrówna mi nadzieja i oczekiwanie.“

„Oczekiwanie? zapytałem zdziwiony.

„Oczekiwanie na cud. Czy pan tego nie zna? Nie? A więc jest pan biedny, bardzo biedny człowiek. — Że też tak mało ludzi o tem wie?. Widzi pan to jest powód, dla którego nigdy nie wychodzę i z nikim się nie stykam. Miałam niegdyś kilka przyjaciółek — oczywiście żydówek jak ja — ale mówiłyśmy ze sobą zawsze o czym innym. One nie rozumiały mnie, a ja ich. Kiedy mówiłam o cudach, sądziły naprzód, że robię żarty, a gdy spostrzegły, że ja pod nazwą cudów rozumiem także nie to, co Niemcy określają pod mikroskopem, to jest zgodne z prawem wzrastanie traw i ziół, ale właśnie coś wbrew przeciwnego — najchętniej by mnie uznały za pomieszana; ale taka opinia trafiała na przeszkody: gdyż ja jestem w myśleniu bardzo umiejętną, uczyłam się hebrajskiego i aramejskiego, czytać mogę Targumim i Midraszim — i wszelkie z tem połączone rzeczy znam i rozumiem. W końcu znalazły słówko, które właściwie nic nie wyraża: nazwały mnie „przesadzoną.“ „Gdy chciałam im wyjaśnić, że najważniejszym, istotnym dle mnie w Biblii i innych pismach świętych jest cud i wyłącznie cud, nie zaś przepisy moralne i etyczne, które mogą być tylko utajoną drogą do pozyskania cudu — umiały mi jeno odpowiedzieć w beztreściwych ogólnikach, gdyż lękały mi się przyznać otwarcie, że z ksiąg religijnych wierzyły tylko w to, co równie dobrze mogłoby się mieścić w kodeksie cywilnym. Gdy tylko słowo „cud“ usłyszały, już im się robiło nieprzyjemnie. Traciły grunt pod nogami, jak mówiły.

„Jak gdyby mogło być coś wspanialszego na ziemi, niż stracić grunt pod nogami!

„Świat jest po to, abyśmy go uważali jako nieistniejący — tak, słyszałam, raz mówił mój ojciec — wtedy dopiero zaczyna się życie. Niewiem, co on rozumiał pod wyrazem „życie“, ale ja czuję niekiedy, że pewnego dnia stanę się jakby „przebudzona“ — chociaż nie mogę sobie wyobrazić w jakim stanie. Cuda muszą ten stan poprzedzać, tak sobie zawsze myślę.

„Czyś już przeżyła jaki cud, że tak na cud oczekujesz? pytały mnie często przyjaciółki, a gdym mówiła, że nie — naraz robiło się im wesoło, jakby pewne były zwycięstwa. Niech mi pan powie, panie Pernat, czy pan może rozumieć takie serca? Że j a j e d n a k cuda przeżyłam, choć malutkie, — bardzo malutkie, — oczy Mirjam błyszczały, — „tego nie chciałam przed nimi zdradzić“

Łzy radości niemal zagłuszały jej słowa. „— ale pan mnie zrozumie: często,

tygodnie całe, miesiące nawet“ — Mirjam mówiła po cichu — żyliśmy cudami. Kiedy, już nie było w domu chleba, ale to ani kawałeczka — wtedy wiedziałam: godzina się zbliża. — Wtedy siadałam — ot tu! i w napięciu ducha czekałam, czekałam, aż mi od bicia serca oddech się zatrzymał. A wówczas, gdy mię to nagle porывało, zbiegałam na dół, tędy owędy chodziłam po ulicach, spieszenie jak tylko mogłam, aby na czas być w domu, zanim ojciec powróci. I za każdym razem znajdowałam pieniądze. Raz mniej, raz więcej, ale zawsze tyle, że mogłam zakupić to co konieczne. Nieraz leżał na środku ulicy gulden; widziałam, jak świecił zdaleka, ludzie deptali po nim, poślizgiwali się, ale żaden go nie zauważył. — Niekiedy stawałam się tak zuchwała, że nie wychodziłam z domu pierwaj, aż przedtem przeszukałam podłogę w kuchni, jak dziecko, śledząc czy z nieba nie spadły pieniądze lub chleb.

Jakaś myśl przeleciała mi przez głowę — i z radości musiałem się uśmiechnąć.

Dostrzegła mój uśmiech.

„Niech się pan nie śmieje, panie Pernat“ — błagała. „Niech mi pan wierzy, ja wiem, że te cuda będą rosły — i że pan pewnego dnia“

Uspokoilem ją: „Ależ ja się nie śmieję, Mirjam! Jak pani może pomyśleć coś takiego! Jestem niezmiernie szczęśliwy, że pani nie jest taka jak inni, którzy po za każdym zjawiskiem odgadują i widzą przyczynę pospolitą, gdy — my w takich razach wołamy: Bogu dzięki! — czasami zdarza się wcale inaczej.

Wyciągnęła do mnie rękę:

„I nie prawda, nigdy już pan nie powie, panie Pernat, że pan mnie — czy też nam — zechce pomagać? Teraz, kiedy pan odebrałby mi w ten sposób możliwość przeżycia cudu, gdyby pan to uczynił?

Obiecałem. Ale w sercu zrobiłem zastrzeżenie.

Drzwi się otwarły — i wszedł Hillel.

Córkę uściskał; mnie pozdrowił serdecznie i przyjaźnie, ale znowu zimnem „Pan.“

Zdaje się też, że jakieś zmęczenie czy też niepewność ciążyła nad nim. — Lub może się myliłem? Może to pochodziło od zmroku, co się rozplęwał po pokoju.

„Zapewne chce się pan mię poradzić“ — zaczął mówić, gdy Mirjam pozostawiła nas samych“ — w sprawie, która dotyczy obcej damy ?“

Zdumiony, chciałem mu przerwać, ale nie dopuścił mię do słowa.

„Wiem to od studenta Charouska i zaczepilem go na ulicy, gdyż zdawał mi się dziwnie zmieniony. Opowiedział mi wszystko. W nadmiarze serdeczności. Nawet i to — pan mu dał pieniądze.“

Spojrzał na mnie przenikliwie — i akcentował każde słowo w bardzo szczególny sposób, ale nie rozumiałem, co chciał przez to powiedzieć.

„Zapewne, parę kropel szczęścia więcej zadżdżyło przez to z nieba i w tym, wypadku — może nie zaszkodziło, ale — (chwilę milczał) — ale niekiedy tą drogą i sobie i innym sprawia się wiele przykrości. Nie tak łatwo jest pomagać, jak sądzisz, drogi przyjacielu! Bardzo prosta, nazbyt prostą rzeczą byłoby w takim razie zbawienie świata. Albo może pan w to nie wierzy?

„Alboż pan biednym też nie daje? Nieraz wszystko, co pan ma, Hillelu? zapytałem.

Z uśmiechem kiwnął głową.

„Zdaje mi się, że p. przez tę jedną noc został Talmudystą, bo pan napytanie odpowiada pytaniem. Trudno z tem zaprawdę walczyć.

Zatrzymał się chwilę, jakby oczekując, że mu coś na to powinienem odpowiedzieć, ale znów nie rozumiałem, czego on właściwie oczekiwał.

„Zresztą, wracając do kwestyi — mówił dale zmienionym tonem — sądzę, że pańskiej protegowanej — myślę o tej damie — w danej chwili nie grozi niebezpieczeństwo. Pozwól, niechaj rzeczy płyną same przez się. Mówi się co prawda, że mądry człowiek z góry przewiduje, ale mędrszy jak sądzę czeka i na wszystko jest przygotowany. Być może zdarzy się okoliczność, że Aron Wassertrum ze mną się spotka. Ale to musi wyjść od niego — ja żadnego kroku nie zrobię, on musi zacząć. Czy przyjdzie do pana czy do mnie, to rzecz obojętna — wtedy chcę z nim porozmawiać. Od niego zależy postanowić czy za moją radą pójdzie czy nie pójdzie. Umywam swoje ręce w niewinności.“

Z trwogą próbowałem czytać w jego twarzy. Tak chłodno i tak specyficznie surowo nie mówił jeszcze nigdy. Ale poza tem czarnem głębokiem okiem drzemała głębia.

„Między nim a nami jest niby szklany mur“ — wpadły mi słowa Mirjam.

Mogłem mu tylko słowa nie mówiąc, rękę uścisnąć — i odejść.

Towarzystwo mi do drzwi — a, gdy wschodziłem po schodach na górę i odwróciłem się raz jeszcze, widziałem, że zatrzymał się i przyjaźnie kiwał ku mnie, ale tak, jak ktoś, co chciałby coś powiedzieć, jednak nie może.

TRWOGA.

Miałem zamiar wziąć palto i laskę i pójść aby się posilić czemkolwiek w gospodzie „Pod starym cebrem“, gdzie co wieczór zasiadali razem Zwak, Vrieslander i Prokop, i opowiadali sobie szalone historie; lecz zaledwie przestąpiłem próg swego pokoju, zamiar ten odpadł odemnie, rzekłbyś, jakieś ręce zdarły ze mnie chustkę lub coś podobnego, co miałem na sobie. Czuć było w powietrzu jakieś napięcie z którego nie mogłem sobie zdać sprawy, lecz mimo wszystko trwało ono niby coś uchwytnego i w przeciągu kilku sekund przeniknęło we mnie tak silnie, że pełny niepokoju początkowo wprost nie wiedziałem co czynić: zapalić światło, zamknąć za sobą drzwi, usiąść czy chodzić po pokoju. Czy się kto w czasie mojej nieobecności wślizgnął i tu ukrył? Czy to był strach, co mnie opanował przed możliwością, że mnie ktoś zobaczy? Może Wassertrum był tutaj? Poruszyłem firanki, otworzyłem szafę, spojrzałem do przyległego pokoju: — nikogo. Kasetka stała również nietknięta na swoim miejscu. Czy nie uczyniłbym najlepiej, gdybym bez namysłu spalił listy, aby raz na zawsze być wolnym od kłopotu? Już szukałem kluczyka w kieszonce od kamizelki — ale czy to musi nastąpić zaraz teraz? Zostało mi jeszcze dosyć czasu do jutra rana. Najpierw zapalić światło! Nie mogłem znaleźć zapalek. Czy drzwi były zamknięte? — Przeszedłem parę kroków z powrotem. Znow stanąłem. Dlaczego naraz trwoga? Chciałem sobie robić wyrzuty, że jestem tchórzliwy: — myśli zatrzymały się. W środku zdania. Szalona myśl wpadła mi nagle do głowy: Prędko, prędko wejść na stół, porwać krzeselko, przycisnąć je do siebie i uderzyć „go“ tem w czaszkę, aby się aż spłaszczył o ziemię — gdy — gdy się przybliży. „Ależ tu niema nikogo — powiedziałem sobie głośno i ze złością — „czyś ty się bał tak kiedykolwiek w życiu?“ Nic nie pomogło. Powietrze, które wdychałem rozrzedziło się i cięło, jak eter. Gdybym chociaż cośkolwiek zobaczył: najstraszliwszą rzecz, jaką można sobie tylko wyobrazić, — w jednej chwili strach by mnie opuścił. Nie zjawilo się nic. Świdrowałem oczyma po wszystkich kątach. Nic, wszędzie tylko dobrze mi znane sprzęty: meble, skrzynie, lampa, obraz, zegar ścienny — martwi, starzy przyjaciele.

Spodziewałem się, że te sprzęty w moich oczach nagle się przekształcą i wytłumaczą mi powód tej złudy myślowej, która była przyczyną dławiącego mnie uczucia strachu. Również i to nie. — Rzeczy uparcie nie zmieniały swojej formy. Były owszem zbyt sztywne, jak na panujący pół zmrok, aby to było naturalne. „Są pod tym samym naciskiem, co i ty sam,“ czułem. „Nie odważają się wykonać choćby najdelikatniejszego ruchu“. Dlaczego zegar ścienny nie

cyka? — Jakieś czyhanie pochłaniało każdy dźwięk. Potrząsałem stołem i dziwiło mię, że mogę słyszeć hałas. Gdyby chociaż wiatr zaświszczał około domu! — Ani razu! Albo gdyby drzewo zatrzeszczało w piecu: — ogień wygasł. I wciąż to samo naprężenie w powietrzu — bez chwili przerwy, nieustannie jak strumień wody. Ta daremna gotowość do skoku wszystkich mych zmysłów. Zwątpiłem czy będę mógł ją przetrwać. — Pokój pełen oczu, których nie mogłem widzieć, — pełen bezplanowo wyciągających się rąk, których nie mogłem uchwycić: „przeważa Trwoga co sama z siebie rodzi się wobec nieujętego Niczegoś. Niczegoś, co niema żadnych kształtów, przekracza granice naszych myśli“ uświadomiłem sobie głucho. Stałem twardo i czekałem. Czekałem pewnie kwadrans; może „to“ da się namówić, pod pełnie do mnie z tyłu i będę mógł je ująć!? Błyskawicznie obróciłem się dookoła; znowu Nic. To samo, nie dające się zauważyć „Nic“, którego nie było, a jednak pokój był przepełniony jego groźnym życiem. Gdybym wybiegł na ulicę? Co mi przeszkadza? „To“ poszłoby ze mną — wiedziałem z wszelką pewnością. Jak również odgadywałem, że nic mi nie pomoże, gdybym zapalił światło, jednakże tak długo szukałem zapalek, aż je znalazłem. Lecz knot świecy nie chciał się palić i długo nie przestawał się tlić: mały płomyczek nie mógł ani żyć ani umrzeć, a gdy w końcu wywalczył sobie suchotniczą egzystencję, powstał bez połysku, jak żółta brudna blacha. Nie, ciemność była lepszą. Znow zagasilem świecę i w ubraniu rzuciłem się na łóżko. Liczyłem bicie serca: raz, dwa, trzy — cztery... do tysiąca i wciąż na nowo — godziny, dni, tygodnie, jak mi się zdawało, aż wyschły mi wargi, włosy się rozwichrzyły: ani sekundy ulgi. Ani jednej jedynej. Zacząłem wymawiać słowa, jakie mi tylko przychodziły na język: „książe“, drzewo“, aż przedstawiły mi się nagle, jako suche bezmyślne dźwięki z barbarzyńskich czasów i — musiałem całą siłą się namyślać, aby zrozumieć ich znaczenie: k-s-i-ą-ż-ę? d-r-z-e-w-o? Czy ja już zawarowałem? Albo umarłem? Dotykałem wokoło sam siebie. Wstań. Siądź na krzeselku. Padłem na fotel. Gdyby jednak w końcu przyszła śmierć! Aby tylko nie czuć więcej tego bezkrwistego sztraznego naprężenia! „Ja — nie chcę — nie chcę“, krzyknąłem. „Czy słyszycie?!“. Bezsilny znow upadłem. Nie mogłem pojąć, że wciąż jeszcze żyję. Niezdolny, cokolwiek myśleć lub czynić, runąłem prosto przed siebie.

„Dlaczego „o n“ mi wciąż tak uporczywie podaje tylko ziarenka? prześladowała mię myśl, cofnęła się i wróciła. Cofnęła się. Znow wróciła. Powoli zaczęło mi się w końcu wyjaśniać, że przedemną stoi jakaś dziwna istota — stoi zapewne, odkąd już tutaj siedzę, — i wyciągnęła do mnie ręce. Szare barczyste stworzenie, wzrostu dojrzałego mężczyzny, oparte na spiralnie skręconej sękatej lasce z białego drzewa. Tam gdzie powinna być głowa, mogłem rozpoznać tylko mglisty obłok z płowego oparu. Od zjawiska tego

rozchodził się mdły zapach drzewa sandałowego i wilgotnego łupku. Uczucie całkowitej bezbronności pozbawiło mię prawie zmysłów. To, co przez cały tak długi czas, zużyłem na pokonanie szarpiącej nerwy męki, zamieniło się teraz w śmiertelną trwogę i przyodziało się w kształt tej istoty.

Instynkt samozachowawczy mówił mi, że zwarjował bym z przerażenia i strachu, gdybym ujrzał twarz tej fantastycznej istoty; — ostrzegał mnie przed tem, krzyczał mi to w uszy — a jednak ciągnęło mnie, jak magnes tak, że nie mogłem odwrócić wzroku od tej płowej kurzawy i szukałem w niej oczu, nosa i ust. Lecz chociaż bardzo się trudiłem, opar pozostawał nieruchomy. Udaowało mi się różnego rodzaju głowy nasadzać na tułów, lecz za każdym razem widziałem, że one powstają tylko siłą mojej wyobraźni.

Głowy rozpływały się ciągle — prawie w tej samej sekundzie, w której je sobie stworzyłem. Tylko kształt głowy Ibisu egipskiego trwał najdłużej. Kontury widziadła rozpływały się schematycznie w ciemnościach, zaledwie dostrzegalnie kurczyły się i wyciągały z powrotem, jakby pod wpływem delikatnych podmuchów, przebiegających całą postać: był to jedyny ruch dostrzegalny. Zamiast nóg dotykały ziemi nagie kości, z których szare anemiczne mięso, szerokie na miarę pięści, odrywało się w formie dętych pobrzęży. Bez ruchu podawałom i to stworzenie dłoń. Na dłoni leżały małe ziarenka, wielkości grochu, czarnego koloru z czarnymi punktami na brzegu. Co miałem z nimi uczynić?! Czulem głucho: olbrzymia odpowiedzialność leżała na mnie — odpowiedzialność idąca daleko ponad wszystko ziemskie — jeżeli teraz nie postąpię właściwie. Dwie szale wagi, każda obciążona ciężarem połowy świata, kołyszą się gdzieś w państwie przyczyn (tak rozumiałem) —; na którą z nich rzuciłem pyłek, ta opadła w dół. Rozumiałem, że to była najstraszniejsza zasadzka. „Nie ruszać żadnym palcem“ — radził mi rozum.

„Że też śmierć przez całą wieczność nie chce przyjść i wybawić mnie od tej męki.“ — I wtedy również nie chybiłbyś co do wyboru: usunąłbyś te ziarna, szeptalo coś we mnie. Tutaj niema żadnego odwrotu. Spragniony ocalenia, spojrzałem w około siebie, czy nie uzyskam jakiego znaku, co mam uczynić. Nic. I we mnie żadnej rady, żadnego pomysłu — wszystko martwe, umarłe. Pojąłem, że życie miliardów ludzi waży lekko, jak pióro — w tym strasznym momencie. — Musiała być już głęboka noc, gdyż nie mogłem rozróżnić ścian mego pokoju. Tuż obok pracowni zatupotały kroki: słyszałem, że ktoś poruszał szafy, wyciągał szuflady, hałaśliwie rzucał coś na podłogę, zdawało mi się poznawać głos Wassertruma, gdy ten swym rżącym basowym głosem wymawiał dzikie przekleństwa; nie podsłuchiwałem. Było to dla mnie bez znaczenia, jak skrobanie myszy — zamknąłem oczy. Ludzkie oblicze przeciągnęły długimi rzędami, wokoło mnie. Zapadłe powieki, skamieniałe trupie maski — mój własny ród, moi właśnie przodkowie. Zawsze ten sam

kształt czaszki, a jak typ zdawał się zmieniać, — tak właśnie wstawał z grobów po przez wieki — już to z gładkim rozczesanym włosiem, już to w pukle ułożonym, już krótko przyciętym, już w długiej peruce lub z czupryną ułożoną w pierścienie — aż rysy stawały się dla mnie coraz bardziej znajome i przybrały w końcu ostatecznie oblicze: — oblicze Golema, na którym przerywał się łańcuch moich przodków. Potem mrok mego pokoju zamknął się w nieskończoną pustą przestrzeń, w której środku znajdowałem się na fotelu; przedemną zaś znowu szary cień z wyciągniętą ręką. — I gdy otworzyłem oczy, około nas stały w dwóch przecinających się kołach, tworzących ósemkę — jakieś dziwne istoty. W jednym kole były szaty o fioletowym połysku; w drugim kole — suknie czerwono-czarne. Ludzie jakiejś obcej rasy, wysokiego, nienaturalnie wysmukłego wzrostu o twarzach, ukrytych za świecącymi chustkami. Drżenie serca w mej piersi mówiło mi, że nadeszła właśnie chwila rozstrzygająca. Palce moje szybko się poruszyły ku ziarnom: — i nagle ujrzałem, jak postacie czerwonego koła zadrżały. Miałem że niebrać ziarenek?

Wrzenie ogarnęło koło niebieskawe; — spojrzałem przenikliwie na człowieka bez głowy: stał w tej samej postawie; nieruchomo, jak poprzednio, Wstrzymałem nawet oddech. Podniosłem rękę, lecz wciąż nie wiedziałem, co mam zrobić i uderzyłem w wyciągniętą rękę widma, aż ziarna potoczyły się po podłodze. Na chwilę, tak krótką, jak trzask iskry elektrycznej, straciłem świadomość i myślałem, że spadam w bezdenną przepaść — potem mocno stanąłem na nogach. Szara istota znikła. Również istoty czerwonego koła. Zaś niebieskawe postacie utworzyły wokół mnie pierścień; nosiły na piersiach napis w złotych hieroglifach i trzymały go nieruchomo. — Wyglądało to, jak przysięga, — między palcem wskazującym, a wielkim, czarne ziarnka na tej wysokości, na której wytrąciłem je z ręki widmu bez głowy. Słyszałem, jak na ulicy grad uderzył o szyby i głuchy grzmot przeciął powietrze. Burza zimowa w całej swojej bezmyślnej wściekłości szalała nad miastem. Od strony rzeki huczały wśród wycia burzy, w rytmicznych odstępach głucho wystrzały armatnie, które oznajmiały pęknięcie pokrywy lodowej na Wełtawie. Pokój płonął w świetle błyskawic, następujących po sobie bez przerwy: Uczułem się nagle tak słaby, że drżały mi kolana i musiałem usiąść. „Bądź spokojny“, powiedział wyraźnie jakiś głos obok mnie, — bądź zupełnie spokojny, dzisiaj jest Lelszimurim: Noc opieki.“

Powoli burza ustawała i głuchy hałas zamienił się w jednostajne bębnienie gradu o dachy. — Moje znużenie urosło do takiego stopnia, że raczej przytępiionymi zmysłami i przez pół we śnie rozpoznawałem, co się około mnie

dzieje. Ktoś z koła powiedział słowa: „Nie masz tutaj tego, którego szukacie“. Na to pierwszy znów cicho wymówił jakieś zdanie, w którym usłyszałem imię „Henoch“, lecz reszty nie zrozumiałem: wiatr za głośno przynosił od strony rzeki jęczzenie pękających brył lodowych.

Potem oddzielił się jeden z koła, przystąpił do mnie, wskazał hieroglify na swojej piersi — były to te same litery co i u pozostałych — zapytał mnie czy mógłbym je przeczytać. I gdy ja — bełkocząc ze znużenia — zaprzeczyłem, wyciągnął do mnie dłoń, i świecący napis ukazał się na moich piersiach, napis w literach, które były początkowo łacińskie:

CHABRAT ZEREH AUR BOCHER

i zamieniły się powoli w nieznany mi alfabet.

I wpadłem w głęboki, bez marzeń sen, nieznany mi od tej nocy, gdy Hillel rozwiązał mi język.

P E D .

Godziny ostatnich dni upłynęły mi jak na skrzydłach. Zaledwie miałem czas na posiłek. Nieustanny pociąg do działalności zewnętrznej, przykuwał mnie od rana do wieczora do mego warsztatu. Gemma była ukończona, i Mirjam cieszyła się z niej jak dziecko. Również litera „I“ w książkę Ibbur była poprawioną. Przechyliłem się w tył i zacząłem rozmyślać, pełen spokoju o wszystkich drobnych zdarzeniach dzisiejszego dnia: stara kobieta, która mi służyła, wpadła do pokoju rano po burzy z wiadomością, że kamienny most zawalił się tej nocy. — Dziwne! — zawalił się! Zapewne właśnie w tej godzinie, w której ja te ziarenka nie — nie, — nie myśleć o tem! to co się wtedy zdarzyło, mogłoby przybrać pozór czezej ułudy; ja zaś postanowiłem pochować tą zjawę w swej duszy, aż znowu sama się obudzi, — aby tylko tego nie dotykać. Jak to było niedawno, gdy szedłem jeszcze przez most, widziałem kamienne posągi, — a teraz leży w gruzach, most, który przetrwał stulecia. Miałem niemal bolesne uczucie, że już nigdy więcej nie postanie na nim moja noga. Gdyby go nawet znowu odbudowano, nie byłby to już nigdy ten stary, tajemniczy most kamienny. Wycinając gemmę, rozmyślałem o tem godzinami i jak to się rozumie samo przez się, rozmyślałem tak, jak bym nigdy o tem nie zapomniał; żywo też stanęło mi przed oczyma: jak często, w dzieciennych i późniejszych latach spoglądałem na wizerunek świętego Luitgarda i innych, którzy teraz leżą pogrzebani w szumiących wodach. Wiele drobnych, kochanych rzeczy, które w dzieciństwie nazywałem swojemi, ujrzałem znów w myślach: i mego ojca, i moją matkę i mnóstwo kolegów szkolnych. Tylko domu, w którym mieszkałem, nie mogłem sobie przypomnieć. Wiedziałem, że stanie znów nagle przedemną któregoś dnia, gdy najmniej będą się tego spodziewać; i cieszyłem się z tego. Uczucie, że odrazu wszystko się przedemną naturalnie i prosto ujawni, było tak błogie! Gdy przedwczoraj wyjąłem z kasetki książkę Ibbur, — nie zdawało się to bynajmniej godne podziwu, że wyglądała jak stara, pergaminowa księga ozdobiona samymi inicjałami; uważałem to owszem za rzecz zgoła naturalną. Nie mogłem pojąć, że kiedyś działała na mnie jak upiór! Była napisana językiem hebrajskim, zupełnie dla mnie niezrozumiałym. Kiedy znów nieznajomy przyjdzie, aby ją odebrać? Radość życia, która potajemnie opanowała mnie podczas roboty, obudziła się na nowo w całej swej orzeźwiającej świeżości i rozpędziła nocne myśli, które mnie znów chciały napaść zdradliwie.

Prędko wziąłem fotografię Angeliny — odciąłem dedykację która była u dołu i pocałowałem ją. To wszystko było tak głupie i szalone, lecz dlaczegóż

choćby raz nie pomarzyć o szczęściu, zatrzymać obecną chwilę i radować się tem jak bańką mydlaną? Czy nie mogło się urzeczywistnić to, czem miała mnie tęsknota mego serca? Byłoby to zupełnie niemożliwe, abym z dnia na dzień stał się sławnym człowiekiem? Godny jej, choć nie równy pochodzeniem? Co najmniej równej Drowyi Savioli? Myślałem o gemmie Mirjam: gdyby mi się druga taka udała, jak ta! — bez wątpienia, nawet najlepsi artyści wszystkich czasów, nie stworzyli nic lepszego.

Przypuśćmy tylko jeden wypadek: mąż Angeliny nagle umiera? Stało mi się naraz gorąco i zimno: drobny wypadek i moja nadzieja, zuchwała nadzieja, nabierze kształtów. Szczęście moje wisi na cienkiej nitce, która lada chwila może się przerwać upadnie mi na łono. Czy już tysiące razy nie udawało mi się coś cudownego? Rzeczy, których istnienia ludzie wogóle nawet nie przypuszczają. Czy to nie jest cud, że w przeciągu kilku tygodni obudziły się we mnie artystyczne zdolności, które już teraz podnoszą mnie wysoko nad przeciętność? Stoję jednak dopiero na początku drogi! Czy nie miałem prawa do szczęścia? Czy mistyka jest równoznaczna z unicestwieniem pragnień? Przeważało we mnie „tak“; — śnić jeszcze tylko jedną godzinę — minutę — jedno krótkie istnienie ludzkie! I śniłem z otwartymi oczyma. Szlachetne kamienie na stole rosły i rosły i otoczyły mnie ze wszystkich stron barwnymi kaskadami.

Drzewa z opali stanęły gromadami przy sobie i wydawały świetlne blaski niebios, lśniące błękitnie jak skrzydła olbrzymiego motyla z pod zwrotników, w deszczu iskier, ponad nieprzejrzanymi łąkami, pełnymi gorących powiewów letnich. Czułem pragnienie, i ochłodziłem swoje członki w lodowatej pianie potoków, co szumiały na skalnych urwiskach z lśniącą masy perłowej.

Duszny powiew przeciągnął nad pochyłościami, przesycony kwieciem, i upoił mnie wonią jaśminu, hjacyntów, narcyzów, bławatków.

Nie do zniesienia! nie do zniesienia! Ukryłem fotografię. — Miałem pragnienie! Były to męki raj! —

Szarpnąłem oknem i czoło moje owiał wilgotny wiatr; pachniało zbliżającą się wiosną Mirjam! Musiałem myśleć o Mirjam. Jak to ona ze wzruszenia aż się oprzeć musiała o ścianę, gdy przyszła mi powiedzieć, że stał się cud, prawdziwy cud: znalazła złotą monetę w bochenku chleba, który piekarz jak zwykle położył przez kratę, na oknie swego sklepu. Chwyciłem portmonetkę. — Przypuszczam, nie było jeszcze dziś zapóźno, i przyszedłem jeszcze w porę, zaczarować jej znów dukata.

Odwiedzała mnie ona codziennie, aby mi dotrzymać towarzystwa, jak mówiła, ale prawie ciągle milczała, tak była przejęta owym „cudem“. Aż do najgłębszej głębi — poruszył ją ten wypadek i gdy sobie przypomniałem, jak to ona czasami nagle, bez przyczyny zewnętrznej, tylko pod wpływem wspomnienia — śmiertelnie bladła aż po usta, dostawałem zawrotu głowy na samą myśl, że mógłbym w swoim zasklepieniu czynić rzeczy niezmiernej doniosłości. — I gdy wywołałem w pamięci ostatnie zagadkowe słowa Hillela i związałem je z tą ostatnią swoją myślą, odczułem we wszystkich kościach lodowate zimno. Czystość zamiaru nie była dla mnie bynajmniej uniewinnieniem — cel nie uświęca środków — przekonałem się. A co by było, gdyby ten zamiar „chcieć pomódz“ był tylko pozornie czysty? Może właśnie ukrywa się w tym jakieś utajone kłamstwo: nieokreślone życzenie aby dla własnego zadowolenia rozkoszować się rolą dobroczyńcy? Zacząłem błądzić sam w stosunku do siebie. Było jasne, że osądziłem Mirjam zbyt powierzchownie. Już jako córka Hillela musiała być nie taką jak inne panny. Jak mogłem być na tyle zuchwały, aby w tak głupi sposób wdzierać się w wewnętrzne życie, które o całe niebo stało wyżej nad moim własnym. Już rysy jej twarzy, które sto razy więcej odpowiadały epoce szóstej dynastji egipskiej a nawet dla niej były nazbyt uduchowione, niż dla naszych dni ze swym typem ludzi rozsądkowych: powinny były ostrzedz. — „Tylko zupełny głupiec nie ufa przejawom zewnętrznym“ — czytałem to gdzieś kiedyś. Jakże to prawdziwe! Mirjam i ja byliśmy teraz dobrymi przyjaciółmi: czy miałem jej wyznać, że to właśnie ja codziennie przemyślałem w chlebie dukaty? Cios byłby zbyt nagły. Ogłuszył by ją. — Nie mogłem się na to odważyć, musiałem postępować ostrożniej. — Czy ten „cud“ jakkolwiek osłabić? Zamiast wsadzać pieniądz do chleba, kłaść go na stopniach schodów, aby mogła go znaleźć, gdy otworzy, i tak dalej, i tak dalej. Przecież można wymyśleć coś nowego, mniej szorstkiego: jakąś drogę, która by wprowadziła ją z cudów do codzienności; pocieszałem się. Tak! To było najlepsze- Albo przeciąć węzeł? Wyznać jej ojcu i wciągnąć do rady? Rumieniec wstydu wystąpił mi na twarz. Na ten krok było jeszcze dosyć czasu, gdy zawiodą wszystkie inne środki. Tylko zaraz przystąpić do dzieła. Ani chwili nie tracić! Dobry pomysł wpadł mi do głowy: musiałem zająć Mirjam cześć zupełnie osobliwym, wyrwać ją na parę godzin z powszedniego otoczenia, aby doznała innych wrażeń. Wzięliśmy powóz i pojechaliśmy na spacer. Kto nas pozna, gdy będziemy unikali dzielnicy żydowskiej. Może ją zaciekawi widok zwalonego mostu? Gdyby uważała za niestosowne, żebym ja był przy niej, pojedzie z nią Zwak, albo która z dawnych jej przyjaciółek. Byłem zupełnie zdecydowany, nie dopuścić żadnego oporu. — U progu natknąłem się na jakiegoś człowieka. Wassertrum! Musiał patrzeć przez dziurkę od klucza, gdyż w chwili, kiedy wpadłem na niego, stał pochylony. — „Czy pan mnie

szuka?“ — zapytałem go szorstko. Wybelkotał kilka słów wymówki w swoim niemożliwym żargonie; potem potwierdził. Zaproponowałem mu przybliżyć się i usiąść, lecz Aron stanął przy stole i kręcił kurczowo rondem kapelusza. Głęboka nienawiść, którą napróżno starał się ukryć, odzwierciadlała się w jego twarzy, w każdym poruszeniu. Nigdy nie widziałem jeszcze tego człowieka tak bezpośrednio blisko. Jego straszna brzydota była zapewne odrażająca; ale wzbudzała ona raczej we mnie politowanie; wyglądał, jak stworzenie, któremu sama natura, przy urodzeniu, pełna wściekłości i wstrętu zdeptała twarz nogą, — i powstało coś nieokreślonego, co jego charakteryzowało. Była temu winna „Krew“ jak trafnie określił to Charousek. Pomimo woli cofnąłem rękę, którą przy jego wejściu wyciągnąłem. Chociaż zrobiłem to prawie nie widocznie, zdaje się jednak, że on to zauważył, gdyż musiał nagle siłą poskromić w swojej twarzy wybuch nienawiści. „Ładnie tutaj jest“, zaczął w końcu, jękając się, gdy zauważył, że nie zadałem sobie trudu zacząć z nim rozmowę. W przeciwieństwie do swoich słów, zamknął przy tem oczy, może dla tego, żeby się nie spotkać z moim wzrokiem. A może myślał, że to nada jego twarzy niewinny wyraz? Można było wyraźnie spostrzec, ile zadawał sobie trudu, aby poprawnie mówić po niemiecku. Nie czułem się w obowiązku odpowiedzieć mu i czekałem, co też on powie dalej. W zakłopotaniu chwycił pilnik, który Bóg wie poco — jeszcze od wizyty Charouska leżał na stole, lecz pomimo woli cofnął się natychmiast, jak gdyby go żmija ugryzła. Zdumiony byłem jego nieświadomą, duchową wrażliwością. „Pięknie! naturalnie, owszem! interes pański na tym polega. Musi być pięknie w mieszkaniu,“ zerwał się, dodając: „kiedy się odbiera takie szlachetne odwiedziny!“ Chciał otworzyć oczy, aby widzieć, jakie wrażenie wywrą na mnie jego słowa, lecz uznał widocznie to za przedwczesne — i znów je szybko zamknął. Chciałem go przycisnąć do muru: „Pan myśli o damie, która niedawno tutaj zajeżdżała? Powiedz pan otwarcie, dokąd pan zmierza?“ Chwilę się ociągał, potem chwycił mnie silnie za łokieć i pociągnął mnie do okna. Dziwny, nieumotywowany sposób, w jaki to zrobił, przypomniał mi, jak kilka dni temu, wciągnął do swojej jamy głuchoniemego Jaromira. Zakrzywionymi palcami pokazywał mi jakiś błyszczący przedmiot: „Jak pan myśli, panie Pernat, czy da się z tego jeszcze coś zrobić?“ Był to złoty zegarek, z tak mocno przygiętą kopertą, że wyglądał prawie jakby ją ktoś z umysłu wygiął. Wziąłem szkło powiększające: śrubki były do połowy poodłamywane a wewnątrz czy niema tam jakichś liter wrytych? Prawie już nie czytelne, a ponadto porysowane mnóstwem świeżych zadrapań. Powoli odczytałem:

K-a-r-ol Zott-man

Zottman? Zottman? — Gdzież ja słyszałem to nazwisko. Zottman? Nie mogłem sobie przypomnieć. Zottman? Wassertrum wytrącił mi prawie lupę z ręki. „W mechanizmie nic niema, patrzyłem już tam sam, ale z pokrywą — to coś — śmierdzi!“ „Trzeba tylko wyklepać i wyrównać, najwyżej kilka zlutowań. To może panu również dobrze zrobić każdy złotnik, panie Wassertrum, „Zależy mi na tem, żeby to była solidna robota, jak to się mówi artystyczna, — przerwał mi skwapliwie. Z trwogą prawie. „A więc dobrze, jeżeli panu na tem zależy“ — „Wiele na tem zależy!“ Głos jego drżał z zapalczywości. „Chcę sam nosić ten zegarek. A gdy go komukolwiek pokażę, to powiem: patrzcie, tak robi pan von Pernat.“ Brzydziłem się tym człowiekiem, pluł mi po prostu pochlebstwami w twarz. „Gdy za godzinę pan wróci, wszystko będzie gotowe.“ Wassertrum odwrócił się kurzowo: „Tak nie można, tego nie chcę. Trzy dni, cztery dni. W przyszłym tygodniu, będzie dosyć czasu. Całe życie robiłbym sobie wyrzuty, że pana zameczyłem!“ Czego on chciał, że tak zabiegał? — Uczyniłem krok do przyległego pokoju i schowałem zegarek do kasetki. Fotografia Angeliny leżała na wierzchu. Szybko zamknąłem pokrywkę, na wypadek, gdyby Wassertrum chciał zajrzeć. Gdy wróciłem, zauważyłem, że był zaczerwieniony. Przyjrzałem mu się, lecz natychmiast cofnąłem swe podejrzenie. Niemożliwe! Nie był w stanie nic zobaczyć. „A więc może następnego tygodnia,“ powiedziałem, aby położyć koniec jego wizycie. Lecz jemu tym razem się nie spieszyło, wziął krzeselko i usiadł. Na odwrót niż poprzednio, miał on teraz swoje rybie oczy przy rozmowie szeroko otwarte; wpatrywał się uporczywie w górny guzik mej kamizelki. Pauza. „Ta księżna naturalnie powiedziała panu, żeby pan udawał, że nibyto pan o niczem nie wie, gdyby się to wszystko wydało? Cooo?“ wrzasnął nagle na mnie bez wstępu i uderzył pięścią w stół. Było coś dziwnie strasznego w tej krańcowości, z jaką Aron przeskoczył od jednego sposobu rozmowy do drugiego — od tonów pochlebnych błyskawicznie przeszedł do brutalnych; uważałem to za bardzo możliwe, że większość ludzi, zwłaszcza kobiety muszą się całkowicie zdać na jego łaskę, jeżeli on posiada choćby najmniejszą broń przeciwko nim. Pierwszą moją myślą było zerwać się, chwycić go za kark i wyrzucić za drzwi; potem wytłumaczyłem sobie, czy nie będzie rozsądniej naprzód wysłuchać go dokładnie. „Naprawdę nie rozumiem, co pan ma na myśli, panie Wassertrum?“ — starałem się zrobić możliwie najgłupszą minę. „Księżna? Co za księżna? Może mam pana uczyć po niemiecku?“ przerwał mi ordynarnie. „Będzie musiał pan podnosić rękę przed sądem, gdy rozchodzi się o flaki! Rozumie mnie pan? Ja to panu mówię!“ Zaczął krzyczeć: „Nie będzie mi się pan w oczy wypierać, że „ona“ stamtąd“ — wskazał palcem w stronę pracowni — przybiegła do pana w jednym dywaniku i — nic więcej nie miała na sobie.“ Wściekłość zalała mi

oczy; schwyciłem łajdaka za pierś i potrząsałem nim: „Jeżeli jeszcze jedno słowo powiesz o tym, pogruhoczę ci kości! Zrozumiano?„ Przestraszony upadł na krzeselko i wyjąkał: „Co jest? co jest? czego pan chce? Ja tylko tak mówię.“ Przeszedłem się po pokoju, aby się uspokoić. Nie słuchałem tego wszystkiego, co gadał na swoje usprawiedliwienie. Usiadłem potem naprzeciwko niego z mocnym zamiarem, by sprawę, o ile dotyczy Angeliny, wyprowadzić na czystą wodę, a jeżeli się nie uda, to spokojnie zmusić go w końcu, aby wyjaśnił swą nienawiść i tak zawczasu odparować jego słabe pociski. — Nie zważając na to, że spokorniał, wbiłem mu w głowę, że presje jakiegokolwiek bądź rodzaju, — podkreśliłem to słowo — mogą się nie udać, gdyż on żadnego zarzutu nie może poprzeć dowodami, a ja mógłbym napewno zbić wszelkie zaświadczenia (założywszy, że w zakresie możliwości wogóle do tego by nie doszło). Angelina była mi za blizką, abym w potrzebie nie miał jej ratować choćby kosztem największych ofiar, nawet krzywoprzysięstwa! Każdy mięsień w jego twarzy drżał; zajęcza wargą wyciągnęła się aż do nosa, wyszczerzył zęby i okrążał mnie wciąż swoją mową jak indyk: „A czy ja czego chcę od księżny?? Niechże pan uważa!“ Tracił władzę nad sobą z niecierpliwości, że nie pozwalałem się oszukać. — Chodzi mi tu o Saviolego, o tego przeklętego psa, tego — tego“ — ryknął nagle. Zadyszał się. Szybko zatrzymałem go: w końcu doszedł do tego punktu na którym go chciałem mieć, lecz on natychmiast się połapał i znów się wpatrywał w moją kamizelkę. „Słuchaj pan, — panie Pernat,“ zmuszał się naśladować chłodny rozważny ton kupiecki — „pan mówi wciąż o? o tej damie. Dobrze! Ona jest zamężna. Dobrze: ona puściła się z tym — z tym młodym wszarzem. Co mię to obchodzi!“ Poruszał rękami przed moją twarzą, końce palców miał ściśnięte, jak gdyby trzymał w nich szczyptę soli — „Czy ona ma się sama z tym załatwić? — Ja jestem bywalcem i pan też jest bywalcem. My to obaj dobrze wiemy. Cooo? Ja chcę tylko dojść do swych pieniędzy. Rozumie to pan, Pernat?!“ Słuchałem zdumiony: „Do jakich pieniędzy? Czy Dr. Savioli jest panu coś winien?“ Wassertrum odpowiedział wymijająco.

„Mam z nim porachunki. To wychodzi na jedno.“

„Pan go chce zamordować!“ krzyknąłem. Podskoczył. Zatoczył się. Zakrztusił się kilka razy. „Tak jest! Zamordować! Jak długo pan chce jeszcze grać przedemną komedję!“

Wskazałem mu drzwi: „Wynoś się pan.“ Powoli wziął kapelusz, włożył go na głowę i skierował się do wyjścia. Potem zatrzymał się na chwilę i powiedział ze spokojem, na który nigdy nie przypuszczałem że się zdobędzie.

„A więc dobrze. Chciałem panu umożliwić wyjście z tej sprawy. Dobrze. Jak nie, to nie. Miłosierni golarze zadają zgniłe rany. Już mam tego dosyć. Gdyby pan był roztropny! — Savioli stoi panu na drodze! — Teraz załatwię się z wami trojgiem — ruchem oznaczającym dławienie wskazał, co ma na myśli —

„pętlicę“. Jego rysy wyrażały takie szatańskie okrucieństwo i zdawał się tak pewny być swej sprawy, że krew zastygła mi w żyłach. Musiał mieć widocznie jakąś broń w ręku, której nie przeczuwałem, a o której również Charousek nie wiedział. Czulem, jak ziemia się podemną zapadała. „Pilnik! pilnik!“ usłyszałem szept w swej głowie. Mierzyłem wzrokiem odległość: krok do stołu, dwa kroki do Wassertruma — chciałem skoczyć wtem na progu zjawił się, jakby z pod ziemi, Hillel. Pokój zniknął mi w oczach. Widziałem tylko jak przez mgłę, że Hillel stał nieruchomo, a Wassertrum krok za krokiem cofał się do ściany. Potem słyszałem, jak Hillel mówił: Aronie, znacie to zdanie: w s z y s c y żydzi są dla siebie wzajem poręczycielami? Nie utrudniajcie tego jednemu z nich.

— Dodał jeszcze kilka słów po hebrajsku, których nie rozumiałem. „Co pan ma w tym, aby węszyć poddrzwiami?“ wypluł kramarz drżącą wargą.

„Czy podsłuchiwałem, czy nie, możesz się o to nie troszczyć!“ — znów odparł Hillel jakimś hebrajskim zdaniem, które tym razem brzmiało jak groźba. Sądziłem, że dojdzie do kłótni, lecz Wassertrum nie odpowiadał ani słówka, namyślał się przez chwilę i wyszedł zuchwale. Z natężeniem patrzyłem na Hillela. Skinął na mnie, abym milczał. Widocznie czegoś oczekiwał, gdyż z uwagą wsłuchiwał się w korytarz. Chciałem iść i drzwi zamknąć: zatrzymał mnie niecierpliwym ruchem ręki. Zaledwie przeszła minuta, gdy dały się znów słyszeć na schodach dźwięczące kroki kramarza. Nie mówiąc ani słowa, Hillel odszedł i zrobił mu miejsce. Wassertrum zaczekał, aż znalazł się po za obrębem słuchu Hillela i warknął przez zaciśnięte zęby:

„Niech mi pan odda mój zegarek.“

K O B I E T A .

Gdzie się podziewa Charousek? Przeszło już blisko 24 godzin i wciąż go nie widać. Czy zapomniał znaku o któryśmy się umówili? A może go nie widzi? Zbliżyłem się do okna i nastawiłem lustro tak, że promienie słoneczne, które się właśnie ukazały, wpadły w okno jego mieszkania w piwnicy.

Wdanie się Hillela — wczoraj — zupełnie mnie uspokoiło. Napewno by mnie ostrzegł, gdyby mi groziło jakieś niebezpieczeństwo. Ponadto: Wassertrum nie mógł nic ważnego przedsięwziąć; zaraz potem, gdy mnie opuścił, wrócił do swego sklepu. — Rzuciłem wzrokiem na dół: stał nieruchomo, oparty o płytę kamienną, tak jak go już widziałem dzisiaj rano.

Nie podobna wytrzymać tego ciągłego oczekiwania! Łagodny powiew wiosenny, który wpływał przez otwarte okno z przyległego pokoju, czynił mnie chorym z tęsknoty. To tajanie śniegu kapiącego z dachów! A jak błyszczą w świetle słonecznym te cieniuchne sznureczki wody! Niewidzialne nici wyciągały mnie na ulicę. Pełen zniecierpliwienia chodziłem tam i z powrotem po pokoju. Rzuciłem się na krzeselko. Znów wstałem. Ten jątrzący się zarodek nieświadomej miłości w mej piersi nie chciał zniknąć.

Dręczył mnie całą noc. Raz była to Angelina, która tuliła się do mnie; potem rozmawiałem znów najniewinniej z Mirjam i zaledwie ten obraz odpłynął, powtórnie przyszła Angelina i całowała mnie; wąchałem zapach jej włosów, wysunąłem się z jej obnażonych ramion — i nagle przemieniła się w Rozynę, która tańczyła z pijanemi nawpół zamkniętymi oczyma — we fraku — cała naga; wszystko w półśnie, który jednak był tak wyraźny jak rzeczywistość. Nad ranem stanął mój sobowtór przy łóżku, ten mroczny Habal Garmin „wyziew kości“, o którym mówił Hillel, — i spojrzałem mu w oczy: był w mojej mocy, musiał mi odpowiadać na każde moje pytanie dotyczące spraw ziemskich i pozagrobowych, na co tylko oczekiwał, lecz żądza tajemniczości nie była tarczą dostateczną przeciw płomieniom, krwi, zamierała w żarzącym się ziemskim królestwie mego rozumu. — Odpędziłem to widmo, które powinno stać się odzwierciadleniem Angeliny a kurczyło się do rozmiarów litery „alef“ znów urosło, i stanęło jako kobieta kolosalna, naga do cna taka jak ją widziałem poraz pierwszy w książce Ibbur, z pulsem równym trzęsieniu ziemi i nachyliła się nademną, a ja wdychałem ogłuszający zapach jej gorącego ciała.

Czy Charousek już nie przyjdzie? Dzwony zaśpiewały z wież kościelnych. Chciałem zaczekać jeszcze kwadrans, — a potem wyjść! Włóczyć się poprzez ożywione ulice, pełne odświętnie ubranych ludzi, mieszać się z wesołym tłumem w dzielnicach bogaczy, widzieć piękne kobiety o zalotnych twarzach, o

wysmukłych rekach i nogach. Może łspotkam przytem wypadkowo Charouska, tłumaczyem się przed sobą. Aby mi czas płynął prędzej, wziąłem ze stosu książek starożytną grę w taroka. Może w kartach da się znaleźć motyw do obmyślenia jakiej kamei? Szukałem „Pagada“. Nie podobna go znaleźć: gdzież się mógł zapodziać? Jeszcze raz przejrzałem karty i zatopiłem się w myślach o ich ukrytem znaczeniu. Szczególnie ten Wisielec? co on mógł oznaczać?

Człowiek wisiał na linie między niebem a ziemią, głową na dół; ręce miał na plecach związane, prawe przedudzie założone przez lewą nogę, co wyglądało jak krzyż nad odwróconym trójkątem? Niezrozumiałe równanie. Przecież! Nakoniec! Charousek idzie. Lecz może nie? Przyjemna niespodzianka: to była Mirjam!

„Mirjam, wie pani, że ja właśnie chciałem zejść na dół i prosić panią, abys pojechała ze mną na spacer?“ Nie było to zupełną prawdą, lecz w następnej chwili przestałem o tem myśleć. — Nieprawdaż, pani mi tego nie odmówi? Tak mi dzisiaj nieskończenie miło na duszy, że pani, właśnie pani, Mirjam, musi uwieńczyć moją radość.“ „Jechać na spacer?“ powtórzyła z takim osłupieniem, że na cały głos parsknąłem śmiechem. „Czy projekt jest taki dziwny?“ „Nie, nie, nie, lecz —“ szukała słów, — „niesłuchanie wspaniały. Jechać na spacer. „Wcale nie tak wspaniały, gdy pani weźmie pod uwagę, że setki tysięcy ludzi czynią to — a właściwie całe swoje życie nic innego nie robią.“ „Tak, inni ludzie!“ — dodała wciąż jeszcze zupełnie zniecka tym zaskoczona. Chwyciłem ją za obie ręce: „To co inni ludzie przeżywają dla przyjemności, chciałbym aby pani, Mirjam, użyła w nieskończenie doskonalszej mierze.“

Zbladła nagle śmiertelnie, a po jej skamieniałym wzroku, odgadłem, co myśli. Był to dla mnie cios. — „Pani nie powinna tego w sobie ukrywać Mirjam,“ dopowiedziałem jej. „tego — tego cudu. Czy pani mi tego nie powie — z przyjaźni?“ Usłyszała trwożę w moich słowach i spojrzała na mnie zdziwiona. „Jeżeli to panią zbyt nie zmęczy, czy mógłbym się razem z nią cieszyć? Ależ tak! Wie pani, że ja się o panią bardzo troszczę? — O — o — jak to powiedzieć? O zdrowie pani duszy! Niech pani nie bierze tego dosłownie, lecz —: chciałbym, aby cud nigdy się nie stał.“ Spodziewałem się, że będzie mi przeczyć, lecz ona kiwnęła tylko głową pogrążona w myślach. „To panią trapi. Czy nie tak Mirjam?“

Ocknęła się: „Czasem zdaje mi się, jak by się to nie stało.“ Brzmiało to dla mnie, jak promień nadziei. „Gdy sobie pomyślę,“ mówiła zupełnie wolno i pogrążona w smutku, „że mogły by nadejść czasy, w których musiałbym żyć bez takich cudów .“

„Przecież w przeciągu jednej nocy może pani zostać bogatą i nie będzie pani potrzebowała,“ przerwałem jej bez namysłu, lecz gdy dostrzegłem przerażenie na jej twarzy, zatrzymałem się szybko “ przypuszczam: w zupełnie naturalny sposób mogła by pani być uwolnioną od wszystkich kłopotów, a cuda, które by pani potem przeżywała były by bardziej duchowe: — były by to raczej wewnętrzne wrażenia.“

Potrząsnęła głową i powiedziała dobitnie: „Wewnętrzne wrażenia nie są wcale cudami. Dosyć to zdumiewające, że dają je ludzie, którzy żadnych wrażeń nie posiadają. „Od dzieciństwa z dnia na dzień, z nocy na noc, przeżywałam (natychmiast przerwała i domyśliłem się, że w niej było coś innego, o czym mi nigdy nie mówiła, zapewne nic niewidzialnych wydarzeń, podobna mojej) „lecz to nie należy do rzeczy. Gdyby ktoś wstał i uzdrowił chorego przyłożeniem ręki, nie mogła bym tego nazwać cudem. Dopiero gdy martwy przedmiot ziemia wstaje, pobudzona do życia przez ducha i łamie prawa natury, wtedy dzieje się to, do czego tęskniłam, odkąd jestem zdolną do myślenia. Kiedyś powiedział mi ojciec: Kabbala ma dwie strony: jedną magiczną, drugą abstrakcyjną, które nigdy się wzajem nie pokrywają. Wprawdzie mogła by magiczna, przyciągnąć do siebie abstrakcyjną, lecz nigdy, ale to nigdy, odwrotnie. Magiczna jest darem, druga może być zdobytą i to tylko przy pomocy przewodnika.“ Wróciła znów do pierwszej nici: „Dar jest to to, czego pragnę; to co mogę zdobyć jest dla mnie obojętne bezwartościowe — jak pył. Gdy sobie pomyślę, że mogłyby kiedy nadejść czasy, w których musiałabym znów żyć bez tych cudów,“ widziałem jak palce jej kurczyły się, i naraz mną zaszarpał ból i żal „to zdaje mi się, że teraz już umieram w obliczu jeno takiej czystej możliwości.“ „Czy to jest powód, dla którego pani sobie życzy, aby się cuda nigdy nie działy?“ badałem. „Tylko po części. W tem jest jeszcze coś innego. Ja, ja namyślała się chwilkę, „nie dojrzałam jeszcze do tego, aby przeżywać cuda w takiej formie, ot co jest — jakże to panu wytłumaczyć? Niech pan tylko, jako przykład, wyobraz sobie, jakbym od wielu lat miała co noc ten sam sen, snujący się wciąż nieustannie; w tym śnie ktoś, powiedzmy, mieszkaniec innego świata poucza mnie i pokazuje mi nietylko na własnym moim odbiciu zwierciadlanym i na wszystkich jego odmianach, jak jestem daleką od dojrzałości magicznej, aby przeżywać jakiś „cud“; lecz daje mi również co do zagadnień rozumowych, które mnie czasami w ciągu dnia zajmują, oświecenie w taki sposób, że w każdej chwili mogę to wypróbować. Pan mnie zrozumie. Taka istota zastępuje komuś zamiast szczęścia wszystko, o czym można tylko na ziemi pomyśleć; to jest dla mnie most, który mnie łączy z „zaświatem;“ to drabina Jakóba, po której mogę się wznosić ponad szarzyznę codzienności ku światłu, to mój przewodnik i przyjaciel; w nim jest całe me zaufanie, że nie zabłądzę w szaleństwie i mroku na tej ponurej drodze, po której kroczy moja dusza; wierzę mu, gdyż on jeszcze

nigdy mię nie zawiódł. Potem naraz, naprzekór wszystkiemu, co mi ten mój przewodnik powiedział, jeden „cud“ pokrzyżował moje życie! Komuż mam teraz wierzyć? Czy to, co wypełniało mi nieprzerwanie tyle minionych lat, było złudzeniem? Gdybym miała o tem wątpić, wpadłabym w bezdenną przepaść. A jednak cud się stał! krzyczałabym z radości; gdyby —“ „Gdyby?“ przerwałem jej, wstrzymując oddech. Może sama powie teraz rozstrzygające słowo i ja będę mógł wszystko jej wyznać.

Gdybym się przekonała, że się mylę, — że to nie był „cud“! o, wiem o tem tak dobrze, jak to, że tutaj siedzę, wtedy bym zginęła! (serce bić mi przestało) — „byłabym znowu ściągnięta z nieba na ziemię! czy pan sądzi, że człowiek byłby w stanie to znieść?“. „Niech pani prosi swego ojca o pomoc“ powiedziałem bezradny z trwogi. „Mego ojca? o pomoc? — spojrzała na mnie zdziwiona „jeżeli istnieją dla mnie tylko dwie drogi, czyż on może znaleźć trzecią? — Wie pan, co byłoby dla mnie jedynym ratunkiem? Gdyby mi się zdarzyło to, co panu. Gdybym mogła zapomnieć w tej chwili, wszystko, co leży po za mną; moje całe życie, aż do dzisiejszego dnia. Czy to nie jest zadziwiające: to co pan uważa za nieszczęście, byłoby dla mnie najwyższem szczęściem!“ Długo milczeliśmy oboje. Potem schwyciła nagle mą rękę i zaśmiała się. Prawie wesoło. „Nie chcę, żeby pan trapił się z mego powodu;“ — (ona troszczyła się o mnie — o mnie!), przedtem był pan tak pełen wesela i szczęścia pod wpływem wiosny, a teraz zdaje się pan uosobieniem smutku. Wogóle nie powinna byłam panu nic powiedzieć. Niech pan to wykreśli ze swojej pamięci i znów myśli tak pogodnie, jak przedtem! — Jestem tak zadowolona —“ „Pani? Mirjam? Zadowolona? przerwałem jej gorzko. „Zrobiła przekonywującą minę: Tak! Rzeczywiście! Zadowolona. Idąc tu do pana, tak nieopisanie się bałam, — sama nie wiem czego: nie mogłam pozbyć się uczucia, że panu grozi wielkie niebezpieczeństwo, — przysłuchiwałem się z uwagą — „lecz zamiast się cieszyć, że oto pan jest zdrow i cały, zasmuciłam pana i “ Zmusiłem się do wesołości: „uczyniłaby pani najlepiej, gdyby ze mną pojechała.“ (Usiłowałem, o ile mogłem, nadać swemu głosowi ton swobodny) „chciał bym raz nareszcie widzieć Mirjam, czy nie uda mi się odpędzić od niej tych smutnych myśli. Niech pani powie, czego pani sobie życzy: przecie nie jest pani egipskiem czarodziejem, tylko młodą osobą, której wietrzyk wiosenny, jeszcze może wyrządzić złośliwego figla! “ Mirjam nagle rozweseliła się zupełnie. „Ale co się z panem dzisiaj dzieje, panie Pernat. Takim pana nigdy jeszcze nie widziałam! Zresztą, to wiatr wiosenny. U nas, u panien żydowskich, rodzice, jak wiadomo, kierują wiatrem wiosennym, a my musimy być posłuszne. Czynimy też to jakby zgodnie z naturą, to leży już u nas we krwi. U mnie nie, wtrąciła poważniej; moja matka długo walczyła, kiedy miała wyjść za mąż za tego szkaradnego Arona Wassertruma! „Co? matka pani? Za tego

kramarza z dołu?“ Mirjam skinęła głową. „Dzięki Bogu, że to nie doszło do skutku. — „Dla biednego człowieka był to zapewne straszny cios.“ „Biedny człowiek, mówi pani? zerwałem się. Ten drab to czysty zbrodniarz.“ W zamyśleniu przeczyła ruchem głowy. „Zapewne on jest zbrodniarzem, ale ten, który siedzi w takiej skórze, a nie byłby zbrodniarzem, musiałby być prorokiem.“ Przysunąłem się ciekawie: „Czy pani wie coś pewnego o nim? Mnie to interesuje. Z zupełnie szczególnych względów !! „Jeśli by pan raz zobaczył jego sklep z wewnątrz, to od razu wiedział by pan, jak wygląda jego dusza. Ja to mówię, gdyż bywałam tam często jako dziecko. Dlaczego patrzy się pan we mnie taki zdumiony? Czy to takie nadzwyczajne? Dla mnie był on zawsze przyjacielski i dobry. Nawet raz, przypominam sobie, podarował mi duży świecący kamień, który mi się najbardziej podobał z jego rzeczy. Moja matka powiedziała, że to brylant i musiałam mu naturalnie zaraz go odnieść. Z początku długo nie chciał go wziąć z powrotem, ale potem wyciągnął mi go z ręki i rzucił go z wściekłością precz daleko od siebie. Jednak zobaczyłam, jak mu przytem wytrysły łzy z oczu; znałam już wtedy dosyć język hebrajski, aby zrozumieć, że szeptał: „wszystko czego moja ręka dotknie, jest przeklęte“! ostatni to raz mogłam go odwiedzić. Nigdy więcej od tego czasu nie zaprosił mnie, abym do niego przyszła. Wiem także dlaczego: gdybym nie starała go się pocieszyć, wszystko było by po dawnemu, ale ponieważ sprawił mi ogromną przykrość, o czym też mu powiedziałam, — nie chciał mnie już więcej widywać — Pan tego nie rozumie, panie Pernat? To przecież takie proste: jest to człowiek opętany, który staje się śmiertelnie nieufny, jeżeli ktoś dotknie jego serca. Uważa się za istotę stokroć ohydniejszą, niż jest rzeczywiście — o ile to wogóle być może — i w tem tkwi zasada wszystkich jego myśli i uczynków. Mówią, że jego żona lubiła go; było w tem może więcej litości, niż miłości, ale w każdym razie tak sądziło wielu ludzi. Jedyne, który przeciwnie głęboko był tem dotknięty, to był on! on wszędzie węszył zdradę i nienawiść. Tylko co do swego syna zrobił wyjątek. Czy stało się to dlatego, że widział jego wzrastanie od niemowlęcych lat, że zatem, jakby powiedzieć, przeżywał wraz z nim kiełkowanie każdej jego właściwości od samego zarodka i dlatego nigdy nie dochodził do takiego punktu, gdzie mogłaby się w nim obudzić nieufność czy też z powodu, że to już leży we krwi żydowskiej wszystkie zdolności do kochania, które w nas tkwią, przekazać na swego potomka w tym instynktownym strachu naszej rasy: że możemy umrzeć i nie wypełnić misji, którą zapomnieliśmy, ale która w nas trwa niewyraźnie — któż to może wiedzieć? Z przezornością która prawie sięgała granic mądrości a która u takiego niewykształconego człowieka, jak on, jest zadziwiająca, prowadził wychowanie swego syna. Jak przenikliwy psycholog usuwał przed swem dzieckiem z drogi, wszelką przeszkodę, która mogłaby się przyczynić do

rozwoju sumienności, aby mu oszczędzić przyszłych cierpień duchowych. Trzymał dla niego za nauczyciela wybitnego uczonego, który stał na stanowisku teorii, że zwierzęta są bezwrażliwe i że odczuwanie bólu jest u nich tylko mechanicznym refleksem. Z każdego stworzenia wycisnąć dla siebie samego tyle rozkoszy i zadowolenia, ile tylko można, a zaraz potem łupinę, jako niepotrzebną, odrzucić: to było mniej więcej abecadło jego daleko widzącego systemu wychowawczego. „Może pan sobie wyobrazić, że pieniądz jako sztandar i klucz do „potęgi“, grał tu pierwszą rolę. Że zaś on sam starannie ukrywa swoje bogactwo, aby mrokiem osłonić granice swego wpływu, zatem wymyślił sposób, że umożliwił swojemu synowi podobne istnienie, oszczędzając mu zarazem męki pozornie ubogiego życia: przepoił go piekielnym kłamstwem „piękności“; przytaczał mu zewnętrzne i wewnętrzne wytwory estetyki, nauczył go pozorować zewnętrzne swe czyny; udawać lilie polną, a wewnątrz być sępem-ścierwnikiem. Naturalnie owa „piękność“ nie był to wcale jego własny wynalazek — ale raczej ulepszenie rady, którą mu dał jakiś „wykształcony“. Że jego syn wypierać się go będzie później, gdzie i kiedy zajdzie tego potrzeba, nie brał mu tego za złe. Przeciwnie, kazał mu to uważać za obowiązek, gdyż miłość jego była bez egoizmu i tak jak już raz mówiłam o swoim własnym ojcu — była to miłość w rodzaju tych, co poza grób sięgają!“ Mirjam umilkła na chwilę: spojrzałem na nią, jak w milczeniu snuła dalej swoje myśli; usłyszałem to w zmienionym dźwięku głosu, gdy powiedziała: „Dziwne owoce rosną na drzewie żydowstwa!“ „Niech mi pani powie, Mirjam, powiedziałem, czy nigdy pani nie słyszała, że Wassertrum ma w swoim sklepie stojącą figurę? woskową Nie pamiętam kto mi to opowiadał, może to był tylko sen „Nie, nie, — to prawda, panie Pernat: woskowa figura, naturalnej wielkości stoi w kącie, gdzie on pośrodku najróżniejszych rupieci śpi na worku słomy. Przed laty kupił ją od właściciela jakiegoś bałaganu, kupił ją zaś jakoby dlatego, że lalka była podobna do jednej dziewczyny — chrześcijanki, która rzekomo była kiedyś jego kochanką.“ „Matka Charouska!“ zabrzmiało we mnie. „Nie wie pani jej imienia?“ Mirjam potrząsnęła głową. „Jeśli panu na tem zależy — czy mam się dowiedzieć? „Ach nie, Mirjam, jest to dla mnie zupełnie obojętne.“ (Po jej błyszczących oczach zauważyłem, że w zapale się przegadała. Nie powinna już się opamiętać, rzekłem sobie) „ale co mnie interesuje więcej, to temat, o którym pani przedtem pobieżnie mówiła. Ja myślę o „wiosennym wietrze“ — ojciec pani napawno przecież nie oznaczył pani czasu, kiedy pani ma wyjść za mąż?“ Roześmiała się wesoło. „Mój ojciec? skądże panu to przyszło do głowy? „No to, wielkie szczęście dla mnie.“ „Jakto? spytała, nie spodziewając się podstępu. „Bo w takim razie mam jeszcze szanse“. Był to poprostu żart i ona też inaczej tego nie przyjęła, jednak szybko zerwała się i pobiegła do okna, abym nie spostrzegł jej rumieńca. — Odwróciłem się, aby jej pomódz wyjść z

zakłopotania. Oto jedno proszę, jako stary przyjaciel i musi mnie pani zawiadomić, gdyby sprawa już zaszła tak daleko. A może pani wogóle chce pozostać niezamężną?“ „Nie, nie, nie!“ — odparła tak energicznie, że roześmiałem się mimowoli — „kiedyś muszę przecież wyjść za mąż.“ „Naturalnie! To się rozumie!“ Stała się nerwową, jak podłotek. „Czy pan nie może być chwilę poważnym, panie Pernat“. Posłusznie zrobiłem minę serjo, Mirjam usiadła. „Więc, jeśli mówię, że muszę przecież kiedyś wyjść za mąż, to chcę przez to powiedzieć, że jakkolwiek nie rozważałam bliższych okoliczności, ale sens życia napewno byłby mi niezrozumiały, gdybym, przyjąwszy, że urodziłam się kobietą, miała zostać bezdzietną.“ Pierwszy raz, od czasu, jak się znałem, zauważyłem w jej rysach kobiecość. „To należy do moich snów“, zaczęła cicho, — „wyobrazić sobie, jako cel, stopienie dwojga istot w jedną — stopienie czy nigdy pan nie słyszał o starym egipskim kulcie Ozyrysa? — w istotę, ktorej symbol stanowić może Hermafrodyta. Rozumiem przez to magiczne połączenie męskości i kobiecości w rodzaju ludzkim do wyżyn półboga. Jako cel! Nie, nie jako cel, ale jako początek nowej drogi, która jest wieczną — i niema końca!“ „I wierzy pani, że kiedyś znajdzie pani tego, którego szuka? — zapytałem wzruszony. A jeżeli być może mieszka on gdzieś w dalekiej krainie albo wogóle wcale go niema na ziemi?“ „Nic o tem nie wiem, powiedziała prosto — „mogę tylko czekać. Jeśli jest oddalony ode mnie czasem i przestrzenią, w co nie wierzę, to czemże byłabym związana tu z tem ghetto, albo jeżeli nas dzieli przepaść wzajemnej nieświadomości — a ja go nie znajdę, wtedy moje życie nie posiadało by żadnego celu i byłoby bezmyślną igraszką nedorzecznego biesa. Ale, proszę, proszę nie mówmy już więcej o tym, błagała; jeśli tylko wypowie się swoją myśl, nabiera ona brzydkiego ziemskiego posmaku, a ja nie chciałabym tego. Nagle przerwała. „Czego pani by nie chciała, Mirjam?“ Podniosła rękę. Wstała szybko i powiedziała: „Ktoś pana odwiedza, panie Pernat.“ Jedwabna suknia zaszeleściła w korytarzu. Gwałtowne pukanie. Angelina! Mirjam chciała wyjść. Zatrzymałem ją. „Czy pozwoli pani przedstawić: córka mego drogiego przyjaciela — Pani hrabina. — „Nie można wcale przejechać! wszędzie bruk reperują, kiedyż nareszcie będzie pan w bardziej ludzkiej okolicy mieszkał, mistrzu Pernacie? Na dworze śnieg topnieje i niebo się raduje, aż piersi rozsadza, a pan ślęczy tutaj w grocie stalaktytowej, jak stara żaba. — Zresztą wie pan, byłam wczoraj u swego jubilera; ten powiedział, że pan jest największy artysta, najlepszy snycerz kamej za naszych czasów, jeżeli nie największy ze wszystkich, jacy kiedykolwiek żyli na świecie. Angelina plotła tak, jak wodospad, ja zaś byłem oczarowany. Widziałem tylko jej błyszczące, niebieskie oczy, drobne nóżki w maleńkich lakierowanych bucikach, widziałem kapryśną twarz, wyłaniającą się z mnóstwa futer i różowawe uszka. Nawet odetchnąć nie miała czasu. „Na rogu stoi mój

powóz. Już się bałam, że pana nie zastanę w domu. Napewno pan jeszcze nie jadł obiadu? Najpierwej pojedziemy, prawda? Dokąd pojedziemy najpierwej? Najpierw pojedziemy — niech pan zaczeka ach! może do parku albo ogólniej gdzie bądź w szczerze pole, gdzie tak dobrze się czuje w powietrzu rozkwitanie wiosny i kiełkowanie ziół! Jedźmy, jedźmy, proszę wziąć kapelusz, potem zjemy u mnie, a potem będziemy gadać aż do wieczora. Proszę niech pan weźmie kapelusz. Na co pan czeka? — Ciepły, zupełnie miękki pled jest na dole — owiniemy się weń po same uszy i okryjemy się razem, aż nam będzie szalenie gorąco“ Co mogłem na to powiedzieć? Tak samo właśnie umawiałem się z córką mego przyjaciela o przejażdżkę. — Mirjam nagle pożegnała szpiesznie Angelinę, zanim jeszcze mogłem coś powiedzieć. Odprowadziłem ją do drzwi, chociaż bardzo życzliwie chciała mię powstrzymać. „Niech mnie pani wysłucha, Mirjam, nie mogę pani tu na schodach wypowiedzieć, jak mi na pani zależy i jak tysiąc razy wołał bym z panią“. „Nie powinien pan, panie Pernat, kazać tej pani czekać“ — powiedziała to z całą serdecznością i szczerze, bez udawania, ale widziałem, że blask jej oczu zagasnął. Zbiegła szpiesznie ze schodów; żal ścisnął mi gardło. Czulem, jak gdybym cały świat utracił.

Siedziałem jak odurzony przy boku Angeliny. Jechaliśmy wściekłym kłusem przez przepelnione ludźmi ulice. Taki wir życia toczył się koło mnie, że nawpół ogłuszony w obrazie, co się rozwijał przedemną, rozróżniać mogłem tylko małe świetlne plamy, błyszczące klejnoty w kolczykach i łańcuszkach, lśniące cylindry, białe damskie rękawiczki, pudła z czerwoną wstążką na szyi, który szczerkając chciał ugryźć koło u wozu, pieniaące się kare konie, które biegły obok nas, srebrną siatką okryte; okno magazynu, wewnątrz błyszczące naczynia przepelnione sznurami pereł, iskrzących się klejnotów, — połysk jedwabiu na wysmukłych biodrach dziewczęcych. Ostry wiatr, który nas ciał po twarzy pozwalał mi podwójnie odczuwać ciepło ciała Angeliny. Gdyśmy przejeżdżali koło policjantów, ci z szacunkiem na krzyżujących się ulicach, w bok się cofali na nasz widok. — Potem przejechaliśmy stępą bulwarem, który był niby jeden szereg powozów, koło zapadłego kamiennego mostu, aleją zaś ciągnęły tłumy gapiących się twarzy. Zaledwie patrzyłem: najmniejsze słowo z ust Angeliny, jej rzęsy, żywa gra jej ust, — wszystko to było dla mnie nieskończenie ważniejsze, niż przyglądać się, jak tam na dole pod bryłami lodu skalne urwiska opierały się wzajem barami o siebie. Droga w parku. Potem elastyczna, tłuczniem zbita ziemia. Potem szelest liści pod kopytami koni, wilgotne powietrze, bezlistne drzewa, pełne wronich gniazd, martwa zieloność łąk z białymi wyspami znikającego śniegu, wszystko mijało mnie: jak we śnie. Tylko kilku krótkimi słowami, prawie obojętnie wspomniała Angelina o dr. Saviolim. „Teraz, kiedy niebezpieczeństwo minęło“ powiedziała z zachwycającą dziecinną prostotą — „i wiem, że jemu też jest lepiej, to wszystko w czym brałam udział,

wydaje mi się tak strasznie nudne. Chcę się znów nareszcie cieszyć, zamknąć oczy: zanurzyć się w spienionej fali życia. Myślę, że wszystkie kobiety są takie. Tylko się nie przyznają: albo są tak głupie, że same o tem nie wiedzą. Czy nie sądzi pan tak samo?“ Nie słuchała wcale, co jej na to odpowiedziałem. „Wogóle kobiety są dla mnie zupełnie nie interesujące. Naturalnie, niech pan nie bierze tego za pochlebstwo: ale istotnie, sama bliskość sympatycznego mężczyzny jest dla mnie miłą, niż najbardziej zachęcająca rozmowa z kobietą, nawet dwakroć roztropniejszą. Wreszcie to wszystko co my między sobą gadamy, jest to przecież takie głupstwo! Najwyżej: trochę stroju i Mody nie zmieniają się przecież tak często. Prawda, jestem lekkomyślną? zapytała nagle zalotnie.“ Tak, że ja opętany jej czarem — musiałem zapanować nad sobą, aby nie chwycić jej głowy w swe ręce, — i nie ucałować jej w szyję. — „Niech pan powie, że jestem lekkomyślną! przysunęła się jeszcze mocniej i przytuliła się do mnie. Wyjechaliśmy z alei do lasu, z krzewami owiniętymi w słomiane chochoły; witych osłonach wyglądały one, jak tułowie potworów o ramionach i głowach odciętych. Ludzie siedzieli na ławkach w słońcu, spoglądali za nami i przysuwali do siebie głowy. Chwilę milczeliśmy i oddawaliśmy się naszym myślom. Jak zupełnie inną była Angelina, niż dotychczas w mojej wyobraźni! Jak gdyby dzisiaj dopiero zamieniła się dla mnie w rzeczywistość. Czy istotnie była to ta sama kobieta, którą kiedyś spotkałem w katedrze? Nie mogłem odwrócić wzroku od jej w pół-otwartych ust. Teraz milczała. Zdawało się, że w duchu ogląda jakiś obraz. Powóz skręcił w wilgotną łąkę. Czuć było zbudzoną ziemię. „Wie pani pani?“ „Niech mnie pan nazywa Angeliną“ — przerwała mi po cichu. „Wiesz, Angelino, że całą dzisiejszą noc, śniłem o tobie? wtrąciłem pospiesznie. Uczyniła mały szybki ruch, jak gdyby chciała wyciągnąć do mnie ramię, i spojrzała na mnie zdziwiona. „Nadzwyczajne! a ja o tobie! I w tej chwili myślałam o tem samym.“ Znów rozmowa się przerwała i oboje się zaczerwieniliśmy, żeśmy śnili jedno i to samo. Poczulem to po tętnie jej krwi. Jej ramię drżało ledwo widocznie na mojej piersi. Zażenowana odwróciła się odemnie i wyglądała z powozu. Wolno przyciągnąłem jej rękę do swych ust, usunąłem białą pachnącą rękawiczkę; słyszałem jak jej pierś coraz mocniej faluje. Obląkany z miłości zatopiłem usta w jej dłoni.

Godzinę później szedłem jak pijany, wśród mgły wieczornej w dół miasta. Obiegałem ulice bez żadnego planu i szedłem, długo nie widząc, jak i gdzie się błąkam. Stałem potem nad rzeką, oparty o żelazną poręcz i spoglądałem w szumiące fale. Wciąż czułem ręce Angeliny na swoich ramionach, widziałem przed sobą kamienną cysternę fontanny, przy której już kiedyś przed wielu laty żegnaliśmy się ze sobą, z powiędłymi liśćmi wiązu wewnątrz; i ona szła znów ze mną, jak przed chwilą, z głową opartą na mojem ramieniu, niemo, przez mroźny, mroczny park swego zamku. — Usiadłem na ławce i, aby marzyć,

zasłoniłem twarz kapeluszem. Woda szemrała nad tamą, a jej szmer pochłaniał ostatnie pomruki usypiającego miasta. Od czasu do czasu, otulając się paltem, spoglądałem przed siebie i widziałem rzekę w coraz większym cieniu, aż w końcu, przygnieciona ciężką nocą, stała się ciemno szarą. A piana przepływała, w poprzek na drugi brzeg wody, jak biała, oślepiająca smuga. Wzdrygałem się na myśl, że muszę znów wracać do swego smutnego domu. Szczęście jednego krótkiego popołudnia uczyniło mnie obcym na zawsze dla mej siedziby. Przetrwa to kilka tygodni, może kilka dni, potem szczęście musi przeminąć i nic nie pozostanie — prócz żalostnego pięknego wspomnienia. A zatem co? Za tem jestem bezdomny, tu i tam, po tej i tamtej stronie rzeki. Wstałem. Zanim udałem się do ponurego Ghetto, chciałem jeszcze rzucić wzrokiem przez sztachety na zamek, za którego oknami ona spała! Zboczyłem w kierunku, skąd przyszedłem, poomacku błądziłem wśród gęstej mgły, wzdłuż szeregu domów i przez drzemiące place, zobaczyłem groźne wynurzające się czarne pomniki i pojedyncze budki strażnicze i floresy barokowych fasad. Matowy połysk tworzył olbrzymie, fantastyczne koła o tęczowych barwach na tle mgły, stawał się żółtawy, rażący oczy i rozchodził się za mną w powietrzu. Nogi dotykały się szerokich, kamiennych stopni, posypanych żwirem. Gdzie byłem? Wąwóz, który spadzisto prowadził na dół? Gładkie mury ogrodowe na lewo i na prawo? Nagie gałęzie jakiegoś drzewa zwieszały się nad drogą. Spływały z nieba: pień ukrywał się za ścianą z mgły. — Kilka zgniłych cienkich gałązek, przy dotknięciu kapelusza, ułamało się z trzaskiem, spadło po moim palcie w mglistą, szarą przepaść, która ukrywała przedemną moje nogi. Wtem błyszczący punkt: samotne światło w oddali — gdzieś — zagadkowe — światło między niebem a ziemią. Widocznie zabłądziłem. To mogły być tylko stare schody zamkowe na zboczu ogrodu, na górze Książęcej. Potem długa przestrzeń gliniastej ziemi. — Gościniec brukowany. Olbrzymi cień wznosił wysoko swą głowę w czarnej sztywnej szpiczastej czapce: „Daliborka“. — Wieża więzienna, w której niegdyś ludzie ginęli z głodu, gdy królowie na dole w Jelenim Jarze polowali na dziczyznę. Wązka, ślepa uliczka z wylotami strzelnic, ślimacza dróżka, zaledwie na tyle szeroka, żem mógł rozciągnąć ręce — i stanąłem przed szeregiem domków nie wyższych ode mnie. Gdy wyciągnąłem rękę, mogłem dosięgnąć dachów. Znalazłem się na ulicy „Alchemików“ gdzie w czasach średniowiecznych adepci kunsztu tajemnego żarzyli kamień filozoficzny i zatruli promienie księżycowe. Żadna inna droga tam nie dochodziła, oprócz tej którą przyszedłem. Nie mogłem znaleźć tego otworu w murze, przez który wszedłem, — wpadłem na drewniane okratowanie. — Nic nie pomoże. Musze kogoś obudzić, aby mi wskazał drogę: powiedziałem sobie. Czy to nie dziwne, że ulicę zamyka w tem miejscu dom, — większy niż pozostałe i prawdopodobnie zamieszkały. Nie mogłem sobie uświadomić, czym go kiedykolwiek zauważył. Może był otynkowany na białą, gdyż świecił tak jasno

we mgle nocnej. Przeszedłem okratowaniem przez wąską ścieżkę ogrodową, przysunąłem twarz do szyby: wszędzie ciemno. Zastukałem do okna. — Wtedy wewnątrz ukazał się jakiś człowiek stary, jak świat, trzymający w ręku zapaloną świecę; przeze drzwi starczo chwiejnym krokiem wchodzi do środka pokoju, zatrzymał się, powoli obrócił głowę w kierunku zakurzonych retort i kolb alchemicznych na ścianie, utkwiał zamyślony wzrok na potężne pajęczyny w kątach, poczem niewzruszenie skierował swój wzrok ku mnie. Cień kości policzkowych padł mu na otwory oczne, tak iż wyglądało, jakby były puste; wprost mumjia. Widocznie mnie nie widział. Stuknąłem w szybę. Nie słyszał mnie. Wychodził bez szmeru, jak lunatyk napowrót z pokoju. Czekałem napróżno. Zastukałem do bramy: nikt nie otwierał.

Nie pozostawało mi nic, jak szukać tak długo, aż w końcu znajdę wyjście z tej ulicy.

Zastanowiłem się, czy nie byłoby najlepiej, gdybym jeszcze poszedł między ludzi, — do moich przyjaciół: Zwaka, Prokopa i Vrieslandera do starej „spelunki,“ gdzie znajdę ich napewno, — aby zagłuszyć choćby na parę godzin tę trawiącą mnie tęsknotę do pocałunków Angeliny. Szybko udałem się w drogę.

Jak trójliść umarłych — wszyscy trzej siedzieli wokół starego zjedzonego przez robaki stołu, mając białe cienkie fajeczki gliniane w zębach, a pokój był pełen dymu. Ledwie można było rozpoznać ich twarze, tak bardzo ciemno-brunatne ściany pochłaniały skąpe światło staromodnych lamp wiszących. W kącie oschła, małamówna zniszczona kelnerka, ze swoją wieczną szydełkową pończochą; o bezbarwnem spojrzeniu i żółtym kaczym nosie! Przed zamkniętymi drzwiami wisiały matowo czerwone zasłony, tak że głosy gości z przyległego pokoju dochodziły tylko, jak ciche brzęczenie roju pszczoł. Vrieslander w swym stożkowatym kapeluszu, o równopoziomem rondzie na głowie, ze szpakowatym wąsem, ołowiano-szary w barwie na twarzy, z blizną pod okiem: wyglądał, jak jakiś pijany Holender z zapomnianych stuleci! Jozue Prokop wetknął sobie widelec w swe artystyczne kędziory, dzwonił nieustannie strasznie długimi kościstymi palcami i przyglądał się pełny zdumienia, jak Zwak męczył się, chcąc zawiesić purpurowy płaszczyk kukielki na pękatej flaszce od araku. „To będzie Babiński?“ objaśnił mi Vrieslander z głęboką powagą. „Pan nie wie, kto to był Babiński? Zwak, opowiedzcie zaraz Pernatowi, kto to był Babiński!“ „Babiński był to“ — zaczął Zwak natychmiast, nie odwracając się nawet ani na chwilę od swej roboty — „niegdyś słynny w

Pradze zbój. Wiele lat prowadził on swoje nikczemne rzemiosło, a nikt tego nie zauważył. Raz po raz zdarzało się w najlepszych domach, że już to jednego, już drugiego z członków rodziny brakło przy stole i nigdy więcej się nie pokazywali. Chociaż z początku nic o tem nie mówiono, gdyż sprawa ta miała poniekąd swoje dobre strony, ile że gospodarstwo wypadało taniej, należało jednak baczyć, że tym sposobem niejedna rodzina traciła na szacunku w towarzystwie i narażała się na plotki. Szczególnie, jeżeli chodziło o zniknięcie bez śladu córek w wieku ślubnym. Samo się przez się rozumie, że w rodzinach mieszczańskich głównie chodziło o zachowanie pozorów uczciwego życia familijnego. Ogłoszenia w gazetach: „Wracaj! wszystko przebaczone!“ mnożyły się coraz więcej — okoliczność, której Babiński, lekkomyślny, jak większość zbójów zawodowych, nie brał w rachubę i ostatecznie zbudziło to powszechną uwagę. W miłej wiosce Krez pod Pragą, Babiński, który miał w gruncie charakter iście sielankowy, z czasem dzięki niez mordowanej działalności, założył sobie mały, ale sympatyczny zakątek. Domek jasny, czysty i przy nim ogródek z aleją kwitnących malw i geranjów.

Ponieważ dochody nie pozwalały mu powiększać ogródka, zatem aby zwłoki swych ofiar móc chować niepostrzeżenie, zamiast grzędy kwiatowej, co mu było najmilsze — musiał on przysposobić odpowiednią mogiłę, porośłą trawami i poziomą a która bez wysiłku dała by się poszerzać, o ile tego będzie wymagała potrzeba lub pora roku. Po dniach trudów i pracy miał Babiński zwyczaj siadywać co wieczora w promieniach zachodzącego słońca na tych uświęconych miejscach i wygrywać na swym flecie rozmaite melancholijne melodie. „Stój“ przerwał szorstko Jozue Prokop, wyciągnął klucz z kieszeni, trzymał go, jak klarnet przy ustach i zaczął: „Zimmerlin zambusla deh.“

„Czy pan był przytem, że pan tak dokładnie zna melodię?“ spytał Vriestander zdumiony. Prokop rzucił mu złośliwe spojrzenie: „Nie, jeżeli o to chodzi, to Babiński żył zbyt dawno, ale jako kompozytor muszę wiedzieć najlepiej, co mógł grać. Pan o tem nie może mieć żadnego zdania. Pan nie jest muzykalny Zimmerlin — zambusla — busla — deh.“

Zdumiony słuchał Zwak, aż Prokop schował swój klucz od bramy; a stary jasełkarz mówił dalej: „Ciągły rozrost mogiły wzbudził podejrzenie w sąsiadach z za miedzy, strażnikowi zaś z przedmieścia Žižkow, który wypadkowo z daleka zobaczył jak Babiński udusił pewną starszą damę z towarzystwa, należy się zasługa położenia kresu samolubnym czynom okrutnika: uwięziono Babińskiego w jego Tusculum. Sąd, uwzględniwszy okoliczności łagodzące t. j. wyjątkowo rozgłosną opinię, skazał go na śmierć przez postronek i zawiadomił jednocześnie firmę bracia Leipen — towary powroźnicze: hurt i detal — aby jednemu z wysokich urzędników skarbowych dostarczyła za pokwitowaniem wszystkich do powieszenia koniecznych materyałów, o ile, to leży w jej zakresie

i aby podała ceny umiarkowane. Zdarzyło się jednak, że powróż się urwał i Babiński został ułaskawiony na dożywotnie więzienie. Dwadzieścia lat odsiedział zbój za murami świętego Pankracego, i ani razu skarga nie powstała na jego ustach; — jeszcze dziś cały sztab urzędniczy zakładu nie może się dość nachwalić jego wzorowego zachowania się: — do tego stopnia, że pozwolono mu nawet, w imieniny naszego najwyższego władcy kraju grywać na flecie.

„Prokop znów zaczął szukać swego klucza, ale go Zwak zatrzymał.“ — Wskutek ogólnej amnestji przebaczone Babińskiemu resztę kary, i dostał miejsce odźwiernego w klasztorze „Sióst Miłosiernych.“

Lekka ogrodowa robota, którą się przytem zajmował, dzięki zręczności w użyciu rydła, nabytej za czasów poprzedniej działalności, szła mu tak prędko, że zostawało mu dość wolnego czasu, by oświecać serce i duszę dobrem, a doborowem czytaniem.

Wynikające z tego skutki były bardzo pocieszające. Ile razy posyłała go przełożona w sobotnie wieczory do oberży, aby rozweselił swój umysł, za każdym razem powracał punktualnie przed zapadnięciem nocy do domu, z wiadomością, że upadek ogólnej moralności nastrojał go ponuro, liczny zaś motłoch najgorszego gatunku ukrywający się przed światłem — niebezpieczeństwem napelnia drogi miejskie; temu zaś, który miłuje pokój — jest to przykazanie mądrości wcześniej skierować swe kroki do domu.

Onego czasu w Pradze, zazwyczaj woskoboje wystawiali małe figurki, przystrojone czerwonym płaszczem, a wyobrażające zbója Babińskiego. Każda z pokrzywdzonych rodzin nabywała taką figurką. Zwycię jednak stały one w sklepach pod szklannymi pokrywkami, i nic tak Babińskiego nie drażniło, jak gdy zauważył podobną woskową figurkę.

„To jest w najwyższym stopniu niegodne i świadczy o zdziczeniu ducha, przypominać komuś ciągle błędy młodości — mawiał w takich razach Babiński, „i godne pożałowania, że ze strony władz nic się nie robi, aby ukrócić tak oczywistą swawolę.“

Jeszcze na śmiertelnym łożu odzywał się w tym duchu. Nie daremnie, gdyż wkrótce potem władza zakazała siejącego zgorzenie handlu posążkami Babińskiego. Zwak pociągnął wielki łyk grogu ze swojej szklanki i wszyscy trzej ryknęli, jak czarci. Potem ostrożnie zwrócił głowę w stronę bezbarwnej kelnerki i zobaczyłem, jak ta otarła łzę z oka.

„No, a panu nic nie idzie ku lepszemu, — wyjąwszy — naturalnie — że pan z wdzięczności dla nieśmiertelnej rozkoszy pijackiej zapłaci nasze kufelki, — szanowny kolego wycinaczu drogich kamieni? rzekł Vrieslander po długiej

przerwie ogólnej zadumy.

Opowiedziałem im swoją wędrówkę wśród mgły. Skoro w opisie doszedłem do miejsca, gdzie zauważyłem biały dom, wszyscy trzej, zaczerwienieniem wyjęli fajki z ust, a gdy skończyłem, Prokop uderzył pięścią w stół i zawołał: „Przecież to jasne! Ten Pernat własnym ciałem przeżywa wszystkie legendy, jakie tylko istnieją. — Apropoz! — Wtenczas ten Golem — Wie pan, rzecz się wyjaśniła.

„Jakto wyjaśniła?“ spytałem zdumiony. „Pan zna przecież tego obłąkanego żydowskiego żebraka, Haszyla? Nie? A więc: ten Haszyl to był Golem.“ Żebrak — Golem? „Tak, Haszyl był to Golem. Dziś po południu, najspokojniej w świecie, w najpiękniejszym blasku słońca, widmo w swoim osławionym staromodnym ubraniu z XVII wieku, spacerowało przez Saletrzaną ulicę i wtedy psią pętlą uchwycił go czyściciel miejski.

„Co to ma znaczyć? Nie rozumiem ani słowa“ — uniosłem się.

„Przecież mówię panu: to był Haszyl! Słyszałem, że już od dawnego czasu znalazł to ubranie w bramie jakiegoś domu, — Zresztą, aby powrócić do białego domu na Małej Stronie rzecz jest nadzwyczaj ciekawa. Mianowicie mówi stare podanie, że tam na górze, w ulicy Alchemików stoi dom, który jest widocznym tylko podczas mgły i tylko „urodzonym w czepku.“ Nazywają to „Mur przy ostatniej latarni.“ Kto wejdzie tam w dzień, widzi tylko duży, szary kamień, — po za nim grunt schodzi spadzisto w przepaść do Jeleniego Jaru, i może pan być szczęśliwy, że nie zrobił pan ani jednego kroku dalej: byłby pan niechybnie zleciał na dół i połamał sobie wszystkie kości. Mówią, że pod kamieniem leży olbrzymi skarb, a ukryć go tam miał zakon „Braci Azjatyckich“, którzy podobno założyli Pragę; jest to rzekomo kamień węgielny pod dom, który kiedyś, gdy się wypełni czas, będzie zamieszkały przez człowieka — jeszcze lepiej przez Hermafrodytę — istotę, która powstanie z połączenia mężczyzny i kobiety. W herbie nosić on będzie obraz zająca, a mówiąc nawiasem, zając był symbolem Ozyrysa, i stąd pochodzi zwyczaj zający wielkanocnych. Mówią, że aż do chwili wyroczej Matuzal we własnej osobie czuwa na tem miejscu, żeby szatan nie dostał się do kamienia i nie spłodził z nim syna: tak zwanego Armelosa. — Nigdy pan nie słyszał o tym Armelosie? Nawet wiadomo, jak on będzie wyglądał, — to znaczy, wiedzą o tem starzy rabini, — gdy przyjdzie na świat: będzie miał włosy złote, w tyle związane w warkocz, z przodu na pół głowy rozczesane, oczy w kształcie sierpa i ramiona w dół aż od stóp.

„Tego szanownego człowieczka trzebaby narysować,“ mruknął Vrieslander i zaczął szukać ołówka.

„Więc: Pernat, jeśli pan będzie miał kiedy szczęście zostać hermafrodytą i en passant znaleźć zakopany skarb, zakończył Prokop, — „wtedy nie zapomnij pan, że należałem do twoich najlepszych przyjaciół.“

Nie miałem ochoty do żartów i uczułem lekki ból w sercu. Zwak widocznie

to zauważył, choć nie znał przyczyny, gdyż przyszedł mi prędko z pomocą:

„Swoją drogą, jest to nadzwyczaj dziwne, prawie nie do wiary, że Pernat miał widzenie właśnie w miejscu, które jest tak ściśle związane z prastarą legendą. To są związki, od których splotu pozornie człowiek uwolnić się nie może, jeżeli dusza jego posiada zdolność widzenia formy, choć zmysł dotyku jej nie spostrzega. — Nie mogę sobie z tem dać rady: nadmysłowość, to rzecz najbardziej podniecająca. Jak sądzicie?

Vrieslander i Prokop spoważnieli i każdy z nich uważał odpowiedź za zbyteczną.

„Co pani sądzi, Eulaljo? powtórzył odwróciwszy się Zwak, — „czy nadmysłowość nie jest rzeczą najbardziej podniecającą?“

Stara kelnerka podrapała się drutem po głowie, zaczerwieniła się i powiedziała: „Ale idźże pan sobie, pan jest dla mnie najgorszy ze wszystkich!

„Wciekle naprężone było dziś cały dzień powietrze, — zaczął Vrieslander, gdy nasza wesołość ucichła — nie namalowałem pędzlem ani jednej kreski. Nieustannie musiałem myśleć o Rozynie, jak ta nago we fraku tańcowała.

„Czy znów się odnalazła?“ zapytałem.

„Odnalazła? to słabo powiedziane. Policja obyczajów zaprosiła ją przecież na dłuższe engagement! Może wtedy u „Loisiczka“ wpadła w oko panu komisarzowi? W każdym razie policja teraz jest gorączkowo sprawna; istotnie przyczynia się do podniesienia ruchu obcych w żydowskim mieście. Zupełnie zepsutym zdierem stała się zresztą w krótkim czasie ta dziewczucha.

„Jeżeli pomyślisz, co może zrobić kobieta z mężczyzny tylko przez to, że wywołuje w nim miłość ku sobie: to zdumiewające!“ — dorzucił Zwak. Żeby wydobyć pieniądze, móc iść do niej, biedny chłopak Jaromir, stał się przez noc artystą. Chodzi po gospodach i wycina sylwetki dla gości, którzy pozwalają się portretować w ten sposób.“

Prokop, który dosłyszał tylko koniec, cmoknął ustami. Rzeczywiście? Czy ona tak wyładniała ta Rozyna? — Czy skradłeś już jej całusa, Vrieslander?

Kelnerka natychmiast podniosła się i obrażona porzuciła izbę.

„Kura do rosołu! Tej rzeczywiście to potrzebne: ataki cnoty! Ba!, — mrucał za nią rozgniewany Prokop.“

„Cóż pan chce, ona przecież odeszła w miejscu niewłaściwym. A oprócz tego pończocha była właśnie gotowa“ — uspokajał Zwak.

Gospodarz przyniósł nowy dzban grogu i rozmowa zaczęła przybierać charakter gorący, parny. Tak parny, — że weszła mi krew przy moim nastroju gorączkowym. Opierałem się temu, ale im bardziej wewnątrz się odsuwałem i myślałem o Angelinie: tym więcej huczało mi w uszach. Dość niezręcznie pożegnałem się. Mgła stała się bardziej przejrzysta, sypała na mnie swemi lodowemi igłami, ale była jeszcze tak gęstą, że nie mogłem przeczytać nazwy ulic i zboczyłem nieco z drogi do domu. Dostałem się w inną ulicę i właśnie chciałem skrócić, gdy usłyszałem głos, wołający moje nazwisko: „Panie Pernat! panie Pernat!“ Obejrzałem się dokoła, do góry: Nikogo. Otwarta brama, nad nią dyskretna mała nerwowa latarnia kołysała się koło mnie, i zdawało mi się, że jakaś jasna postać — stała, głęboko w podwórzu. Znów: „Panie Pernat! panie Pernat! Szeptem. Zdumiony wszedłem w korytarz; — wtedy koło mej szyi owinęły się ciepłe, kobiece ramiona i w promieniu światła, które wypływało z wolno otwierających się drzwi poznałem, że to była Rozyna, która gorąco się do mnie tuliła.

P O D S T Ę P .

Szary, ślepy dzień. Spałem do późnej godziny, bez snów, nieprzytomnie, jak martwy. Zimny popiół leżał w piecu. Kurz na meblach. Podłoga niezamieciona. Zmarznięty chodziłem po pokoju. Wstrętny zapach wystygłych węgli leżał w powietrzu. Mój płaszcz, moje ubranie czuć było dymem tytuniowym. Otworzyłem okno, znów je zamknąłem; — zimny brudny wyziew ulicy był nie do zniesienia. Wróble o zmokłym upierzeniu siedziały nieruchomo na rynnach. Gdzie spojrzałem, złowroga niechęć. Wszystko we mnie było podarte, poszarpane. Poduszka na fotelu — jakże była zniszczona! Włosie wydobywało się z krawędzi! Trzeba ją posłać do tapicera, — ale niech tak zostanie — jeszcze jedno samotne ludzkie życie, aż się wszystko z hałasem rozpadnie! A tam jakie nie gustowne, bezcelowe graty, te łachmany przy oknach. Dlaczego nie postaram się o sznur nie powieszę się na nim?

Wtedy przynajmniej nie widziałbym nigdy tych obrażających wzrok rzeczy, i całe szare marne narzekanie przejdzie — raz na zawsze. Tak! To byłoby najmądrzejsze! Skończyć! Jeszcze dzisiaj. Jeszcze teraz — przed południem. Nigdzie nie wychodzić — zjeść cobądz. Obrzydliwa myśl: zejść ze świata z pełnym żołądkiem! Leżeć w mokrej ziemi i mieć w sobie niestrawione gnijące jedzenie. Żeby tylko nigdy słońce nie świeciło i nie rzucało swojego bezczelnego kłamstwa o szczęściu istnienia! Nie, nie dam się więcej ogłupiać, nie chcę być piłką do zabawy niezręcznego, bezcelowego przypadku, który mnie podnosi, a potem znów spycha w kałużę, żebym dzięki temu przekonał się, jak przemijają wszystkie rzeczy ziemskie; chociaż o tem już dawno wiem, o czem każde dziecko wie, każdy pies na ulicy wie. Biedna, biedna Mirjam! Gdybym jej mógł przynajmniej pomóc. Należy powziąć postanowienie, zanim przekłety pociąg do życia znów się we mnie obudzić może i nęcić zacnie nowemi złudami.

I cóż mi przyszło z tego wszystkiego: z owych wieści z królestwa nadrzeczywistości?

Nic — zupełnie nic.

Tyle tylko być może, żem obłąkał się w tem kole i ziemię odczuwałem jako niesłychane cierpienie.

I było jeszcze coś.

Obliczałem w myśli, ile miałem pieniędzy złożonych w banku.

Tak, to prawda. To była jedyna, choć licha rzecz, która wśród moich błahych działań na ziemi jeszcze miała jakiegokolwiek znaczenie.

Wszystko com posiadał — oraz trochę drogich kamieni, które były w mojem biurku — związać w jeden pakiet, i posłać Mirjam. Na kilka lat przynajmniej wyzwoli ją to od trosk życia codziennego. A także — napisać list do Hillela, aby

mu wytłumaczyć, jak to stała sprawa z „cudami.“

Tylko on mógł jej dopomóc.

Przeczuwałem; on znajdzie dla niej radę. — Pozbierałem kamienie, złożyłem je w woreczku, spojrzałem na zegarek: gdybym teraz poszedł do banku — w godzinę mógłbym całą sprawę doprowadzić do porządku.

I przytem jeszcze bukiet czerwonych róż kupić dla Angeliny! krzyczało coś we mnie z dziką tęsknotą.

O, jeszcze jeden dzień żyć tylko, jedyny dzień!

Jakto — i znowu zapaść się w to samo dręczące zwątpienie?

Nie, nie czekać ani chwili dłużej. Jakieś uspokojenie zapanowało we mnie, zem się nie poddał żadnym nowym pokusom.

Spojrzałem do koła. Co jeszcze miałem do zrobienia?

Prawda: pilnik! Schowałem go do kieszeni — chciałem go rzucić gdzieś na ulicy, jak to sobie świeżo postanowiłem.

Nienawidziłem tego pilnika. Nie wiele brakło, a stałbym się przez niego mordercą.

Któż to znowu mi przeszkadza?

To był tandeciarz.

„Tylko na chwile, panie Pernat — prosił bez ceremonji, gdym mu powiedział, że nie mam czasu. Tylko na małą chwileczkę. Tylko parę słów.

Pot lał mu się z twarzy — a dreszcz przenikał go ze wzburzenia.

„Czy można tu z panem mówić bez przeszkody, panie v. Pernat? Nie chciałbym żeby ten — ten Hillel znów tu powrócił. Niech pan lepiej zamknie drzwi, albo idźmy do drugiego pokoju“ — i pociągnął mnie tam w swój zwykły, gwałtowny sposób za sobą.

Potem obejrzał się ostrożnie kilka razy dokoła i szepnął nieco raźniej:

„Rozważyłem sobie, wie pan, — to wszystko na nowo. Tak jest lepiej. Nic z tego nie będzie. Dobrze! Co przeszło to przeszło.“

Staralem się czytać w jego oczach. — Wytrzymał mój wzrok, ale ręką mocno się oparł o poręcz krzesła, takiego to wymagało napięcia.

„Bardzo mnie to cieszy“ — rzekłem w sposób możliwie najżyczliwszy — życie jest i tak bardzo przykre — i nie trzeba go sobie zatruwać nienawiścią.

„Naprawdę — pan mówi, jakby czytał z drukowanego!“ — rzekł, z odetchnieniem, zaczął czegoś szukać w kieszeni od spodni i znów wyjął złoty zegarek z pogiętą pokrywą — aby zaś pau widział, że ja to myślę szczerze, musi pan ten drobiazg przyjąć odemnie. Jako prezent.

„Co też panu do głowy przychodzi? — odparłem — przecie pan nie

uwierzy,“ nagle przypomniałem sobie, co mi o nim mówiła Mirjam i, aby go nie urazić, wyciągnąłem rękę.

Nie zwracał na to uwagi, zbladł niespodziewanie jak ściana, nasłuchiwał i zarzęzał:

— Tak, tak! Wiedziałem o tem. Znowu Hillel. Puka.

Usłyszałem pukanie, wszedłem do drugiego pokoju i, aby go uspokoić, zamknąłem drzwi pośrednie za sobą.

Tymczasem nie był to Hillel. Wszedł Charousek; chcąc mi dać poznać, że wie, kto u mnie jest tuż obok — położył palec na ustach — i zaraz potem, nie czekając co powiem, zasypał mię całym potokiem słów:

„O, najczcigodniejszy, najdroższy mój mistrzu Pernat, jakież słowa mam znaleźć, by ci wyrazić swą radość, że cię znajduję w domu, żeś sam — i żeś zdrów!...

Gadał jak aktor, a jego napuszona i nienaturalna mowa była w tak ostrem przeciwieństwie z jego wykrzywioną twarzą, że opanowała mnie głęboka trwoga.

„Nigdybym nie ośmielił się, mistrzu, przyjść do ciebie w łachmanach, w jakich nieraz mnie widział mistrz na ulicy, co mówię: widział! Toż nieraz mi pan życzliwie podawał rękę pomocną.

Ze dziś wchodzę do pana w białym krawacie i nowem ubraniu — wie pan, komu to zawdzięczam? Jednemu z najszlachetniejszych — i niestety — ach — najbardziej zapoznanych ludzi naszego miasta. Wzruszenie mnie ogarnia, gdy o nim pomyślę.

Przy skromnych bądź co bądź swoich środkach ma on zawsze dłoń otwartą dla biednych i potrzebujących. Oddawna, gdym widział jak smutny stoi przed sklepem, w głębi serca wołało mi coś, abym do niego podszedł i milcząc rękę mu uścisnął.

Przed paru dniami, gdym przechodził ulicą, przywołał mię do siebie, ofiarował mi pieniądze i tak umożliwił mi kupienie kostjumu na raty.

A wiesz pan, panie Pernat, kto był moim dobroczyńcą?

Z dumą to mówię, bo od dawna byłem jedyny, co przeczuwał, jak złote serce uderza w jego łonie — to był pan Aron Wassertrum! Zrozumiałem naturalnie, że Charousek uplanował sobie jakąś komedję z tandeciarzem, choć nie mogłem zrozumieć, do jakiego to dąży celu; niewskazaną bądź jak bądź wydawało mi się rzeczą nieufnego Wassertruma trzymać w półmroku. Charousek odgadł oczywiście z mej miny, co myślę; szyderczo kiwnął głową, i w najbliższych słowach zapewne chciał mi powiedzieć, że dobrze zna swego człowieka i wie, ile ten może wytrzymać.

„Tak jest! Pan — Aron — Wassertrum! Serce mi niemal pęka z żalu, że mu sam powiedzieć nie mogę, jak mu jestem nieskończenie wdzięczny — i błagam

cię, mistrzu Pernat, nie zdradź mię przed nim nigdy, że ja tu byłem i że tu opowiadałem. — Wiem, że egoizm ludzki obudził w nim gorycz — i głęboką, nieuleczalną, lecz niestety prawowitą nieufność zasadził w jego piersi.

Jestem psychiatrą, ale moje poczucie mi powiada, że najlepiej będzie, jeżeli p. Wassertrum nigdy się nie dowie — nawet z moich ust — jak ja wysoko go oceniam. Byłoby to: wątpliwości zasiać w tem nieszczęśliwym sercu. A to niechaj będzie jaknajdalej odemnie. Lepiej niech mię sędzi za niewdzięcznego.

Mistrzu Pernat! Ja sam jestem nieszczęśliwy i od dzieciennych lat żyję samotny i opuszczony na tym szerokim świecie. Nie znam nawet nazwiska mego ojca. I mateczki swej nigdy oko w oko nie widziałem. Zapewne umarła przedwcześnie — „głos Charouska stał się dziwnie tajemniczy i przenikający“ — a była to jak w przeczuciu sędzę, jedna z tych głęboko nastrojonych natur duchowych, które nigdy nie są w stanie wyrazić, jak nieskończenie zdolne są kochać, a do których też należy p. Aron Wassertrum.

Mam wydartą stronicę z dziennika swojej matki — stale noszę tę kartę przy sobie — a na niej czytam wyznania: ojca mego, choć ten był podobno wielki brzydal, kochała

ona, jak nigdy na ziemi nie kochała człowieka kobieta śmiertelna.

Zdaje się jednak, że nigdy mu tego nie powiedziała. Być może na tej samej zasadzie, dla której np. ja panu Wass. nie mogłem nigdy powiedzieć — choć by mi serce pękało z tego powodu — jaką wdzięczność dla niego czuję.

Ale jeszcze jedno widoczne jest z tej karty — o ile mogę rzecz odgadnąć, gdyż słowa są od śladu łąz prawie nieczytelne: oto, że ojciec mój kimkolwiek on jest — niechaj pamięć o nim zaginie w niebie i na ziemi! — ohydnie musiał postępować z moją matką.

— Charousek nagle padł na kolana, aż podłoga jękała — i zakrzyczał głosem umyślnie tak osobliwym, że nie wiedział już, czy dalej gra komedję czy też dostał obłędu:

„Wszechmocny, którego imienia człowiek nie powinien wymawiać, tu na klęczkach leżę przed Tobą: przeklęty, przeklęty, przeklęty niechaj będzie mój ojciec na całą wieczność!

To ostatnie słowo prawie rozgryzł na dwoje i przez sekundę przysłuchiwał mu się, rozwarłszy oczy szeroko.

Wtedy syknął jak szatan. Zdawało mi się, że w sąsiedztwie Wassertrum lekko zajęczał.

„Przebacz, mistrzu — rzekł po chwili Charousek głosem mimicznie zdławionym — przebacz, że mię to opętało, ale jest to moja stała modlitwa, która oby Wszechmocny prędzej czy później wysłuchał: niechaj mój ojciec — ktokolwiek nim jest — kiedyś zakończy żywot w najokropniejszy sposób, jaki

można sobie wyobrazić.

Mimowoli chciałem coś odpowiedzieć, ale Charousek przerwał mi gwałtownie.

„Ale teraz, panie Pernat, przechodzę do prośby, którą panu chce przedstawić. Pan Wass. posiadał wychowańca, którego kochał nad wyraz — był to podobno jego siostrzeniec. Mówią nawet, że to był jego syn, ale ja w to nie wierzę, bo przecież nosił by przynajmniej to samo nazwisko; w rzeczywistości nazywał się Wassory, dr. Teodor Wassory.

Łzy mi płyną z oczu, gdy go w duszy widzę przed sobą. Byłem mu z całej duszy oddany, jakby łączył mię z nim bezpośredni związek miłości i pokrewieństwa“.

Charousek łkał, jakby ze wzruszenia nie był w stanie dalej mówić. „Ach, że ten szlachetny człowiek opuścić musiał nasz padół ziemski! — Ach, ach!

„Jaka była tego przyczyna — nigdy nie mogłem się dowiedzieć — sam sobie zadał śmierć. I ja byłem wśród tych, co zostali do pomocy wezwani — ach, za późno — za późno — za późno! I gdym samotny stał przy jego łożu śmiertelnem i gdym pocałunkami pokrywał jego zimną, bladą rękę, wtedy — czemuż nie mam tego wyznać, mistrzu Pernat? — wtedy popełniłem kradzież — wziąłem różę z piersi trupa i przywłaszczyłem sobie razem flaszeczkę, której zawartością nieszczęsny przyspieszył koniec swego, kwitnącego życia.

Charousek wyciągnął flaszeczkę apteczną z kieszeni i mówił dalej:

„Obie rzeczy — składam — tu — na — pańskim stole: powiędlą różę i flaszeczkę; były mi one pamiątką po zaginionym przyjacielu.

Jakże często w godzinach wewnętrznego załamania, gdy osamotnione moje serce, przepełnione tęsknotą po mej umarłej matce, pożądało śmierci, bawiłem się tym flakonem — i sprawiało mi to, bolesną pociechą — czynić takie próby: dość mi było tylko płyn rozlać na chustkę i wdychać go — a bezboleśnie unosiłem się duchem na równinę, gdzie mój drogi dobry Teodor odpoczywa po mękach naszej doliny łez.

A teraz proszę cię, szanowny mistrzu, i po to właśnie przyszedłem — weź pan obie te rzeczy i wręcz je panu Wassertrumowi.

„Niech pan powie, żeś to otrzymał od kogoś, co był blizki d-rowi Wassoryemu; imienia jego jednak przysięgłeś nigdy nie wymieniać, chyba przed kobietą. — Uwierzy a rzecz ta będzie dla niego pamiątką, jak była dla mnie drogą pamiątką. Będzie to potajemny znak wdzięczności, jaki mu składam. Jestem ubogi; to wszystko co posiadam ale raduje mię, gdy wiem, że teraz jedno i drugie będzie należało do niego — a przecie on nigdy się nie domyśli, że to dar odemnie. Jest w tem dla mnie coś niewymownie słodkiego. A teraz bądź pan zdrów, szanowny mistrzu, i z góry tysiąc podziękowań racz przyjąć.“

Mocno pochwycił mnie za rękę, nachylił się i szeptał coś tak po cichu, że m

nic nie mógł wyrozumieć.

„Panie Charousek, proszę poczekać, odprowadzę pana kawałek“ — mówiłem mechanicznie, jakby powtarzając słowa, które wyczytałem z jego ust — i wyszedłem z nim na schody.

Na ciemnym przejściu schodów na pierwszym piętrze — zatrzymaliśmy się — i chciałem się z Charouskiem pożegnać.

„Zaczynam się domyślać, jaki był cel pańskiej komedji. Pan — pan chciał, żeby Wassertrum się tą flaszką otruć“. Powiedziałem mu to w oczy.

„Oczywiście — rzekł Charousek najspokojniej.

„I pan sądzi, że ja do tego przyłożę swoją rękę..

„Wcale to nie potrzebne.

„Ale mówił pan, że ja muszę Wassertrumowi flaszkę oddać.

Charousek wstrząsnął głową.

„Gdy pan teraz wróci, to zobaczysz, że on ją natychmiast weźmie i schowa.

„Jak pan to może przypuszczać? pytałem zdumiony. Człowiek jak Wassertrum nigdy się nie zabije — zbyt tchórzliwy jest po temu — nigdy nie czyni nic pod gwałtownym impulsem.

„Nie zna pan wkradliwego zatrucia sugestji — przerwał poważnie Charousek. Gdybym mówił zwykłym codziennym sposobem — nie wywarłbym żadnego wrażenia. Ale ja tu obliczyłem najmniejszy spadek tonu. Tylko obrzydliwy patos działa na takie psie nogi. Niech pan mi wierzy. Mógłbym panu najdokładniej odrysować wszystką grę jego twarzy przy każdym moim słowie. Żaden kicz, jak to mówią malarze, nie jest dość nikczemny, by nie wywołać łez aż do szpiku w okłamanej tłuszczu — takiemu trafia to do serca. Czy pan sądzi, że gdyby było inaczej, to oddawna nie zniszczono by ogniem i mieczem wszystkich teatrów? Z sentymentalizmu poznaje się kanalję! Tysiące biedaków może zdychać z głodu, a nikt dla tego płakać nie będzie, ale gdy jaki historyon na scenie przebrany za chłopca łachmaniarza wywraca oczy — wtedy widzę gromadą wyją jak psy podwórzowe. — Choćby papa Wassertrum do jutra może zapomniał, ile go jęków serdecznych kosztowały moje słowa: to jednak każde z nich znowu w nim odżyje, gdy godziny dojrzeją, w których on sam sobie wyda się niezmiernie godnym pożałowania. — W takich chwilach wielkiego Miserere dość najmniejszej pobudki — a najtchórzliwsze nawet łapsko sięgnie po truciznę. Byle tylko była pod ręką! Teodorek pewno by też nie chapnął tych kropelek, gdybym mu z wszelką wygodą nie podsunął flaszeczki.

„Charousek — jesteś straszliwy człowiek — Czyż nie czujesz żalu?

Szybko zamknął mi usta — i pociągnął mię w niszę muru.

„Cicho. To on.

Chwiejnym krokiem — opierając się o ścianę — Wassertrum schodził po schodach — i przekołysał się koło nas.

Charousek potrząsnął mi ulotnie rękę i wyslizgnął się za nim.

Gdym powrócił do pokoju, ujrzałem, że róża i flaszka zniknęły — a na ich miejscu leżał na stole złoty pogięty zegarek tandeciarza.

Ośm dni musiałem czekać, zanim wydadzą mi pieniądze; taki jest termin wypowiedzenia: tak mi powiedziano w banku.

Trzeba sprowadzić dyrektora, gdyż bardzo mi spieszno i za godzinę chciałem odjechać: użyłem takiego wyrażenia w odpowiedzi.

Nie ma on tu nic do rzeczy — i obyczajów banku żadną miarą zmienić nie może, a jakiś błazen w monoklu, który wraz ze mną zjawił się przy okienku — zaśmiał się głośno z moich słów.

Ośm ponurych, strasznych dni czekać mam jeszcze na śmierć! Był to dla mnie okres czasu nieskończony.

Byłem tak przygnębiony, że straciłem świadomość, jak już długo, przed drzwiami jakiejś kawiarni, chodziłem w tę i w tamtą stronę.

Wkońcu wszedłem poprostu, aby się uwolnić od wstrętnego błazna w monoklu; ten poszedł z banku moim śladem i ciągle był w pobliżu mojej osoby, a gdym tylko się odwrócił, zaraz patrzył na ziemię, jakby zgubił coś na ulicy. —

Miał na sobie jasno popielaty kratkowany za ciasny paltot i czarne świecące jakby od tłuszczu spodnie, które mu wisały na nogach jak worki. Na lewym trzewiku miał wystębnowaną jajowatą sklepioną łatkę skórzaną, co wyglądało tak, jakby nosił pierścień na wielkim palcu u nogi.

Zaledwem usiadł — wszedł i on i umieścił się przy stoliku tuż obok. Sądziłem, że chce mnie „naciągnąć“ na pieniądze i już szukałem portmonetki, gdy na jego nabrzmiątych rzeźnickich palcach zauważyłem duży brylant.

Godziny całe siedziałem w kawiarni — i z wewnętrznego zdenerwowania sądziłem, że oszaleję — ale dokąd pójdę? — Do domu? Może włączyć się po ulicach? Jedno zdawało mi się okropniejsze niż drugie.

Pełne zaduchu powietrze. Wieczny, bezmyślny huk bilardowych kul. Suche, nieustające mamrotanie jakiegoś tygrysa gazet w moim sąsiedztwie. Urzędnik z akcyzy o bocianich nogach, który na zmianę już to dłubał w nosie, już to żółtymi od cygaretek palcami gładził sobie brodę przed kieszonkowym lusterkiem. Aksamitne brunatne kurtki zapoconych, obmierzłych, klekocących włochów, którzy siedzieli przy stole i kłótliwie grali w karty, od szwargotu przy swoich kozerach przechodząc do pięści, a przytem nieustannie pluli na podłogę.

Cała ta ohyda krew mi z żył wysysała. Zwolna pociemniało i płasko-stopy kelner o wiotkich kolanach zaczął drągiem sięgać ku świecznikom gazowym, aby się w końcu — głową kiwając, przekonać, że gaz się palić nie chce.

Ile razy odwracałem oczy, zawsze napotykałem zezowate wilcze spojrzenie błazna w monoklu, który się każdym razem szybko ukrywał za gazetą, albo swą brudną brodę pogrążał w dawno wypitej filiżance kawy.

Sztywny okrągły swój kapelusz nacisnął na głowę — tak, że mu uszy odstawały poziomo, ale najwidoczniej nie miał zamiaru przerwać tej zabawy. Nie mogłem tego dłużej wytrzymać. Zapłaciłem i wyszedłem. Gdym chciał za sobą zamknąć szklane drzwi, ktoś mi wyjął klamkę z ręki. — Odwróciłem się. Znow ten drab. Gniewnie chciałem skrócić na lewo w kierunku miasta żydowskiego, ale wnet ruszył on w moją stronę i przeszkodził mi w tym zamiarze.

„Ależ to nie do wytrzymania“ zawołałem.

„Wszystko podług prawa — rzekł mi krótko.

„Co to ma znaczyć?

Utkwił we mnie oko i rzekł:

„Jesteś Pernat?

„Chcesz powiedzieć: pan Pernat!

Zaśmiał się chytrze.

„Żaden pan! Idziesz ze mną.

„Czyś oszalał? Coś ty za jeden?

Nic mi nie odpowiedział, rozpiął palto i pokazał mi blaszanego orła, który miał pod płaszczem, przybity na piersiach.

Zrozumiałem: drab był z policji tajnej — i aresztował mnie.

„Powiedz że mi pan na miłość boską — o co chodzi?

„Wkrótce się dowiesz. Do departamentu — mówił grubijańsko. Dalej, marsz!

Powiedziałem mu, że chciałbym wziąć dorożkę.

„Ani myśleć! “

Poszliśmy na policję.

Żandarm zaprowadził mię przed jakieś d rzwi

ALOIZY
OCZIN
Radca policyjny

przeczytałem na porcelanowej tabliczce.

„Możecie wejść“ — powiedział żandarm.

Dwa zasmolone czarne biurka z wysoką na metr nasadą stały naprzeciw siebie. — Para wyświechtanych krzesel między nimi. Portret cesarza na ścianie. — Szklana kula ze złotymi rybkami na oknie. — Pozatem w izbie nic więcej.

Bryłowate nogi i grube filcowe trzewiki u dołu frendzlowatych szarych spodni — za lewym stołem.

Posłyszałem jakieś chrzęsty. Ktoś mruknął parę słów po czesku — i wnet wydobyła się głowa pana radcy policyjnego z poza prawego stołu.

Był to mały człowieczek ze szpakowatą ostrą bródką. Zanim zaczynał mówić, w szczególny sposób wyszczerzał zęby, jak ktoś, co spogląda w jarzące światło słoneczne.

Przytem wychytrzał wzrok z poza okular, co mu nadawało wyraz budzącej przestrah nikiżemności.

„Nazywacie się Atanazy Pernat — spojrzal na ćwiartkę papieru, na którym nic nie było — i jesteście wycinaczem kamej.“

Natychmiast ożywił się człowiek o bryłowatych nogach przy drugim stole; odwrócił się na kręconej nodze swego krzesła — i słyszałem skrzypienie pióra.

Potwierdziłem: Pernat. Wycinacz kamej.

„No, więc trafiliśmy dobrze, pan Pernat właśnie Pernat. Właśnie — właśnie.“

Pan radca policyjny był w stosunku do mnie niesłychanie uprzejmy, jak gdyby otrzymał ze świata najradośniejszą wiadomość, wyciągnął w moją stronę obie ręce — i w śmieszny sposób chciał sobie nadać minę dobrodusznego pocziwca.

„Zatem, panie Pernat, zechciej mi powiedzieć, co pan tak robi przez cały dzień?“

„Sądzę, że to nie jest pańska sprawa, panie Oczi“ — odpowiedziałem zimno.

Zmrużył oczy, chwilę czekał i z błyskawiczną szybkością mnie zapytał:

„Od jak dawno hrabina jest w stosunkach z Saviolim?“

Byłem na coś podobnego przygotowany — i nie drgnęły mi rzęsy.

Zręcznie chciał mnie za pomocą krzyżowych pytań zawikłać w sprzeczności, ale, choć mi serce od zgrozy pękało w piersi, nie zdradziłem się — i wciąż twierdziłem, że nigdy nie słyszał nazwiska Savioli, z Angeliną byłem zaprzyjaźniony jeszcze za życia mego ojca — i że ona nieraz zamawiała u mnie gemmy i kamee.

Czułem jednak dobrze, że radca policyjny domyślał się, jak go okłamuję — i wewnątrznie pieni się z wściekłości, że nic ze mnie wydobyć nie może.

Chwilę rozmyślał, potem pociągnął mnie za palto, ostrzegawczo wskazał palcem na lewy stół i szepnął mi do ucha:

„Atanazy! Twój nieboszczyk ojciec był moim najlepszym przyjacielem. Chcę cię ocalić, Atanazy. Ale musisz mi powiedzieć wszystko o hrabinie. — Słyszysz: wszystko!“

Nie rozumiałem, co to miało znaczyć.

„Co pan chce przez to powiedzieć, że pan chce mię ocalić — zapytałem głośno.

Bryłowata noga gniewnie tupnęła w podłogę. Radca policyjny z nienawiści zszarzał na

obliczu. Wargi podniósł do góry. Czekał. Wiedziałem, że wnet na nowo atak rozpocznie — (jego system oszalańczenia przypominał mi Wassertruma) i również czekałem. Koźła twarz posiadacza bryłowatej nogi, jak przyczajona wynurzyła się z pod pulpitu wówczas radca policyjny wykrzyknął mi nagle przeraźliwym głosem:

„Morderca!“

Stałem niemy z oszołomienia.

Koźła twarz ponuro znów się wcisnęła pod pulpit.

I pan radca policyjny spojrzał na mnie; zastanawiał go mój spokój, starał się jednak pokryć to wrażenie, gdyż przyciągnął krzesło i kazał mi na niem usiąść.

„A więc odmawia mi pan wszelkich pożądaných informacji o hrabinie, panie Pernat?“

„Nie mogę ich panu udzielić, panie radco policyjny, przynajmniej nie w tym sensie, w jakim pan oczekuje. Po pierwsze nie znam nikogo nazwiskiem Savioli, a następnie jestem mocno przekonany, że to potwarz, gdy mówią, jakoby hrabina zdradzała męża.“

„Czy pan gotów jest przysiąc?“

Zaparło mi oddech. „Tak, każdej chwili.“

„Dobrze. Hm.“

Zapanowała dłuższa przerwa, podczas której radca policyjny zdawał się coś z wysiłkiem kombinować.

Gdy znów spojrzał na mnie, komedjanckie rozzalenie ułożyło mu się na gębie. Mimowoli przypomniał mi się Charousek, gdy pan radca naraz zaczął od łez wzruszonym głosem:

„Mnie może pan to przecie powiedzieć, Atanazy, — mnie, staremu przyjacielowi twego ojca — mnie, com pana nosił na ręku“ — ledwie mogłem powstrzymać się od śmiechu, był co najwyżej o dziesięć lat starszy odemnie — „nieprawdaż, Atanazy, to była obrona konieczna?“

Koźła twarz ukazała się znowu.

„Co za obrona konieczna? zapytałem, nic nie rozumiejąc.“

„No — z tym — tym Zottmanem! krzyknął mi radca policyjny w twarz jakieś nazwisko.“

Słowo to uderzyło mnie, jak cios zadany sztyletem: Zottman! Zottman! Zegarek! Nazwisko Zottman jest przecie wyrzyte w zegarku.

Czułem, jak cała krew spływa mi się w sercu. Przeraźliwy Wassertrum oddał mi zegarek, aby podejrzenie morderstwa rzucić na mnie.

W tej chwili radca policyjny zrzucił maskę: wyszczerzył zęby i wykręcał oczy.

„A więc przyznaje się pan do morderstwa, panie Pernat?“

„To wszystko jest omyłka, straszliwa omyłka! Na miłość boską wysłuchaj

mię pan. Mogę to panu wyjaśnić, panie radco policyjny“ — krzyknąłem.

„Udzielili mi pan teraz wszelkich wiadomości, dotyczących hrabiny?“ — przerwał gwałtownie. Zwracam uwagę pańską, że tym sposobem poprawi pan swoje położenie.

„Nie mogę mówić nic więcej, niż to com powiedział. Hrabina jest niewinna.

Zagryzł wargi i zwrócił się w stronę koźlej twarzy.

„A więc pisz pan: Pernat przyznaje się do zabójstwa Karola Zottmana, urzędnika z Tow. Ubezpieczeń.

Opanowała mnie wściekłość nieprzytomna.

„Ty kanaljo policyjna! ryknąłem, do czegoż to się ośmielasz?

Szukałem jakiegoś ciężkiego przedmiotu.

W mgnieniu oka chwycili mnie dwaj policjanci i nałożyli kajdanki na ręce.

Radca nadał się teraz, jak kogut na gnojowisku.

„A ten zegarek? — raptem pokazał się w jego ręku pogięty zegarek — czy nieszczęśliwy Zottman jeszcze żył, gdy go pan ograbił czy nie?

Znów odzyskałem spokój — i czystym głosem dodałem do protokołu.

„Zegarek ofiarował mi dziś przed południem tandeciarz Aron Wassertrum.

Wybuchły śmiechy, niby rzenie koni, i widziałem, jak bryłowata noga i filcowy trzewik razem zatańczyły radośnie pod stołem.

M E K A .

W kajdanach na rękę, mając za sobą żandarma z nastawionym bagnetem — musiałem iść przez ulice, oświetlone wieczorowo.

Ulicznicy tłumem biegli za mną, wrzawą czyniąc na prawo i na lewo, kobiety otwierały okna, groziły warząchwiami z góry i rzucały mi w oczy obelgi.

Z daleka już widziałem masywny kamienny budynek sądowy; nad bramą był napis, który stawał się coraz bliższy.

*Karząca sprawiedliwość
jest obroną wszystkich zacnych ludzi.*

W końcu pochłonęła mię olbrzymia brama — i wielki przedpokój, w którym cuchnęło kuchnią.

Człowiek wielkobrody, z szablą u boku, w mundurze urzędniczym i takiejże czapce, przytem boso, a na nogach mający długie do kostek, z dołu przewiązane, gacie — wstał, odstawił młynek do kawy który trzymał między kolanami — i kazał mi się rozebrać.

Wówczas zrewidował moje kieszenie, wyjął z nich wszystko, co w nich znalazł — i zapytał mię, czy — niemam pluskiew?

Gdym zaprzeczył, ściągnął mi z palców pierścionki, powiedział, że dobrze — i że mogę się ubrać z powrotem. Prowadzono mię przez rozmaite piętra do góry oraz przez kurytarze, gdzie stały w niszach okiennych odosobnione wielkie szare zamykalne skrzynie.

Nieprzerwanym szeregiem ciągnęły się wzdłuż ścian żelazne drzwi z drągami ryglowemi; małe zakratowane okienka, a nad każdym płomień gazowy.

Olbrzymi, po żołniersku wyglądający dozorca więzienny — pierwsza uczciwa twarz od wielu godzin — otworzył jedno z drzwi, popchnął mnie do ciemnego, podobnego do szafki, zapowietrzonego, cuchnącego otworu — i zamknął je za mną.

Stałem w zupełnej ciemności i macałem ją powoli. Kolano moje trafiło na blaszany kubeł. Nakoniec się połapałem: miejsce było tak wązkie, że ledwo się mogłem obrócić. Ruch klamki — i oto jestem w celi więziennej. Po dwie pary prycz z siennikami przy ścianach. Pomiedzy niemi przejście na szerokość jednego kroku.

Zakratowane okno, wielkości metra kwadratowego — wysoko na ścianie poprzecznej umieszczone, przepuszczało matowe światło nocnego nieba. Gorąco nie do wytrzymania, odorem starych łąchów zadzumione powietrze — zapełniało przestrzeń.

Gdy oczy moje przywykły do ciemności, spostrzegłem, że na trzech pryczach — czwarta była nie zajęta — siedzieli ludzie w szarych więziennych ubraniach; łokcie oparte mieli na kolanach, a głowy w rękach ukryte.

Żaden nie mówił słowa. Usiadłem na swobodnym łożku i czekałem.

Czekałem. Czekałem godzinę — dwie — trzy godziny.

Skoro na zewnątrz — jak mi się zdało — usłyszałem kroki, sądziłem, że oto teraz, teraz przychodzą po mnie, aby mię stawić przed komisją śledczą. Tym razem było to złudzenie. Kroki wciąż ginęły w kurytarzach.

Rozdarłem kołnierzyk; myślałem, że się uduszę.

Słyszałem, jak jeden więzień po drugim, przeciągał się, jęcząc.

„Czy nie można by tam wysoko okna otworzyć“ — zapytałem rozpacznie głośno w ciemność. Przestraszyłem się sam własnego głosu,

„Nie idzie“ — mrukliwie odpowiedziano z jednego z sienników.

Pomimo to zacząłem macać wzdłuż ściany: na wysokości piersi leżała, deska utwierdzona poprzecznie — — dwa dzbanki wody — — kawałki chleba — —

Z trudem wdrapałem się na górę — trzymałem się kratki i przyciskałem twarz do szczeliny okna, aby choć troszką świeżego powietrza odetchnąć.

Stałem tak póty, póki mi kolana nie omdlały. Jednobarwna, czarno-siwa mgła przed moimi oczami.

Zimne żelazne sztaby zapotniały. Była już niewątpliwie blisko północ. Poza sobą słyszałem chrapanie.

Jeden tylko więzień nie mógł widocznie spać: rzucał się na słomie na wszystkie strony i od czasu do czasu stękał półgłosem.

Czy na koniec zabłyśnie poranek? Tak! Zegar bije znowu. Liczyłem drżącymi ustami: raz, dwa, trzy! Chwała Bogu, już niewiele godzin, świt zapewne niedaleko! Biję dalej: cztery, pięć! — Pot mi wystąpił na czoło — sześć — siedm.

Była godzina jedenasta!

A więc tylko sześćdziesiąt minut ubiegło od czasu, gdy poraz ostatni słyszałem uderzenie zegara.

Bądź jak bądź myśli moje układały się logicznie.

Wassertrum podrzucił mi zegarek zaginionego Zottmana, aby na mnie skierować podejrzenie o morderstwo. A zatem sam musiał być zabójcą: jakim sposobem, oprócz tego, mógłby dojść do posiadania zegarka? Gdyby znalazł

gdzie bądź trupa i dopiero wtedy go ograbił, napewno by upomniał się o tysiąc marek nagrody, którą wyznaczono za znalezienie zwłok Zottmana. — Ale to było niepodobieństwo: plakaty wciąż były jeszcze porozklejane na rogach ulic, jak to wyraźnie widziałem w drodze do więzienia. Że tandeciarz musiał wskazać na mnie, to było oczywiste.

Również jasne, że Wassertrum z radcą policyjnym, przynajmniej w sprawie Angeliny — mieli jakieś konszachty. Inaczej jaki cel by miało podstępne szpiegowanie o Saviolego?

Z drugiej strony widocznym jest z tego, że Wassertrum nie miał jeszcze w ręku listów Angeliny.

Biedziłem się nad tem myślami.

Jak w błyskawicy — ze straszliwą wyrazistością — wszystko mi się nagle wyjaśniło, jak gdybym był sam przy tem obecny.

Tak; tylko w ten sposób mogło się to odbyć. Wassertrum zabrał sobie potajemnie moją żelazną kasetkę, w której domyślał się dowodów; gdy właśnie razem ze swoimi współnikami z policji robił rewizję w mojem mieszkaniu. Nie mógł jej natychmiast otworzyć, gdyż ja klucz zawsze nosiłem przy sobie i może teraz właśnie w swojej jaskini ją rozbija.

W szalonej rozpaczy zatargałem kratą żelazną i zobaczyłem Wassertruma w duchu przed sobą: gmera w listach Angeliny. Gdybym tylko mógł zawiadomić Charouska, żeby on przynajmniej w czas przestrzegł Saviolego.

Przez mgnienie oka uczepiłem się tej nadziei, że wiadomość o mojem aresztowaniu rozeszła się lotem błyskawicy po żydowskim mieście, ja zaś do Charouska miałem zaufanie, jak do jakiegoś anioła wybawcy. Przeciw jego piekielnej chytrości nic nie był w stanie uczynić Aron. „Będę go ściśle co do godziny trzymał za gardło wtedy, gdy on Saviolemu zechce sięść na karku“ — tak mi kiedyś powiedział Charousek.

W następnym momencie znów odrzuciłem wszystko i jakaś dzika obawa mnie ogarnęła: co będzie, gdy Charousek przyjdzie za późno?

Angelina wtedy byłaby zgubioną. Gryzę wargi aż do krwi, piersi sobie szarpie z żalu, że wtenczas natychmiastowo listów nie spaliłem.

Przysięgłem sobie, że w tej samej godzinie, w której znów się znajdę na wolności zgładzę ze świata Wassertruma. Czy umrę z własnej ręki czy też na szubienicy — i cóż mi na tem zależeć może?

Że sędzia śledczy uwierzy moim słowom, gdy mu opowiem w sposób istotny historję z zegarkiem i jak to mi Wassertrum groźby zapowiadał: — o tem nie wątpiłem ani chwili.

Napewno jutro już będę wolny; przynajmniej sąd aresztowałby i Wassertruma, jako podejrzanego o zabójstwo. Liczyłem godziny i modliłem się, żeby szybciej minęły; drętwiałem w ciężkich wyziewach.

Po niewymownie długim czasie zaczęło się na koniec rozwidniać — i najpierw była to ciemna plama, potem coraz wyraźniej wynurzała się ze mgły miedziana olbrzymia twarz: godzinnik starego zegara wieżowego. Ale brakło skazówek: nowa przykrość.

W końcu wybiła piąta.

Słyszałem, jak więźniowie się obudzili i, ziewając, prowadzili rozmowę po czesku. Jeden głos wydał mi się znajomy; obróciłem się, zeszedłem z pryczy na dół — i ujrzałem dziobatego Loisa na desce — wprost na przeciw mego łoża: zdumiony wytrzeszczył na mnie oczy. Dwaj pozostali byli to chłopcy o beczelnych twarzach, którzy spoglądali na mnie z lekceważeniem.

„Defraudant? Co? — spytał jeden pół głosem swego towarzysza, trącając go łokciem. Zapytany ze wzgardą cości odpowiedział, zaczął gmerać w swoim sienniku — wyjął jakiś czarny papier z jego wnętrza i położył go na podłodze.

Wówczas pokropił go trochę wodą z dzbanka, przejrzał się w nim niby w lustrze — i palcami rozczesał sobie włosy na czoło. Następnie ze staranną czułością wysuszył papier i z powrotem schował go pod prycze.

„Pan Pernat, pan Pernat — mrucał tym czasem bezustannie Lois, wybałuszywszy oczy jak ktoś, co zobaczył widmo.

„Państwo, jak widzę, znają się ze sobą — powiedział ten, który się jeszcze nie czesał a który to zauważył — mówił zaś pokręconym djatektem czeskiego wiedeńczyka i szyderczo oddał mi pół ukłon: „Pozwolą panowie, że się przedstawię. Nazywam się Vossatka. Czarny Vossatka, Podpalenie“ — dodał o jedną oktawę głębiej, z pewną dumą.

Uczesany zaś plunął przez zęby, popatrzył na mnie chwilę pogardliwie, wskazał na swe piersi i rzekł lakonicznie:

„Włamanie“.

Milczałem.

„No, a o co pan jest podejrzany, że się pan tu znalazł, panie hrabio? zapytał mnie wówczas wiedeńczyk.

Po chwili namysłu rzekłem spokojnie.

„Morderstwo dla rabunku“.

Obaj, rzekłbyś, stanęli odurzeni. Szyderczy wyraz twarzy zniknął — ustępując bezgranicznemu zachwytowi i poważaniu. Obaj niemal jednocześnie krzyknęli: „Reszpekt, reszpekt!“

Spostrzegłszy, że ja żadnej uwagi na nich nie zwracam, wcisnęli się w kąt z powrotem i szeptem rozmawiali ze sobą.

Raz tylko uczesany podszedł ku mnie, milcząc spróbował muskułów mego przedramienia — i kiwając głową, odszedł do swego przyjaciela. „Pan przecie też jest tutaj, jako podejrzany o zabójstwo Zottmana“ zapytałem Loisa niespodzianie. Kiwnął głową. „Już dawno.

Znów kilka godzin upłynęło.

Zamknąłem oczy i udawałem śpiącego.

„Panie Pernat, panie Pernat! usłyszałem nagle zupełnie cichy głos Loisa. Co? Zachowywałem się, jakbym dopiero zbudził się ze snu.

„Panie Pernat, proszę, niech mi pan przebaczy, proszę — proszę — czy pan nie wie, co porabia Rozyna? — Czy jest w domu?“ — jękał biedny chłopak. Było mi nad wyraz przykro, gdy ten rozplomionem okiem zawisł na moich ustach i ze wzruszenia spazmatycznie ścisnął ręce.

„Powodzi się jej wcale dobrze. Jest teraz kelnerką „Pod starym cebrem“ — kłamałem.

Widziałem, jak lżej odetchnął.

Dwaj więźniowie milcząc wnieśli na grubej desce gorący odwar kielbasy w blaszanych garnkach; trzy garnki postawili w celi. Po kilku godzinach znów zazgrzytały

rygle i dozorca zaprowadził mnie do sędziego śledczego.

Kolana mi drżały z oczekiwania, gdyśmy tak szli po schodach w dół i na górę.

„Czy pan sądzi, że możliwe jest, aby mnie jeszcze dziś wypuszczono na wolność?“ — z zapartym oddechem pytałem dozorcę.

Ten ze współczuciem, jak mi się zdawało, stłumił uśmiech.

„Hm! Dziś jeszcze? Hm. Boże! wszystko jest możliwe“.

Zimno lodowate przenikło mię do kości. Znowu czytałem na drzwiach porcelanową tabliczkę z nazwiskiem.

<p>KAROL BARON V. LEISETRETER Sędzia Śledczy</p>
--

Znów nieozdobny pokój i dwa biurka z wysokimi na metr pulpitemi.

Stary, rosły człowiek z białą, dwuskrzydłą brodą, w czarnym surducie, o czerwonych nabrzmiałych ustach, w skrzypiących butach.

„Pan jest Pernat?“

„Tak jest.“

„Cela N 70?“

„Tak jest.“

„Podejrzany o zabójstwo Zottmana?“

„Prawdopodobnie. Przynajmniej tak się domyślam. Ale...“

„Przyznaje się?

„Do czegoż mam się przyznać, panie sędzio śledczy? Przecież jestem niewinny.

„Przyznaje się?

„Nie.

„A więc zawieszam śledztwo co do pana. Dozorco więzienny, proszę wyprowadzić tego człowieka.

„Proszę, niech mię pan, jednak wysłucha, panie sędzio! Muszę bezwarunkowo dziś jeszcze być w domu. Mam ważne rzeczy do załatwienia “

Za drugim stołem ktoś zabeczał po baraniemu. Baron się uśmiechnął.

„Wyprowadźcie tego człowieka, dozorco! “

Mijał dzień za dniem, tydzień za tygodniem, a ja wciąż siedziałem w celi. —

O godzinie dwunastej musieliśmy codziennie schodzić na dół na dziedziniec więzienny, i w towarzystwie innych aresztantów i podejrzanych przechadzać się przez 40 minut w koło po wilgotnej ziemi.

Niewolno było rozmawiać ze sobą.

Pośrodku placu stało bezlistne, zamierające drzewo, w którego korze wrośnięty był owalny szklany posążek Matki Boskiej. Pod ścianą rosły nędzne krzewy ligustru o liściach prawie czarnych od padającej z kominów sadzy.

Wokół zakratowane okna cel, z których od czasu do czasu wyglądała kitowa twarz o wargach anemicznych.

Potem wracamy do grobu, w którym mieszkamy; do chleba, wody, odwaru kiełbasy, a w niedziele zgnięłej soczewicy.

Dopiero po długim czasie znów byłem wreszcie raz wezwany do przesłuchania:

„Czy mam świadków, że „pan“ Wassertrum jakoby ofiarował mi zegarek.

„Mam — pan Szemajah Hillel — to jest, właściwie — nie“ — (przypomniałem sobie, że go przytem nie było) „ale pan Charousek nie i jego przy tem nie było“.

„Krótco mówiąc, nie było przytem nikogo.

„Nie, nie było nikogo, panie sędzio.

Znów barani bek za drugim biurkiem — i znowu:

„Wyprowadzić tego człowieka, dozorco więzienny! “

Obawa o Angelinę osłabła we mnie do stanu głuchej rezygnacji. Moment, w którym o nią lękać się musiałem, minął. Albo plan zemsty Wassertruma powiódł się oddawna — albo Charousek go opanował: mówiłem sobie.

Ale troska o Mirjam doprowadzała mnie teraz prawie do szaleństwa.

Wyobrażałem sobie, jak ona z godziny na godzinę czekała, aby cud się odnowił — jak wczesnym rankiem, gdy piekarz przychodzi, wybiega na ulicę i drżącą ręką chleb przeszukuje. Być może z mego powodu umiera od trwogi.

Często mnie to w nocy wybijało ze snu — włożyłem na deskę przy ścianie; szczyrzyłem oczy w miedziane oblicze zegara wieżowego — i pożerało mnie pragnienie, aby moje myśli mogły przedostać się do Hillela — i krzyknąć mu w ucho: aby ratował Mirjam i wyzwolił ją od męki oczekiwania na cud.

Znów rzucałem się na siennik i powstrzymywałem oddech, aż mi pierś niemal rozsadała: pragnąłem wymusić w sobie obraz swego sobowtora, abym go mógł jej posłać jako pocieszyciela.

I raz ukazał mi się on koło mej pryczy z literami: Chabrat Zereh Aur Bocher — ułożonemi jak w zwierciadle na piersiach — i chciałem, krzyknąć z radości — że teraz znów wszystko będzie dobrze: ale zapadł się w podłogę, zanim mu zdołałem rozkazać, aby się dalej Mirjam objawił.

Że też żadnych wiadomości nie otrzymuję od przyjaciół!

Czy zakazane jest przesyłanie listów? pytałem współtowarzyszów więziennych.

Nie wiedzieli. Dotąd żaden z nich nigdy listu nie otrzymał; zresztą nie było nikogo, co by do nich mógł pisać.

Dozorca obiecał mi się dowiedzieć o tem przy sposobności.

Paznokcie mi popękały, takem je gryzł nieustannie: włosy mi dziko zarosły, bo nie było nożyczek, grzebienia i szczotki.

Również nie było wody do mycia.

Prawie nieustannie walczyłem z chęcią wymiotów, gdyż odwar kielbasy zaprawiany był sodą zamiast soli.

Był to przepis więzienny, aby „ujarźmić wzmaganie się popędu płciowego“.

Czas mijał w szarej, przeraźliwej monotonii. — Toczył się po jednym i tym samym wciąż obwodzie, jak koło udręczeń. Były pewne momenty, które znał każdy z nas, a w których ten lub ów nagle zeskakiwał z pryczy — godzinami chodził tam i z powrotem — jak dzikie zwierzę — i znów złamany upadał na swoje łoże — i przytępiały, bezmyślny czekał — czekał — czekał.

Gdy nadchodził wieczór, rojem ciągnęły pluskwy, niby mrówki po ścianach. — i zdumiony pytałem sam siebie, dla czego ów drab z szablą i w gaciach — tak sumiennie badał mnie, czy nie mam robactwa.

Obawiano się być może w sądzie krajowym, by nie powstało krzyżowanie obcych ras owadzich?

We środę przed południem przychodził zwykle jakiś ufryzowany cymbał w kapeluszu z obwisłym rondem i w kłapiących nogawicach.

Lekarz więzienny dr. Rosenblatt przekonał się, że wszyscy napęcznieli ze zdrowia.

A gdy który się skarżył, wszystko jedno na co, przepisywał mu cynkową maść do nacierania piersi.

Zjawił się też raz prezes sądu krajowego, dobrze rozrośnięty, perfumowany obwieś z „dobrego towarzystwa“, na którego twarzy wypisane były najpospolitsze występki — i popatrzył, czy wszystko jest w porządku: „czy się który nie powiesił“, jak mówił ufryzowany.

Przystąpiłem do niego, by mu przedstawić pewną prośbę; wtedy ukrył się za dozorcę więziennego i wyciągnął rewolwer. „Czego chce“ krzyknął mi — uzbrojony w ten sposób.

Czy są dla mnie listy, zapytałem grzecznie. Zamiast odpowiedzi, otrzymałem uderzenie w piersi od doktora Rosenblatta, który właśnie tędy przechodził. I pan prezes cofnął się również i przez pół otwarte drzwi powiedział mi: — abym pierwiej przyznał się do zbrodni. Przedtem ani jednego listu w życiu tem nie odbiorę.

Oddawna już nawykłem do złego powietrza i do gorąca, jakie tu panowało — i nieustannie drżałem z zimna.

Dwuch więźniów już się kilkakrotnie zmieniło, ale ja nie zwracałem na to uwagi. W tym tygodniu uwięziony tu był jakiś złodziej kieszonkowy lub włóczęga, w następnym fałszerz monety lub paser.

Com przeżył wczoraj, o tem dziś zapomniałem.

Wobec troski jaka mnie gryzła o Mirjam, wszystkie okoliczności zewnętrzne przybladły.

Jedno tylko zdarzenie wraziło mi się w duszę mocniej — nawet czasami jako karykatura prześladowało mię we śnie.

Stałem na desce przybitej do ściany, aby patrzeć w górę na niebo — gdy poczułem, że jakiś spiczasty przedmiot ukłuł mię w lędźwia, a gdym zbadał rzecz, przekonałem się, że to pilnik, który mi się w kieszeń wcisnął głęboko, między kort palta a podszewkę. Długo tam już pewnie tkwił, gdyż inaczej człowiek, który mię rewidował, niewątpliwie by go dostrzegł, Wyciągnąłem go z kieszeni — i nie bacznie rzuciłem na swój siennik. Gdym zeszedł z deski, pilnik zniknął — i ani chwili nie wątpiłem, że tylko Lois mógł go zabrać.

W parę dni później wyprowadzono go z celi, by go pomieścić o jedno piętro niżej.

Nie właściwe to — powiedział dozorca więzienny — aby dwaj znajdujący się pod śledztwem i oskarżeni o tę samą zbrodnią — t. j. on i ja — siedzieli w tej samej celi.

Z całego serca życzyłem sobie, aby się biednemu chłopcu — za pomocą pilnika udało wyzwolić z więzienia.

M A J .

Na pytanie, jaką dziś mamy datę słońce tak żarzyło jak w połowie lata, a zmęczone drzewo na podwórku puściło kilka pączków — dozorca więzienny z początku milczał, a potem mi szepnął, że jest 15-ty Maja. Właściwie nie powinien był mi tego mówić, gdyż niewolno rozmawiać z więźniami — zwłaszcza ci, którzy jeszcze się nie przyznali do winy, muszą być utrzymywani w nieświadomości co do czasu.

Zatem całe trzy miesiące byłem już w więzieniu, a jednak ciągle żadna wiadomość nie doszła mnie ze świata.

Gdy nadchodził wieczór, łagodne dźwięki klawikordu dochodziły poprzez zakratowane okno, które teraz z powodu gorących dni bywało otwarte.

Jak mię objaśnił jeden z więźniów, grała córka odźwiernego.

Dzień i noc marzyłem o Mirjam.

Co się z nią dzieje?

Czasami miałem pocieszające uczucie, jakoby moje myśli przenikały do niej i stały u jej łoża, w czasie snu uśmierającą dłoń kładąc jej na skroniach. Potem znów w chwilach beznadziejności, gdy jeden po drugim z moich towarzyszków więziennych wzywany był na posłuchanie — tylko ja nie — dręczyła mnie głucha trwoga, że może ona już dawno umarła.

Wtedy zadawałem losowi pytania, czy ona żyje czy nie, czy jest zdrowa czy chora — i wróżba garści słomy, które wydobywałem z siennika, miała mi dać odpowiedź.

Prawie za każdym razem „wychodziło źle“; starałem się więc ryc w swej duszy — by wykopać rzut oka w przyszłość: szukałem w swem wnętrzu, gdzie ukryta była tajemnica, by pochwycić prawdę pozornie ubocznym pytaniem, czy jeszcze dla mnie zabłyśnie dzień radości i uśmiechu.

Wyrocznia zawsze odpowiadała mi: tak — a wówczas przez godzinę byłem szczęśliwy i zadowolony.

Jak roślina co w tajemnicy rośnie i zakwita, powoli rozwinęła się we mnie niezrozumiała, głęboka miłość do Mirjam — i nie pojmowałem, żem mógł tyle razy obok niej siedzieć i z nią rozmawiać, a jednak nie zauważyłem jasno i wyraziście tego uczucia.

Pełne dreszczu pragnienie, aby i ona z podobną tkliwością myślała o mnie dochodziło, w takich momentach do przecucia pewności — i gdym w

korytarzu słyszał kroki, to lękałem się niemal, że mogą mnie wyprowadzić i wypuścić na wolność a moje marzenie rozprószy się w szorstkiej rzeczywistości świata zewnętrznego.

Ucho moje przez długi czas mego aresztu stało się tak czujnie, że chwyciło najłżejszy szmerek.

Codziennie w chwili, gdy nadchodziła noc, słyszałem w dali jadący powóz; łamałem sobie głowę, kto w nim mógł siedzieć.

Coś szczególnie dziwnego było w tej myśli, że tam na zewnątrz są ludzie, którzy mogą czynić i nieczynić co im się podoba, którzy się mogą swobodnie poruszać, — chodzić tu i tam — i nie odczuwają z tego powodu żadnej niewymownej rozkoszy!

Że i ja kiedyś znów będę tak szczęśliwy i będę mógł w promieniach słońca krążyć po ulicach — tego nie byłem sobie w stanie wyobrazić.

Dzień, w którym Angelinę miałem w objęciach, zdawał mi się należeć do jakiegoś przeminionego, zaginionego bytu; — myślałem o tem znowu z lekką tęsknotą, jakiej doznawa ten, co otworzył książkę i znajduje w niej powiędłe kwiaty, które mu w latach młodzieńczych ofiarowała kochanka.

Czy stary Zwak wciąż jeszcze co wieczora z Vrieslanderem i Prokopem siadują „pod cebrem“ i w wyschniętej Eulalii budzą oburzenie?

Nie, to był Maj — czas, w którym Zwak ze swym teatrem kukielek błądzi po prowincji i na zielonych łąkach wygrywa historie sinobrodego rycerza.

Siedziałem w celi samotny. — Vossatka, podpalacz, mój jedyny towarzysz na ten tydzień, parę godzin temu zaprowadzony został do sędziego śledczego.

Przesłuchanie trwało dziwnie długo.

Oto żelazny rygiel u drzwi zazgrzytał. Z promienną od radości twarzą wpadł do celi Vossatka, rzucił tłumok ubrania na pryczę i z szybkością wiatru zaczął się przebierać. Kostjum więzienny — sztukę po sztuce — z przekleństwem rzucał na podłogę.

„Nic mi nie mogli dowieść, te dranie! Nic! Podpalenie! — A jakże! wskazującym palcem dotknął dolnej powieki rozszerzając oko po łobuzowsku. Na Vossatkę za młode wy głupcy! Wiatr był — powiedziałem. No i na tem stanęło. Teraz niech sobie szukają wiatru w polu! No, servus, dziś wieczorem. To się wyrówna. U Loisiczka!“ Rozwarł ramiona i zatańczył „tupanego“. Tylko raz w życiu kwi-i-itnie Maj!“ — Nałożył sobie małą ceratową czapeczkę na głowę. — „Ale — właśnie — to pana zaciekawi, panie hrabio! Wie pan nowinę? Pański przyjaciel, Lois, wyłamał się, uciekł! Właśnie tam na górze, dowiedziałem się o tem u tych draniów. Już przeszłego miesiąca — wypłynął

sobie na łąkę — i jest teraz het — het za górami“ — — tu palcami uderzył się kilkakrotnie w rękę.

„Acha, pilnik! — pomyślałem sobie i uśmiechnąłem się.

„Tedy, życzę panu, panie grafie — podpalacz po koleżeńsku rękę mi podał, — „aby pan możliwie w najprędszym czasie odzyskał wolność. A jeżeli panu kiedy zabraknie pieniędzy, to niech pan tylko u Loiczka zapyta o czarnego Vossatkę. Każda dziewczucha mnie pana wskaże! Tak! Zatem servus, panie hrabio. Było mi bardzo przyjemnie“.

Jeszcze stał we drzwiach, gdy strażnik wprowadził do celi nowego więźnia, znajdującego się pod śledztwem.

Od pierwszego rzutu oka poznałem w nim alfonsa w żołnierskiej czapce, który kiedyś raz stał koło mnie w czasie ulewy w łukowej bramie na Kogucim zaułku. Miła niespodzianka! Może on wiedział cokolwiek o Hillelu i Zwaku — i o innych?

Chciałem natychmiast zacząć go rozpytywać, ale ten ku memu najwyższemu zdumieniu z tajemniczą miną położył palec na ustach, dając w ten sposób wskazówkę, abym milczał.

Dopiero gdy drzwi zzewnątrz były zamknięte i gdy ucichły kroki dozorczy na korytarzu, odżył.

Serce mi biło ze wzruszenia.

Co to znaczy?

Czyż on mię znał? I czego chce?

Pierwszą rzeczą, jaką uczynił alfons było to, że siadł i zdjął but z lewej nogi.

Potem zębami wyciągnął czopek z obcasa, wyjął z próżni, jaka powstała od czopka — małą zgiętą żelazną blaszkę; oderwał widocznie słabo tylko przybitą podeszwę i z dumną miną wręczył mi to wszystko.

Wszystko z pośpiechem wiatru — i nie zważając ani trochę na moje podniecone pytania.

„Tak! miłe ukłony od pana Charouska!“ Byłem tak oszołomiony, że słowa nie mogłem wymówić.

„Niech pan weźmie tę blaszkę, a w nocy pan nią roztworzy podeszwę. Albo wogóle, kiedy nikt nie będzie widział. — Bo proszę pana — objaśniał mię alfons z miną pełną powagi — we środku znajdzie pan tam liścik od pana Charouska“.

W nadmiarze wruszenia rzuciłem się alfonsowi na szyję, a łzy trysnęły mi z oczu.

Odsunął mię łagodnie i mówił z wyrzutami:

„Niechże się pan opamięta, panie von Pernat! Minuty czasu nie mamy do stracenia. Może zaraz się wydać, że jestem w fałszywej celi. Franek i ja u odźwiernego zamieniliśmy sobie numery“.

Musiałem zrobić mocno głupią minę, bo alfons mówił dalej:

„Jeżeli pan tego nie rozumie, to nic nie znaczy. Koniec końców: jestem tu i basta.

„Niech mi pan powie — przerwałem mu — niech mi pan, panie — — panie — „Wencel“ — dopomógł mi więzień — nazywam się piękny Wencel!

„Niech mi pan panie, panie Wencel, co robi archiwarjusz Hillel — i co słyhać z jego córką?

„Na to niema czasu“ — przerwał mi niecierpliwie piękny Wencel. Przecież lada chwila mogą mnie stąd wylać! Zatem: jestem tu dla tego, żem się przyznał do rabunku extra “

„Jakto, więc tylko dla mego powodu — aby mózż się do mnie dostać — popełniłeś rabunek — panie Wencel? — pytałem w strząśniony.

Alfons kiwnął pogardliwie głową: „Gdybym rzeczywiście rabunek popełnił, tobym się do niego nie przyznał! Co pan sobie o mnie myśli? „Zacząłem powoli rozumieć. Poczciwy chłop użył podstępu, aby mi do więzienia przemycić list Charouska.

„A w dodatku — zrobił bardzo zamyśloną minę — muszę pana nauczyć efilepsji.

„Czego?

„Efilepsji. Niechno pan pilnie patrzy i dokładnie uważa na wszystko. — Naprzód wykrzywić trzeba gębę — tak! — wydał policzki, poruszał nimi w prawo i w lewo jak ktoś co płucze usta „Potem diana z ust wychodzi — to się robi tak“ i — pokazał jak to się robi z zupełną naturalnością. „Potem ściskam duży palec pięścią. — Potem wywracam oczy“ jął okropnie zezować — „potem a to jest najtrudniejsze — zaczynam krzyczeć i wyć okropnie. O tak: ba-bu-bu! i zarazem upadam na ziemię. — „Runął w całej długości na podłogę, aż ziemia jękała — i wstając powiedział: „To jest naturalna efilepsja — jak tego nas nauczył dr. Hulbert w bataljonie.

„Rzeczywiście, łudzaco podobne — rzekłem — ale do czego to wszystko służy?

„Bo wtedy cię z celi wyprowadzą“ — objaśnił piękny Wencel. „Dr. Rozenblatt jest to ostatnie bydle. Wszystko mu jedno. Kiedy już ktoś zdycha do cna, Rosenblatt zawsze powie: chłop zdrów jak ryba: — Tylko efilepsji boi się jak byk czerwonej płachty. I jeżeli kto umie to zrobić, to zaraz go przeniosą do celi dla chorych! A wtedy wydostać się stamtąd, to zabawka dziecinna — i tajemniczo dodał szeptem — kraty w oknie celi szpitalnej są przepiłowane i tylko słabo gnojem zaklepane! To jest tajemnica bataljonu! — Parę nocy jeno czujnie bacz, a gdy zobaczy pan z dachu w okno spływającą pętlę na sznurze — podnieś pan lekko kratę, byle nikt tego nie zauważył, włóż ramiona w pętlę a my pociągniemy pana na dach — i spuścimy na drugiej stronie na ulicę. — I

basta!“.

„Dlaczegoż mam z więzienia uciekać? Przecież jestem niewinny.

„To nic nie znaczy. Uciec można zawsze — odpowiedział piękny Wencel, a z podziwu oczy mu aż się zaokrągliły.

Całej swej elokwencji użyć musiałem, aby ten cały obłądny plan, wynik jakiejś nauki bataljonu — przedstawić mu jako bezowocny.

Że ja „dar boży“ odrzucałem i wołałem czekać, aż sam przez się odzyskam swobodę było mu to niezrozumiałe.

„W każdym razie dziękuję panu i waszym dzielnym towarzyszom jaknajserdeczniej rzekłem wzruszony i uścisnąłem mu rękę. „Kiedy minie ten ciężki dla mnie czas, pierwszą dla mnie rzeczą będzie wszystkim wam okazać wdzięczność.

„To niepotrzebne — rzekł przyjacielsko Wencel. „Jak pan postawi parę szklanek Pilznera, z wdzięcznością przyjmiemy, ale nic więcej. Pan Charousek, który teraz jest naszym skarbnikiem w bataljonie, opowiadał nam już, że pan potajemnie czyni dobrodziejstwa. Mamże mu co powiedzieć, jeżeli za parę dni znów wyjdę?“.

„Proszę — rzekłem szybko — proszę — niech pan mu powie, żeby zechciał iść do Hillela i zawiadomić go, jak jestem niespokojny o zdrowie jego córki Mirjam, Pan Hillel niechaj ciągle na nią baczy. Czy zapamięta pan nazwisko: Hillel.

„Hirrel?

„Nie: Hillel

„Hiller?

„Nie: Hil-lel.

Wencel nie mało języka sobie nałamał na tem niemożliwym dla Czecha imieniu, ale w końcu ośwładnął jego wymową z kwaśnym grymasem.

„I jeszcze jedno: żeby Charousek — bardzo gorąco o to go proszę — dowiedział się o „szlachetnej damie“ wszystko, co tylko może. Już on będzie wiedział, co to za jedna.

„To pan pewnie myśli o tej hrabskiej muszce, co to migdaliła się z Niemcem, drem Sapoli. — O, ta już się rozwiodła i pojechała sobie z dzieckiem i drem Sapoli.

„Pan to wie napewno?

Czułem jak mi głos zadrżał. Choć radowałem się wielce z powodu Angeliny to jednak serce mi skurczyło się na chwilę.

Ileż to ja dla niej przecierpiałem trosk — a teraz byłem zapomniany.

Może istotnie uwierzyła, że popełniłem morderstwo dla rabunku. Gorzki posmak jął mię dusić w gardle. Alfons zdaje się z przenikliwym poczuciem, które czasem się zdarza u zatraconych ludzi w sprawach miłości — odgadł, jak

mi to było przykro, gdyż patrzył w stronę i nic nie mówił.

„Bo może pan wie, co słyhać z panną Mirjam, córką pana Hillela. Czy pan ją zna zapytałem natarczywie „Mirjam? Mirjam? — Twarz Wencła pomarszczyła się z zamyślenia. — Mirjam? Czy ona często bywa nocą u Loisiczka?

Mimowoli się uśmiechnąłem.

„Nie! Bynajmniej — nie bywa.

„No, to jej nie znam — powiedział sucho Wencel.

Milczeliśmy chwilę.

Może tam w liście jest co o niej, taką sobie robiłem nadzieję.

„Ale tego Wassertruma też djabeł porwał“ — nagle zaczął znów Wencel — „może pan już o tem słyshał“.

Podskoczyłem ze zdumienia.

„No, właśnie“ — Wencel wskazał na swe gardło. Lu, lu — mówię panu! To ci było straszne. Kiedy sklep otworzyli, bo go przez parę dni nie było widać, ja naturalnie byłem tam pierwszy, jakże inaczej! — A tam on — ten jucha Wassertrum siedział ci na parszywym fotelu, z piersi krew mu się sączyła — a oczy miał jakby szklane. Pan wie — ja jestem chłop mocny jak koń, ale mówię panu, jakem to zobaczył, wszystko mi się w oczach przekręciło — i myślałem, że zemdleję. Dopiero powoli musiałem sam sobie tłumaczyć sprawę: Wencel, powiedziałem, Wencel, obudź się — przecie to tylko umarły żyd! — W gardle miał wbity pilnik, a w sklepie u niego wszystko było wywrócone do góry nogami. — Oczywiście morderstwo z rabunkiem. „Pilnik — pilnik! Oddech mi zlodowaciał ze zgrozy. — Pilnik! Tak więc znalazł on swoją drogę. — „Wiem też, kto to był“ — mówił po chwili Wencel półgłosem. „Nikt inny mówię panu, tylko ten dziobaty Lois. — Ja, panie, znalazłem w sklepie na podłodze jego nóż kieszonkowy — i szybko ukryłem, aby go policja nie zabrała i nie rzuciła się na chłopca. Przez jakieś podziemne przejście dostał się do sklepu.“

Jednym rzutem przerwał mowę, parę sekund słuhał z natężeniem, rzucił się na prycę — i zaczął przeraźliwie chrapać.

Niemal w tej samej chwili, klucz zazgrzytał we drzwiach celi — dozorca wszedł i gniewnym wzrokiem spoglądał na mnie. — Zrobiłem minę obojętną, a Wencła ledwie się można było dobudzić. Dopiero po wielu uderzeniach, podniósł się — i jak pijany ze snu chwiejnie wyszedł z celi, a za nim strażnik.

W gorączkowym napięciu rozwarłem list Charouska i czytałem:

12 Maja.

Drogi mój przyjacielu i dobroczyńco! Tydzień za tygodniem oczekiwałem, że będziesz pan wolny, ciągle na próżno — próbowałem wszelkich możliwych sposobów, aby zebrać dla pana materiały, usuwający obciążenie, ale nic nie mogłem znaleźć.

Prosiłem sędziego śledczego, by przyspieszył przesłuchanie, ale za każdym razem mówił mi, że nie może nic na to poradzić, — że to sprawa administracji, nie jego.

Biurokratyczne ciemństwo!

Dopiero teraz — przed godziną udało mi się coś, z czego najlepszych spodziewam się wyników: dowiedziałem się, że Jaromir sprzedał Wassertrumowi złoty zegarek, który po aresztowaniu swego brata Loisa znalazł w jego łóżku.

U Loisczka, gdzie jak pan wie, nie mało kręci się detektywów, krąży wieść, że zegarek zamordowanego Zottmana — którego trupa zresztą dotąd nie odkryto, jako **corpus delicti**^ znaleziony został u pana. Wszystko i inne rzeczy zrozumiałem w lot: Wassertrum et c e t e r a²²¹

Natychmiast Jaromira sobie zjednałem, dałem mu 1000 fl. —“. List opuściłem z rąk i łzy radości w oczach mi zabłysły: tylko Angelina mogła Charouskowi dać taką sumę. Ani Zwak, ani Prokop, ani Vrieslander nie mieli tyle pieniędzy — A więc nie zapomniła o mnie.

— Czytałem dalej: „1000 fl. dałem mu i obiecałem 2000 fl., jeżeli wraz ze mną natychmiast pójdzie na policję — i przyzna, że ten zegarek bratu swemu w domu zwędził i sprzedał.

Ale to wszystko może stać się dopiero wówczas, gdy ten list przez Wencla dostanie się do pana. Czas pili. Niech pan jednak będzie pewien: to się stać musi. Jeszcze dzisiaj. Daję za to głowę. — Nie wątpię ani chwili, że Lois popełnił zabójstwo i że zegarek jest Zottmana,

Jeżeli wbrew oczekiwaniu zegarek ten nie jest Zottmana — wówczas Jaromir wie co robić: w każdym razie ten zegarek znaleziony u pana określi jako sobie znany. Śmiało więc niech pan patrzy w przyszłość i niech pan nie wątpi. Dzień, w którym pan będzie wolny, może jest niedaleki.

Czy pomimo, to nadejdzie dzień, w którym my zobaczymy się z sobą? o tem nie wiem.

Prawie rzekłbym: nie wierzę w to, gdyż idę szybko ku końcowi, a **muszę się mieć na baczności, aby mię ostatnia godzina niezaskoczyła niespodzianie.**

Ale jednej rzeczy niech pan będzie pewny: my się spotkamy. Jeżeli nie w tem życiu i nie jako umarli w tamtem życiu, to w dniu kiedy czas się wypełni, gdy, jak to stoi w Biblii, PAN usty swemi wypluje tych, co nie byli ani zimni ani gorący — niech się pan nie dziwi, że ja tak mówię! nigdy o tych rzeczach z panem nie mówiłem i, gdy pan raz wypowiedział słowo „Kabała“, uchyliłem się od wyjaśnień ale — co wiem, to wiem. Może pan rozumie, co ja myślę, a jeżeli nie, to proszę wielce niech pan przekreśli w swej pamięci to com powiedział. Raz w stanie delirium — wydawało mi się, że na pańskiej piersi były jakieś

znaki. Może być, że mi się śniło na jawie.

Niech pan przypuści, o ile by pan mnie istotnie nie rozumiał, że miałem pewne rozeznania wewnętrzne, prawie od dzieciństwa, a które mię poprowadziły na szczególną drogę; rozeznania, które się nie pokrywają z tem, czego uczy lub czego, chwala Bogu, jeszcze niezna medycyna; spodziewać się też należy, że nigdy ich nie podda swym doświadczeniom. Ale nie dałem się ogłupić nauką, której najwyższy cel, jest założyć „poczekalnię“, którą jak najlepiej można wyzyskiwać.

Jednakże dość o tem.

Raczej panu opowiem, co się stało w czasie pańskiej nieobecności.

W końcu kwietnia Wassertrum doszedł do tego, że moja suggestja zaczęła na niego oddziaływać. Poznałem to stąd, że stale na ulicy gestykulował i głośno mówił sam ze sobą.

Jest to pewny znak, że myśli danego człowieka są w stanie burzy, która w nim huczy i nad nim panuje.

Potem kupił sobie karnet i robił notatki. Pisał. Tak jest, pisał. Nie mogę się nie śmiać. Pisał.

Potem poszedł do notariusza. Na dole w piwnicy swej wiedziałem, co on tam na górze robił układał testament.

Że on mnie spadkobiercą wyznaczy — o tem zresztą nie myślałem. Dostałbym pewnie tańca świętego Wita z radości, że mi to przypadło.

Owóż mnie on wyznaczył swoim spadkobiercą, bo ja jestem na ziemi jedyny, któremu on jeszcze, jak sądził, mógłby uczynić pewne dobrodziejstwo. Sumienie go ujęło podstępnie.

Być może miał też nadzieje, że ja go będę błogosławił, gdybym się po jego śmierci dzięki niemu ujrzał milionerem — i w ten sposób zażegnałbym przekleństwo, którego musiał wysłuchać z moich ust w pańskim pokoju. —

Potrójnie zatem oddziałała moja suggestja.

Szalenie zabawne, że on jednak potajemnie wierzył w jakiś wymiar sprawiedliwości na tamtym świecie, choć przez całe życie gorliwie temu przeczył.

Ale taki jest los wszystkich tych ludzi zręcznych; w obłąkane szaleństwo wpadają już, gdy im się to w oczy mówi. Czują się złapani.

Od chwili, gdy Wassertrum poszedł do notariusza, ani chwili nie spuszczałem go z uwagi.

Nocami nadśluchiwałem, co się dzieje za drzwiami jego sklepu, gdyż każda minuta mogła przynieść decyzję.

Zdaje mi się, że poprzez mury usłyszałbym owo pożądane mlaskanie, gdyby wyjął korek z flaszki z trucizną.

Godziny może brak, a dzieło mego życia będzie wykonane.

Tymczasem wdarł się niepowołany i zamordował go. Pilnikiem.

Resztę opowie panu Wencel. Zbyt mi gorzko pisać o tem wszystkim.

Nazwij pan to przesądem — ale, widząc, że krew była przelana — rzeczy w sklepie krwią splamione — zacząłem wierzyć, że jego dusza mi się wymknęła.

Coś — jakiś subletny, nieomylny instynkt — mówi mi, że jest to zgoła co innego, gdy człowiek umiera od cudzej ręki, a co innego, gdy od własnej: Wassertrum powinien był wszystką swoją krew zabrać ze sobą pod ziemię, wtedy dopiero moja misja byłaby wypełnioną. — Teraz, gdy stało się co innego, czuję się jak odrażony, jak narzędzie, które uznano za niegodne ręki Anioła śmierci.

Ale nie chcę się uchylać. Moja nienawiść jest z tych, co idą poza grób, a jeszcze posiadam własną krew, którą wylać mogę, jak chcę — ażeby ta za jego krwią szła krok w krok do państwa cieni.

Codziennie, odkąd Wassertruma pochowano, siaduję przy nim na cmentarzu i w piersi swojej słucham, co mam czynić.

Zdaje się, że już wiem o tem, ale jeszcze chcę czekać, póki słowo wewnętrzne, które do mnie mówi, nie stanie mi się jasnym jak krynica. — My ludzie jesteśmy nieczyści — i często trzeba długich postów i czuwań, aż w końcu dopiero zrozumiemy szept naszej duszy. — — —

W upłynionym tygodniu oficjalnie zawiadomił mnie sąd, że Wassertrum ustanowił mnie jedynym swoim spadkobiercą. Że ja z tego nawet krajcara nie ruszę, otem nie mam potrzeby pana zapewniać, panie Pernat. Będę się strzegł, by „jemu“ „tam“ jakąś broń dawać w rękę.

Domy, które posiadał, puszczam na licytację; przedmioty, których się dotykał, zostaną spalone, a co do pieniędzy i wartości pieniężnych — to po mojej śmierci trzecia część przypada panu. — Widzę już w duchu, jak pan oburza się i protestuje, ale mogę pana uspokoić. To co pan otrzyma jest to pańska prawowita własność z procentem oraz procentem od procentu. Dawno już wiedziałem, że Wassertrum przed laty ojca pańskiego i jego rodzinę ograbił ze wszystkiego i teraz dopiero jestem w stanie za pomocą aktów stwierdzić to i wyrównać.

Inna trzecia część, podzieloną zostanie między dwunastu Członków Bataljonu, którzy znali jeszcze osobiście doktora Hulberta. Chcę aby każdy z nich był bogaty i aby uzyskał dostęp do sfer „dobrego towarzystwa“ Pragi.

Ostatnia trzecia część ma być wypłacona w najbliższym czasie siedmiu przestępcom, którzy popełnili morderstwo z rabunkiem, a którzy z braku dowodów musieli być uwolnieni.

Jestem winien to publicznemu zgorszeniu.

To więc jest wszystko.

A teraz, mój drogi, drogi przyjacielu, żyj szczęśliwie i myśl o mnie często!

Twój szczerze oddany i
wdzięczny

Inocenty Charousek.

Głęboko wzruszony omal nie wypuściłem listu z ręki.

Nie byłem w stanie radować się wiadomością o blizkiem wyzwoleniu.

Charousek! Biedny człowiek! Jak brat troszczył się o mój los. Dlatego tylko, że ja kiedyś ofiarowałem mu sto florenów. Gdybym choć jeszcze raz mógł mu rękę uścisnąć.

Czułem to: miał słuszość; ten dzień nigdy nie przyjdzie.

Widziałem go okiem wspomnienia: jego płomienne oczy, suchotnicze ramiona, wysokie, szlachetne czoło.

Być może wszystko to poszłoby zupełnie inaczej, gdyby jaka pomocna ręka w czas pokierowała tem zmarnowanym życiem.

Jeszcze raz przeczytałem list od początku do końca.

Ile metody było w obłądnie Charouska! Czy on zresztą w ogóle był obłąkany?

Wstydzilem się niemal sam siebie, zem tę myśl miał jedną chwilę w głowie.

Czyż jego postępowanie nie było dość wyraźne? Był on człowiekiem jak Hillel, jak Mirjam, jak ja sam; człowiekiem, nad którym dusza własna przemoc zdobyła, — prowadząc go po przez dzikie otchłanie i zagłębia życia do świata przeszłorocznych śniegów jakiej niedostępnej krainy.

On, który całe życie knował zabójstwo, czyż nie był czystszy niż niejeden z tych, co głoszą wyuczone nakazy jakiegoś nieznanego mitycznego proroka, unikając zarazem ich wykonywania?

On zaś spełnił przykazanie, które mu dyktował przemożny popęd, nie licząc na żadne wynagrodzenie ani z tej ani z tamtej strony bytu.

To co on uczynił, byłoż czem innym, niż najpobożniejszym wykonaniem obowiązku — w najbardziej tajemniczym znaczeniu tego słowa? „Tchórzliwiec, podstępny, skłonny do zabójstwa, chorobliwy, zagadkowa natura mordercy“ — takim formalnie słyszał, jak brzmiałby o nim wyrok masy, któraby chciała rozświetlić duszę Charouska stajenną ślepą latarką.

Znowu zazgrzytał klucz w zamku drzwi mojej celi — i słyszałem, jak wepchnięto do niej nowego człowieka.

Ciągle jeszcze rozważałem treść listu, tak mię poruszyła głęboko.

Ani słowa nie było w nim o Angelinie, ani słowa o Hillelu.

Niewątpliwie: Charousek musiał pisać z wielkim pośpiechem; pismo to zdradzało. Czy też jeszcze otrzymam z jego strony jaki list potajemnie?

Liczyłem na jutro, na wspólną przechadzkę więźniów po dziedzińcu. — Tam

to najłatwiej, ktoś z „bataljonu“ mógłby mi co wcisnąć.

Cichy głos przebudził mnie z rozmyślań:

„Czy pan pozwoli, szanowny panie, że mu się przedstawię. Nazywam się Laponder, Amadeusz Laponder.

Odwróciłem się ku niemu.

Drobny, szczupły, jeszcze dość młody człowiek, elegancko ubrany, tylko bez kapelusza, jak wszyscy będący pod śledztwem, kłaniał mi się z wyszukaną grzecznością.

Był wygolony jak aktor — a jego wielkie, jasno zielone, świecące, migdałowate oczy miały tę osobliwość w sobie, że choć były wprost ku mnie zwrócone, zdawały się mnie wcale nie widzieć. — Było w nich coś jak by brak przytomności umysłu.

Mruknąłem swoje nazwisko i również się ukloniłem, poczem chciałem się położyć, ale długi czas nie mogłem odwrócić oczu od tego człowieka, tak szczególnie oddziaływał na mnie jego uśmiech pagodowy, w jaki układały się jego ładnie wycięte wargi, a ześrodkowany w kąciku ust. Wyglądał prawie jak chiński posążek Buddy z różowego kwarcu: skórę miał przezroczystą, pozbawioną zmarszczek, dziewczęcy drobny nos i delikatkę nozdrza.

„Amadeusz Laponder, Amadesz Laponder“ — powtarzał mi kilkakrotnie.

„Co też on mógł popełnić?

Przypisy

1. **i v>** corpus delicti (łac.) — przedmiot przestępstwa, dowód rzeczowy świadczący o przestępstwie
2. **l v>** et cetera (łac.) — i tak dalej

K S I Ę Ż Y C .

„Czy pan już był na przesłuchaniu“ zapytałem po chwili.

„Właśnie stamtąd przychodzę. — Mam nadzieję, że nie długo będę tu szanownego pana niepokoił“ — odpowiedział mi w sposób bardzo miły.

„Biedaczysko — pomyślałem — nie przeczuwa, co to go czeka pod śledztwem.

Chciałem go zwolna przygotować.

„Przywyka się w końcu do tego spokojnego istnienia, skoro tylko miną pierwsze dni najprzykrzejsze.

Zrobił pojednawczy wyraz twarzy.

Przerwa.

„Czy długo trwało przesłuchanie, panie Laponder?”

Uśmiechnął się z roztargnieniem.

„Nie. Pytano mię tylko, czy się przyznaję i musiałem podpisać protokół.

„Pan podpisał, że się przyznaje? wyrwało mi się mimowoli.

„Oczywiście.

Mówił, jakby to rozumiało się samo z siebie.

Musiał to być jaki drobiazg, pomyślałem sobie, gdyż nie widać w nim żadnego podniecenia. Może jakie wyzwanie na pojedynek lub coś podobnego.

„Jestem tutaj niestety już tak długo, że mi się wydaje, jakbym siedział sto lat;“ — westchnąłem mimowoli, on zaś natychmiast przybrał minę współczującą. „Życzę panu, aby pan tego nie doznał, panie Laponder. Ostatecznie z tego co widzę, sędzę, że pan wkrótce znów się znajdzie na wolnej stopie.

„To zależy“ odrzekł spokojnie, ale jakiś sens był dwuznaczny w jego słowach.

„Pan nie wierzy? — zapytałem z uśmiechem. Pokiwał głową.

„Jak ja to mam rozumieć? Cóż pan tak straszliwego popełnił? Wybacz pan, panie Laponder, nie ciekawość to z mojej strony, ale właśnie współczucie — że pytam.

Wahał się chwilę, potem rzekł, nawet nie drgnąwszy powieką:

„Morderstwo na tle seksualnem.

Zdawało mi się, jakby mię ktoś pałką uderzył w głowę. — Ze wstrętu i zgrozy nie byłem w stanie wymówić słowa. — Laponder, zdaje się, zauważył to i dyskretnie spoglądał na stronę, ale najłagodniejsza gra rysów w jego automatycznie uśmiechniętej twarzy nie zdradzała, aby moja nagła zmiana zachowania się uraziła go w najmniejszym stopniu.

Nie zamieniliśmy już więcej ani słowa ze sobą — niemo spoglądaliśmy wzajem na siebie.

Gdy nastąpiła ciemność położyłem się na pryczy; i on natychmiast poszedł za moim przykładem; rozebrał się, starannie powiesił odzież na gwoździu w ścianie, rozciągnął się i, o ile sądzić było można, z jego spokojnych, głębokich oddechów, natychmiast się pogrążył we śnie.

Całą noc nie mogłem się uspokoić.

Nieustanne poczucie, że mam w swoim najbliższym sąsiedztwie taką ohydę i że obaj oddychamy jednym i tem samem powietrzem, było mi tak przykre i dręczące, że wszystkie wrażenia dnia dzisiejszego, list Charouska i wszystkie nowe przeżycia w głąb się usunęły i chwilowo zniknęły.

Takem się położył, że ciągle miałem przed oczami mordercę, gdyż nie byłbym w stanie wytrzymać, gdybym go miał poza sobą.

Cela od poblasku księżycy była matowo pół oświetlona — i mogłem widzieć, jak Laponder leżał bezwładny, prawie zeszywniały. Rysy jego miały w sobie coś trupiego, a pół otwarte usta podnosiły jeszcze to wrażenie.

Przez długie godziny śpiący nie zmienił położenia ani razu.

Dopiero późno o północy, gdy wązki promień księżycy padł mu na twarz, lekki niepokój go opanował; towarzysz mój bezgłośnie jął poruszać wargami, jak ktoś co mówi przez sen. Było, to zdaje się ciągle to samo wyrażenie — być może zdanie dwusylabowe jakby: „Puść mię! puść mię! puść mię!“

Najbliższe potem dni minęły w ten sposób, że o nic go nie zapytywałem: on też nie przerywał milczenia.

Jego zachowanie się jak przedtem tak i teraz było nader ugrzecznione. Ile razy chciałem się przechadzać po celi tam i z powrotem, spostrzegając to natychmiast i z najwyższą grzecznością, o ile siedział na pryczy, wciągał nogi na łożo, aby mi umożliwić chodzenie.

Zacząłem sobie robić wyrzuty z powodu swej szorstkości względem niego, ale pomimo najlepszej woli nie mogłem przewyciężyć wstrętu do niego. Jakkolwiek miałem nadzieję, że w końcu przywyknę do jego obecności — jednak mi się to nie udawało.

Nocami nawet byłem czujny. Kwadrans ledwie sypiałem.

Co wieczór powtarzała się najściślej ta sama scena: czekał z wielkim szacunkiem, aż się rozciągnę na pryczy; wówczas zdejmował ubranie, starannie je gładził, potem wieszał — i tak dalej — i tak dalej.

Jednej nocy — była może godzina druga nad ranem — stałem jak pijany ze snu na desce ściennej, spoglądałem w pełnię księżycową, której promienie odbijały się jak migocząca oliwa na miedzianej twarzy zegara wieżowego i ze smutkiem, rozmyślałem o Mirjam.

Nagle usłyszałem cicho jej głos za sobą.

Natychmiast stałem się czujny, nadzwyczaj czujny — odwróciłem się i nasłuchiwałem. — Minuta czasu przeszła.

Sądziłem już, że się omylił, ale znów usłyszałem ten głos.

Nie mogłem dokładnie rozumieć słów, ale brzmiało to jakby: „Pytaj mnie! pytaj“.

Był to głos Mirjam.

Chwiejąc się z podniecenia, zeszedłem, jak mogłem najciszej, z deski — i zbliżyłem się do pryczy Lapondera.

Światło księżycy w pełni padało mu na twarz i mogłem wyraźnie dostrzec, że on powieki miał otwarte — i tylko białka oczu były widzialne.

Zesztywniałe mięśnie policzkowe świadczyły, że Laponder leży we śnie kataleptycznym; tylko wargi poruszały się od czasu do czasu.

I powoli zrozumiałem słowa, które z poza zębów jego wychodziły: „Pytaj mnie, pytaj mnie“.

Głos do złudzenia podobny był do głosu Mirjam.

„Mirjam? Mirjam? zawołałem mimowoli, ale natychmiast ton obniżyłem, aby śpiącego nie obudzić.

Czekałem, aż nanowo twarz mu zeszywnieje, i łagodnie powtórzyłem:

„Mirjam? Mirjam?“

Cista jego wymówiły, ledwie dosłyszalnie, a jednak wyraźnie: „Tak.

Przyłożyłem ucho do jego warg.

Po chwili usłyszałem głos Mirjam — tak nieomylnie jej głos — szept — że mi zimny dreszcz przebiegł całą skórę.

Piłem słowa tak pożądliwie, że tylko sens rozumiał — Mówiła o miłości ku mnie i o niewymownym szczęściu, żeśmy się w końcu znowu znaleźli i nigdy się już nie rozłączymy. Mówiła pospiesznie, bez odpoczynku, jak ktoś, co się lęka, że mu przerwą i chce wyzyskać każdą minutę.

Potem głos się zatrzymał — na chwilę zagasł całkowicie.

„Mirjam? zapytałem, drżąc z trwogi i z zapartym oddechem. „Mirjam, czyś ty umarła?“

Długo żadnej odpowiedzi. Potem prawie niezrozumiale:

„Nie. Żyję. Śpię.

Nic więcej. Nasłuchiwałem. Bez rezultatu. Nic więcej.

Byłem tak oszołomiony — i drżałem ze wzruszenia, że musiałem się oprzeć o kant pryczy, aby nie upaść na Lapondera.

Złudzenie stało się tak całkowite, że, zdawało mi się przez chwilę, jakoby istotnie Mirjam tu leżała — i całej siły ducha musiałem użyć, aby nie złożyć pocałunku na ustach mordercy.

„Henocho, Henocho! — usłyszałem nagle bełkotanie, a potem dźwięki coraz wyraźniejsze, członkowane: Henocho, Henocho!

Poznałem natychmiast głos Hillela.

„Czy to ty, Hillel?

Milczenie. Przypomniałem sobie, — że czytałem kiedyś, iż aby z uspiętego wydobyć słowo, nie należy mówić do ucha, ale w kierunku tkanki nerwowej w jamie żołądkowej.

Uczyniłem tak: „Hillel?

„Słyszę ciebie.

„Czy Mirjam jest zdrowa? Czy wiesz o wszystkim? — pytałem prędko.

„Wiem wszystko. Wiedziałem od dawna, — Nie miej trwogi, Henocho, bądź spokojny.

„Czy ty mi przebaczysz, Hillelu?

„Mówię ci, bądź spokojny.

„Czy się prędko zobaczymy? — Lękałem się, że nie będę mógł więcej rozumieć pytania. Już ostatnie zdanie było jakby wydechem szeptane.

„Mam nadzieję. Będą oczekiwać na ciebie jeżeli mogę potem muszę do ziemi

„Dokąd? Do jakiej ziemi? — o mało co nie upadłem na Lapondera. — Do jakiej ziemi? Do jakiej ziemi?

„Do ziemi Gad — na południe — do Palestyny.

Głos zamarł.

Sto pytań huczało mi kołowrotem w głowie. Dla czego on zowie mnie Henochem? Zwak, Jaromir, zegarek, Vrieslander, Angelina, Charousek?

„Żyj szczęśliwie i często o mnie wspominaj“ nagle zabrzmiało znowu głośno i wyraźnie z ust mordercy. Teraz głos miał ton Charouska, ale tak podobny, jakby to on mówił sam.

Przypomniałem sobie: był to dosłownie ostatnie zdanie z listu Charouska.

Twarz Lapondera leżała już w ciemności. Światło księżycy padało na skraj głów siennika. Za kwadrans zniknie zupełnie z celi.

Stawiałem pytanie za pytaniem, ale nie otrzymałem już żadnej odpowiedzi: morderca leżał nieruchomy, jak trup, a powieki miał zamknięte.

Robiłem sobie ostre wyrzuty, że przez tyle dni widziałem w Laponderze tylko mordercę, nigdy zaś człowieka.

Sądząc z tego, com właśnie przeżył, był to oczywiście lunatyk, somnambul

— istota, która się znajduje pod wpływem pełni księżyca.

Być może swe zabójstwo na tle płciowym popełnił on w stanie zamroczenia ducha. Niewątpliwie. — Teraz, gdy ranek zaczynał szarzeć, opadła sztywna nieruchomość z jego twarzy, na jej miejscu zaś czytałeś wyraz błogosławionego pokoju.

Tak spokojnie przecie drzemać nie może człowiek, który świadomie popełnił zbrodnię: tak sobie mówiłem.

Zaledwie mogłem się doczekać chwili jego przebudzenia.

Czy on ma świadomość tego, co się stało?

Wreszcie otworzył oczy, napotkał mój wzrok — i spojrzał w stronę.

Natychmiast podszedłem ku niemu i ująłem go za rękę: „Niech mi pan przebaczy, panie Laponder, że dotychczas byłem dla pana tak mało życzliwy. Taka rzecz niezwykła, że ...

„Niech szanowny pan będzie przekonany, że ja to rozumiem doskonale“ — przerwał mi żywo — że musi to być wstrętne uczucie — siedzieć razem z mordercą na tle zwyrodnienia seksualnego.

„Niech pan o tem więcej nie mówi — prosiłem. Dziś w nocy chodziło mi to po głowie i nie mogę się uwolnić od tej myśli, że może pan — “ szukałem słów.

„Pan mnie uważa za chorego — dopomógł mi.

Potwierdziłem jego domysł.

„Sądzę, że z pewnych oznak mogę taki wniosek wyprowadzić. Ja, czy mogę panu zadać pytanie wprost, panie Laponder.

„Proszę bardzo.

„Brzmi to dość dziwnie — ale — zechce mi pan powiedzieć, co się panu dzisiaj śniło?

Z uśmiechem głową potrząsnął.

„Nigdy mi się nic nie śni.

„Ale pan mówił przez sen.

Spojrzał na mnie przerażony. Chwilę się zastanawiał. Potem rzekł stanowczo:

„To mogło się zdarzyć tylko w takim razie, jeżeli pan mię o coś pytał.

„Tak jest. Pytałem.

„Bo, jak rzekłem — nigdy mi się nic nie śni.

Ja — podróżuję“ — dodał po chwili.

„Pan podróżuje Jak to rozumieć?

Laponder nie bardzo chciał się wyjęzyczyć, ja zaś uważałem za wskazane, by mu określić przyczyny, które sprawiły, że się starałem go przeniknąć: — w ogólnych zarysach powiedziałem mu, co się stało w nocy. „Może pan być mocno przekonany“, rzekł z powagą, gdy skończyłem swe wyjaśnienie — może pan być przekonany, że wszystko com mówił we śnie opiera się na

rzeczywistości. Kiedym poprzednio zauważył, że nie śnię, ale „podróżuję“, rozumiałem przez to, że moje życie senne inaczej jest ułożone, niż życie — powiedzmy, normalnych ludzi. Niech pan to nazwie, jak się panu podoba — wyłonienie się ciała. — Tak było n. p. dziś w nocy w nadzwyczaj dziwnym pokoju, do którego wejście prowadziło z dołu przez drzwi spuszczone.

„Jakże ten pokój wyglądał“ zapytałem gwałtownie. „Czy był niezamieszkały? Pusty?“ „Nie. Stały w nim meble. Ale mało. I łóżko. Na łóżku młoda dziewczyna spała albo leżała pozornie martwa. Jakiś mężczyzna siedział koło niej, trzymając rękę na jej czole“. Laponder opisywał mi twarze obojga. Niema wątpliwości: byli to Hillel i Mirjam.

Z naprężenia nie ważyłem się oddychać.

„Proszę, niech pan opowiada dalej. Czy był tam jeszcze kto więcej w pokoju?“

„Kto więcej? Niech pan zaczeka nie, oprócz nich nikogo więcej nie było w pokoju. Siedmiopłomienny świecznik płonął na stole.

„Potem zeszedłem na dół po kręconych schodach.

„Były zniszczone? wtrąciłem.

„Zniszczone? Nie, nie. Wszystko było tam w porządku. Wbok od nich leżała izba, w której siedział człowiek w trzewikach ze srebrnymi sprzączkami, człowiek typu osobliwego, jakiego nigdy jeszcze między ludźmi nie widziałem: miał żółtą twarz i kose oczy; pochylony był ku przodowi i zdawał się na coś oczekiwać. Może na jakiś rozkaz. „Książki — starej dużej książki nigdzie pan nie widział? badałem.

Potał sobie czoło.

„Książki — mówi pan. Tak jest. Widziałem. Książka leżała na podłodze. Była otwarta. Cała na pergaminie. Stronica zaczynała się od złotej wielkiej litery A.

„Od litery I, chyba pan chce powiedzieć.

„Nie, od A.

Pokiwałem głową i zacząłem powątpiewać. Widocznie Laponder w pół śnie, z treści, którą żywiła moja wyobraźnia — wyczytał różne rzeczy i jedno z drugim mu się przemieszało: Hillel, Mirjam, Golem, księga Ibbur i przejścia podziemne.

„Jak dawno posiadał pan ten dar „podróżowania“? — spytałem.

„Od 21 roku mego życia“ zatrzymał się, zdawał się niechętnie o tem mówić. Naraz twarz jego przybrała wyraz niesłychanego zdumienia — i wpatrzył się w moją pierś, jakby na niej coś zobaczył. Nie bacząc zaś na moje zdziwienie, skwapliwie chwycił mnie za rękę — i prosił prawie błagalnie: „Na miłość Boga, niech mi pan powie wszystko. Dziś ostatni dzień, który mogę z panem spędzić. Być może za godzinę już mnie wyprowadzą stąd, aby mi przeczytać wyrok

śmierci.

Przerwałem mu przerażony.

„A zatem musi pan mnie zażądać na świadka. Przysięgnę, że pan jest chory. Pan jest lunatykiem. Niepodobieństwo, żeby pana osądzono, nie zbadawszy stanu pańskiego ducha. Niech że pan to bierze rozsądnie.

Obruszył się nerwowo: „Przecież to rzecz uboczna! Proszę, niech mi pan powie wszystko.

„Ale cóż ja mam panu powiedzieć? — Lepiej mówmy o p a n u .

„Musiał pan — jak widzę teraz — napewno — przeżyć dziwne rzeczy, które mnie blisko obchodzą, bliżej, niż pan to może przypuszczać; — — proszę, niech mi pan powie w s z y s t k o !“ — błagał.

Nie mogłem tego pojąć, że moje życie interesuje go więcej, niż jego własne, bądź jak bądź, prawdziwie dość naglące sprawy; aby go jednak zaspokoić, powiedziałem mu wszystko, co mi się zdarzyło niepojętego.

Przy każdym obszerniejszym fragmencie mej powieści, kiwał głową zadowolony, jak ktoś co daną rzecz przenika na wskroś.

Gdy przyszedłem do tego miejsca, gdzie stało przedemną widziadło bez głowy i podawało mi czarno-czerwone ziarna, zaledwie mógł doczekać, by dowiedzieć się końca. „A więc pan mu je z ręki wytrącił — mrucał z zastanowieniem. Nigdybym nie myślał, że jest jeszcze trzecia droga. „To nie była trzecia droga — powiedziałem. To była droga ta sama, jakgdybym odmówił przyjęcia ziarn. — Laponder się uśmiechnął.

„Pan tak nie sądzi, panie Laponder?

„Gdyby pan odmówił ich przyjęcia — to one popłynęłyby na drogę życia, ale ziarna, które oznaczają siły magiczne, nie byłyby pozostały. — Potoczyły się na ziemię, jak pan mówi. To znaczy: pozostały tutaj — i póty będą strzeżone przez pańskich przodków, aż nadejdzie czas ich kiełkowania. Wówczas do życia dojdą siły, które w panu jeszcze drzemią.

Nie rozumiałem: „Moi przodkowie będą strzegli tych ziaren?

„Częściowo musi pan brać symbolicznie to, co pan przeżył“ — objaśnił Laponder. Koło błękitnie świecących ludzi, którzy cię otoczyli, był to łańcuch odziedziczonych Ja ź n i , które każdy z matki urodzony wlecze ze sobą. Dusza nie jest „pojedynczością“, ona dopiero nią się stanie — i to się nazywa „Nieśmiertelność“; pańska dusza składa się z wielu Ja ź n i — jak mrowisko z mrówek; noszą one w sobie pozostałości wielu tysięcy przodków: — naczelników waszego rodu. To samo jest u wszystkich istot. Jakże kura, która sztucznie z jaja została wylęgnięta, mogłaby natychmiast szukać właściwego pożywienia, gdyby nie tkwiło w niej doświadczenie milionów lat? — Istnienie „instynktu,, zdradza obecność przodków w ciele i w duszy. — Ale przepraszam

pana, nie chciałem panu przerywać.“ Opowiedziałem do końca. Wszystko. Nawet i to, co Mirjam mówiła o Hermafrodycie.

Gdym się zatrzymał i spojrzał na niego, zauważyłem, że Laponder stał się blady jak wapno na ścianie, a łzy obfite toczyły mu się po twarzy.

Szybko wstałem, udając, że nic nie widzę, i chodziłem po celi tam i z powrotem, by przeczekać, aż się nieszczęsny uspokoi. —

Wówczas siadłem naprzeciw niego i użyłem wszystkiej siły mej wymowy, aby go przekonać, jak nagłą koniecznością było powołać się wobec sądu na chorobliwy stan swego ducha.

„Gdyby pan przynajmniej nie przyznał się do tego zabójstwa! zakończyłem.

„Ależ musiałem przecie! Pytano mię na moje sumienie! rzekł naiwnie.

„Więc kłamstwo uważa pan za rzecz gorszą od zabójstwa na tle płciowem? pytałem zdumiony.

„W ogóle być może — nie; w moim przypadku — niewątpliwie tak. Uważaj pan: gdy mię sędzia śledczy zaczął rozpytywać, czy się przyznaję do winy, miałem siłę powiedzieć prawdę. Miałem do wyboru skłamać albo nie skłamać. Gdym popełnił owo zabójstwo z lubieżności proszę, niech mi pan oszczędzi szczegółów: było to tak obrzydliwe, że nie chciałbym tego na nowo ożywiać w swej pamięci kiedym popełnił owo zabójstwo, nie miałem żadnego wyboru. Gdybym działał nawet przy doskonale jasnym stanie świadomości, to jednak i wtedy nie miałem żadnego wyboru: coś, czego obecności w sobie nigdy się nie domyślałem, czuwało nademną i było silniejsze odemnie. Czy pan sądzi, że gdybym miał wybór, to bym popełnił morderstwo? Nigdy nie zabiłem nawet najmniejszego robaka i teraz już nie byłbym w stanie.

Wyobraźmy sobie, że prawo ludzkie jest: zabijać! a za zaniedbanie tego prawa karą ma być śmierć podobnie jak to mamy na wojnie : niewątpliwie w takim razie zasłużyłbym sobie na śmierć. Bo dla mnie nie byłoby wyboru. Musiałbym po prostu nie mordować. Wtedy, gdym, popełnił zabójstwo, sprawa miała się na odwrót.

„Tymbardziej, gdy pan się teraz czuje quasiinny człowiek, musi pan powołać się na wszystko, aby uniknąć wyroku sądu.

Laponder zrobił przeczący ruch ręki.

„Pan się myli. Sędziowie ze swojego punktu widzenia mają zupełną słuszość. Czy wolno może takiego człowieka jak ja puścić, aby swobodnie krążył po świecie? Aby jutro lub pojutrze znów stała się jakaś ohyda?

„Nie. Ale należało by pana internować w zakładzie leczniczym dla chorych psychicznie. Oto właśnie, co chcę powiedzieć!

„Gdybym był obłąkany, to pan miałby rację.“ — odparł Laponder obojętnie. Ale ja nie jestem obłąkany. Jestem czemś zupełnie innym — czemś, co jest bardzo podobne do obłąkania, ale właściwie jest jego przeciwieństwem. Proszę,

niech pan słucha. Pan mię zaraz zrozumie. To co mi pan mówił przedtem o widziadle bez głowy oczywiście jest to symbol: klucz do niego po namyśle może pan łatwo znaleźć: — zdarzyło mi się kiedyś zupełnie tak samo. Tylko że ja ziarna przyjąłem. Zatem ja idę „drogą śmierci.“ — Dla mnie najświętszym jest to co mogę myśleć: że dopuściłem, aby duchowość kierowała moimi krokami. Ślepy, pełny ufności idę dokądkolwiek droga mię poprowadzi: na szubienicę czy na tron, do bogactwa czy do nędzy. Nigdy się nie wahałem, gdy wybór dano mi do ręki.

„Dla tego też i nie kłamałem, gdy wybór dano mi do ręki.

„Pan zna słowa proroka Micheasza: „Powiedziano ci, człowieku, co dobre jest i czego Pan od ciebie żąda.“

„Gdybym skłamał, stworzyłbym sobie przyczynę, gdyż miałem wybór; gdybym popełnił zbrodnię, nie stworzyłem żadnej przyczyny; wyzwoliło się tylko działanie pewnej, drzemającej we mnie, oddawna złożonej przyczyny, nad którą żadnej już mocy nie miałem.

„A zatem ręce moje są czyste.

„Przeto, że duchowość we mnie urobiła mię na mordercę, ogłosiła ona wyrok na mnie; przez to, że mnie ludzie powieszają na szubienicy, los mój wyzwoli się od ich losu; — idę na wolność.“

„Jest to święty, pomyślałem, i włos mi się najeżył, gdy w podziwieniu dla niego spostrzegłem swoją małość.

„Opowiadał mi pan, że przez hipnotyczny wpływ lekarza zatracił pan w swej świadomości wspomnienie swych lat młodzieńczych“ — mówił Laponder dalej. „Jest to znak-stygmat — tych wszystkich, którzy są ukąszeni przez „węża krainy duchowej.“ Zdaje się, jakoby w nas były dwa żywoty — jeden w drugim — wkorkowane — jak szlachetny kwiat na dzikim drzewie, zanim stać by się mógł cud przebudzenia; co jeno przez śmierć może być rozdzielone, tu zdarza się przez zgaśnięcie wspomnień — niekiedy zaś tylko przez nagły nawrót wewnętrzny.

„U mnie było tak, że ja pozornie bez żadnej przyczyny zewnętrznej — w 21 roku życia pewnego ranka obudziłem się jakby przemieniony. To com dotychczas miłował, wydało mi się nagle zgoła obojętne: życie ukazało mi się tak głupie jak historia o indyanach i straciło dla mnie wartość rzeczywistą; sny dla mnie nabrały pewności — a życie codzienne stało mi się jak widzenie senne.

„Wszyscy ludzie mogliby to czynić, gdyby posiadali klucz. Klucz ten zaś leży jedynie i wyłącznie w tym, że człowiek we śnie staje się świadomy „formy swej Jaźni“, że tak powiem, jej skóry — że znajduje małe szczeliny, przez które jego świadomość przedziera się pomiędzy stan jawy a głęboki sen kataleptyczny.

„Dla tego to mówiłem poprzednio, że ja „podróżuję“, nie zaś, że „śnię.“

„Ubiegać się o nieśmiertelność to znaczy walczyć o berło przeciw zamieszkującym nas wrzaskom i upiorom; oczekiwać zaś na przekróleszczenie własnej Jaźni — to oczekiwać na Mesyasza.“

„Systematyczny Habal Garmin, którego pan widział, „tchnienie kości“ w Kabale — to był król. Kiedy ten król będzie koronowany, — pęknie na dwoje sznur, którym przywiązany jesteś do świata zmysłami zewnętrznymi — kominem rozumu.

„Jak to stać się mogło, że ja, pomimo swe oderwanie od życia stałem się przez jedną noc mordercą seksualnym: o to się pan chce mnie zapytać? Człowiek jest jak rura szklana, przez którą toczą się pstre kule: prawie u wszystkich w życiu tylko jedna. Jeżeli kula jest czerwona, to mówi się, że człowiek „zły“. Jeżeli żółta, to mówi się: „dobry“. Jeżeli biegną dwie — czerwona i żółta — mamy wtedy „niezdecydowany“ charakter. My, „ukąszeni od węża,„ wypełniamy przez jedno życie to, co wogóle w całej rasie zdarza się w stulecie globu: kule barwne toczą się jedna przez drugą w szklanej rurze, — a, gdy dojdą do końca — wtedy to „wtedy my jesteśmy prorocy — zwierciadła Boga“.

Laponder zamilkł.

Długo nie mogłem słowa wymówić. Jego mowa mnie oniemiała.

„Czemuż to pan tak trwożliwie zapytywał się przedtem o moje przeżycia, skoro pan stoi tak o wiele, o wiele wyżej odemnie? „zagadnałem go wreszcie.

„Pan się myli — rzekł Laponder — stoję znacznie niżej od pana. — Pytałem pana, bom czuł, że pan posiada klucz, którego mi brakło“.

„Ja? klucz? O Boże!

„Tak jest, pan. I pan mi go dał. Nie sadzę, aby na świecie był człowiek szczęśliwszy, niż ja jestem dzisiaj.

Na zewnątrz dał się słyszeć hałas. Rygiel zazgrzytał. Laponder nie zwracał na to wcale uwagi.

„To co pan mówił o Hermafrodycie — był to dla mnie klucz. Teraz mam pewność. Już dla tego jestem zadowolony, że mnie stąd wyprowadzą, bo wnet będę u celu.

Od łez nie mogłem już rozróżnić twarzy Lapondera, słyszałem tylko uśmiech w jego głosie.

„A teraz: żyj pan szczęśliwie, panie Pernat, i pomyśl pan; to, co jutro powiesz, będzie to jedynie moja suknia. Pan mi odsłonił najpiękniejszą rzecz, to czego jeszcze nie wiedziałem. Teraz idziemy na wesele“ — — — wstał i szedł za strażnikiem „to jest w związku z morderstwem seksualnym“ były to ostatnie słowa, które słyszałem i których znaczenie pozostało dla mnie ciemne.

Od tej nocy — ile razy świecił na niebie księżyc w pełni — zdawało mi się zawsze, że znów widzę na szarem płótnie siennika leżącą uśpioną postać Lapondera.

W najbliższych dniach po jego wyprowadzeniu słyszałem na placu egzekucyjnym odgłos robót ciesielskich i kowalskich, co nieraz trwało aż do szarego świtu.

Odgadłem co to znaczy — i godzinami całymi uszy sobie zamykałem z rozżalenia.

Mijał miesiąc za miesiącem. Z chorobliwej postaci nieszczęsnego drzewa na dziedzińcu widziałem jak lato więdło; zapachem pleśni jęły tchnąć mury więzienne.

Gdy w przechadzkach po dziedzińcu więziennym spoglądałem na umierające drzewo — i na wrośnięty w jego korę szklany posążek świętej, mimowoli za każdym razem powstawało we mnie porównanie, jak głęboko wrosła we mnie postać Lapondera.

Raz tylko jeszcze we Wrześniu sędzia śledczy wezwał mnie do siebie i nieufnie pytał, jak ja to wytłumaczę, co mówiłem w okienku bankowem, że muszę natychmiast wyjechać — i dlatego w godzinach przed aresztowaniem byłem tak niespokojny i wziąłem ze sobą wszystkie swoje drogie kamienie.

Na moją odpowiedź, że postanowiłem jak najrychlej życie sobie odebrać, znów poza biurkiem dało się słyszeć szydercze beczenie baranie. — Aż dotąd byłem w celi zupełnie sam i mogłem się oddać w całości swoim myślom, żalobie po Charousku, który, jakem przeczuwał, od dawna już musi nieżyć, wspomnieniom o Laponderze, tęsknocie po Mirjam.

Potem zjawili się nowi więźniowie: subjekci handlowi o przeżytych twarzach, którzy popełnili przemieszanie, tłusci kasyerzy bankowi, — „biedne sierotki“, jakby ich nazwał Vossatka. Zatruli mi powietrze i usposobienie.

Pewnego razu jeden z nich z najwyższym oburzeniem opowiadał, że niedawno popełniono w mieście morderstwo na tle płciowem. Szczęśliwym trafem złoczyńcę natychmiast ujęto i krótki proces mu wytoczono.

„Laponder! tak się nazywał ten nikczemnik, niegodny boskiej litości“ — wołał jakiś drab o pysku dzikiego zwierza, a który za okrutne postępowanie z dzieckiem skazany został na 14 dni więzienia. „Na gorącym uczynku go schwymano. W czasie walki z ofiarą lampa spadła i pokój zaczął się palić. Trup dziewczyny jest tak zwęglony, że do dnia dzisiejszego nie można było ustalić, kto ona jest. Miała czarne włosy i ładną twarz — to wszystko, co o niej wiadomo. A Laponder, choćby miał zdechnąć, nie chciał powiedzieć jej imienia. Gdybym to ja był sędzią, to bym go obdarł ze skóry i pieprzem obsypał. Tacy to są ci eleganccy panowie. Wszystko same zabójce. Jakby nie było innych sposobów, kiedy się chcesz uwolnić od dziewczuchy!“ — dodał w końcu z

cynicznym uśmiechem.

Wściekłość zagotowała się we mnie — i najchętniej powaliłbym łotra na podłogę.

Co noc chrapał on na tem samym łóżku, na którym leżał Laponder. Odetchnąłem dopiero, gdy w końcu został wypuszczony na swobodę.

Ale wtedy nawet nie wyzwoliłem się od niego. To co mówił przeniknęło we mnie, jak grot z ząbkowatym haczykiem.

Prawie nieustannie, zwłaszcza w mroku, gryzło mnie teraz posępne podejrzenie, że ofiarą Lapondera mogła być Mirjam.

Im bardziej opierałem się tej myśli, tem głębiej ona mnie dręczyła, aż zmieniła się niemal w *idee fixe*.

Niekiedy, zwłaszcza gdy księżyc blado świecił po przez kraty, było nieco lepiej: wówczas przypominały mi się na nowo godziny, które przepędziłem z Laponderem i głębokie współczucie względem niego budziło we mnie żal, ale wnet nadchodziły straszne chwile, gdym przed oczami duszy widział Mirjam zamordowaną i zwęgloną — i zdawało się, że z przerażenia rozum utracę.

Słabe punkty zasadnicze, które miałem dla swych podejrzeń, układały się w takich momentach w zamkniętą całość, w obraz pełny nieopisanie straszliwych szczegółów.

Na początku listopada o godzinie 10-tej wieczorem była w celi najczarniejsza ciemność a rozpacz we mnie dosięgła takiego stopnia, że aby nie krzyczyć głośno z powodu swej niemocy, wcisnąłem się, wgryzłem się w siennik, jak zwierz, umiatający z pragnienia.

Nagle strażnik więzienny otworzył celę — i zażądał, abym poszedł z nim do sędziego śledczego. Czułem się tak osłabiony, że chwiejnym krokiem — zaledwie mogłem zanim podążyć!

Nadzieja, że kiedykolwiek ten straszliwy dom opuszczę — dawno już we mnie zamarła.

Wyobrażałem sobie, że znów mi postawią jakieś lodowate pytanie — znów usłyszę za biurkiem stereotypowy bek — i znów odeślą mnie do ciemności z powrotem.

Pan baron v. Leisetreter już poszedł do domu — i tylko stary garbaty pisarz o pajęczych palcach stał w pokoju.

Odrętwiały czekałem, co mi przypadnie.

Uderzyło mnie, że strażnik wszedł wraz ze mną i dobrotliwie mi się przyglądał, ale byłem zbyt przygnębiony, by jasno zrozumieć znaczenie tych objawów.

„Śledztwo wykazało“ — zaczął pisarz, beknął, wlażł na krzesło i naprzód długo czegoś szukał wśród papierów, a potem mówił, raczej czytał: „wykazało, że wzmiankowany Karol Zottmann przed śmiercią przypuszczalnie miał schadzkę

z niezamężną niegdyś prostytutką Rozyną Metzeles, która nosiła przydomek „rudej Rozyny“; potem przez pewnego głuchoniemego, który obecnie znajduje się pod dozorem policji, sylwetkarza, nazwiskiem Jaromir Kwasniczka, została wykupiona z winiarni pod firmą „Kautsky“ i od kilku miesięcy z Jego Księżęcą Wysokością Jaśnie Oświeconym księciem Ferri von Athenstadt żyje we wspólnym, dzikim konkubinacie jako kochanica; wyż rzeczony Karol Zottman podstępnie został zwabiony do podziemnej, opuszczonej piwnicy w domu numer conscriptionis 21.873, liczba rzymska III, na Kogucim zaułku, numer bieżący siedem, tam zamknięty — i pozostawiony tamże na śmierć z głodu lub przemarznięcia.

„Mianowicie wyż rzeczony Zottman“ — objaśnił pisarz, rzucając wzrokiem spoza okular i przewracał kilka razy kartki w swym papierze.

„Śledztwo wykazało dalej, że wyż rzeczony Zottman podług wszelkiego prawdopodobieństwa — gdy zakończył życie — został ograbiony ze wszystkich rzeczy, jakie miał przy sobie, a zwłaszcza ze swego zegarka o podwójnej pokrywie, sub fasciculo rzymskie P“ — tu pisarz podniósł zegarek i łańcuszek do góry. „Podług zeznania, złożonego pod przysięgą przez sylwetkarza Jaromira Kwasniczkę, osieroconego syna zmarłego przed laty siedemnastu wyrabiacza hostyj, tegoż nazwiska: zegarek został znaleziony w łóżku jego brata Loisa, który tymczasowo uciekł z więzienia; zegarek ten wyż rzeczony Jaromir Kwasniczka zastawił u właściciela realności Arona Wassertruma, który tymczasowo z życiem się rozstał: przysiędze powyższej sąd dla braku wiarygodności żadnej wagi przypisywać nie mógł.

Śledztwo wykazało dalej, że trup wyż rzeczonego Karola Zottmana w tylnej kieszeni od spodni, w chwili jego znalezienia, miał przy sobie notes, w którym przypuszczalnie na kilka dni przed zakończeniem życia pomieścił on liczne wskazówki, wyjaśniające fakty i ułatwiające ujęcie złoczyńcy przez c. k. władze państwowe.

Uwaga c. k. władzy sądowej na skutek powyższych notat Zottmana skierowała się w stronę najmocniej podejrzanego Loisa Kwasniczki, tymczasowo zbiegłego; jednocześnie c. k. władza sądowa nakazuje śledztwo przeciw Atanazemu Pernatowi, wzinaczowi karnej, zawiesić — i postępowania pyreciw niemu zaprzestać.

Praga w Czerwcu.

Podpis
ano

Dr. Baron von Leisetreter.

Podłoga zakołysała się pod memi nogami i na chwilę utraciłem przytomność.

Gdym się przebudził, siedziałem na krześle, a strażnik po przyjacielsku klepał mię po ramieniu.

Pisarz był najzupełniej spokojny, zażył tabaki, wytarł nos i powiedział: „Odczytanie tego postanowienia musiało być odłożone do dzisiaj, gdyż nazwisko pańskie zaczyna się od Pe i naturalnie podług alfabetu mogło przyjść dopiero ku końcowi.

Poczem czytał dalej:

„Ponadto Atanazy Pernat, wycinacz karnej, zostaje zawiadomiony, że podług testamentu zmarłego w Maju stud. med. Inocentego Charouska trzecia część jego całkowitego majątku przypada mu w schedzie i ma pod protokularem stwierdzeniem powyższego położyć swój podpis“.

Pisarz przy tych słowach umaczał pióro w atramencie i zaczął bazgrać.

„Inocenty Charousek, bełkotałem nieprzytomny.

Strażnik pochylił się ku mnie i szeptał mi do ucha:

„Na krótko przed śmiercią był u mnie pan Dr. Charousek — i dowiadywał się o pana. Kazał panu bardzo, bardzo się kłaniać. Naturalnie wtedy nie mogłem tego zrobić. Najsurowiej zakazane. Straszny koniec zresztą sam sobie zrobił pan dr. Charousek. Sam sobie życie odebrał. Znalaziono go na grobie Arona Wassertruma. Leżał na piersiach. Wyrył dwie głębokie dziury w ziemi, tętnice sobie przeciął i wtedy ramiona włożył w dziury. Tak krew z niego wypłynęła. Zapewne był obłąkany pan dr. Charousek.

Pisarz z hałasem cofnął swe krzesło w tył i wręczył mi pióro do podpisu.

Wtedy przybrał dumną postawę i przemówił niemal tonem barona, swego przełożonego:

„Dozorco, wyprowadzić tego człowieka.

Jak przed dawnym, dawnym czasem znów człowiek z szablą i w gaciach w izbie wartowniczej trzymał na kolanach młynek do kawy; ale teraz mnie nie rewidował, tylko zwrócił mi moje drogie kamienie, portmonetę z 10 guldenami, płaszcz i inne rzeczy.

Wreszcie stałem na ulicy.

„Mirjam! Mirjam! Teraz nakoniec znów się zobaczymy! — Powstrzymałem w sobie okrzyk najdzikszego rozradowania.

Była zapewne północ. Księżyc w pełni toczył się, pozbawiony blasku, jak płowy talerz mosiężny, po za mgłą obłoków.

Ulice pokrywała gęsta lepka warstwa błota.

Przywołałem dorożkę, która w oparach wyglądała jak połamany potwór przedpotopowy. Nogi mi odmawiały posłuszeństwa; prawie zapomniałem chodzić i chwiałem się jak tabetyk na bezwrażliwych podeszwach.

„Dorożkarzu, proszę mię zawieść, jak możecie najprędzej, na Koguci zaułek,

numer 7.

„Czyście zrozumieli?

„Koguci zaulek numer 7?

W O L N Y .

Przejechawszy kilka metrów, dorożka się zatrzymała.

„Koguci zaulek, wielmożny panie?

„Tak jest. Tylko prędko.

Znów pojazd ruszył nieco dalej. Znów się zatrzymał.

„Na miłość Boga, co to znaczy?

„Koguci zaulek, wielmożny panie?

„Tak jest. Właśnie.

„Na Koguci zaulek nie mogę jechać.

„Dlaczegoż nie?

„Wszędzie bruki powyjmowane. Żydowskie miasto całe przerabiają.

„Proszę więc jechać tak daleko, jak można ale teraz jaknajprędzej.

Dorożka zrobiła jeden skok galopem, a potem znów zaczęła jechać niedołącznym klusem.

Opuściłem zaplamione szkła okien dorożki i chciwem płucem ssałem powietrze nocne.

Wszystko mi stało się tak niepojęcie nowe: domy, ulice, zamknięte sklepy.

Biały pies włóczył się samotnie i w złym humorze po mokrym trotuarze. Spojrzałem na niego. Co za dziwowisko! Pies! Zapomniałem, że takie zwierzęta są na ziemi. — Z radości jak dziecko zacząłem wołać na niego: — „Hej, hej! Jakże to można być tak smutnym!“

Coby na to powiedział Hillel? — A Mirjam?

Jeszcze parę chwil a jestem u nich. Postanowiłem sobie póty we drzwi stukać, aż ich z łóżka powyciągam.

Teraz wszystko było dobrze — żałoba całoroczna minęła!

Toż nie prześpią już tej sprawy, jak niegdyś.

Na chwilę znów mię załamała dawna trwoga: przypomniały mi się słowa więźnia z pyskiem dzikiego zwierza. Spalona twarz, zabójstwo lubieżnicze, ale nie, nie, — przemocą odpychałem ten obraz: nie, nie. to niemożliwe! Mirjam żyje! Toć jeszcze głos jej słyszałem przez usta Lapondera.

Jeszcze minuta — pół minuty, a wówczas —

Dorożka zatrzymała się koło kupy gruzów.

Wszędzie dokoła barykady z kamieni brukowych.

Na nich palą się czerwone latarnie.

Przy blasku pochodni kopał i łopatą odsypywał ziemią jeden z robotników.

Kopce zwalisk, kamieni i odłamki murów zamykały przejście.

Drapałem się po tych górkach, po kolana się pogrzeżyłem w gruzy.

Więc to tu miałby być Koguci zaułek?

Z trudem się orjentowałem. Same ruiny dokoła. Czyż nie tu stał dom, w którym mieszkałem? Fasada była zdjeta całkowicie.

Wdarłem się na jeden z kopców; w dole podemną biegł wzdłuż dawnej ulicy czarny murowany chodnik. Spojrzałem w górę: jak olbrzymie komórki pszczelne zawisły w powietrzu opróżnione siedziby ludzkie, przez pół pochodniami oświetlone, przez pół młdem światłem księżycowem.

Tam w górze musiał to być mój pokój i poznałem po dawnych obiciach co zostały.

W sąsiedztwie pracownia Saviolego.

Naraz uczułem w sercu próżnię. Jakie to osobliwe! Pracownia! Angelina!

Jakże daleko, jak niewymownie daleko było to wszystko odemnie.

Obróciłem się: z domu, w którym mieszkał Wassertrum, nie pozostał kamień na kamieniu! Wszystko zrównane z ziemią: sklep tandeciarza, suterren Charouska wszystko, wszystko!

„Człowiek przechodzi tedy jak cień“ przypomniały mi się słowa, które kiedyś czytałem.

Zapytałem robotnika, czy nie wie przypadkiem, gdzie mieszkają ludzie, którzy się stąd wyprowadzili; czy może zna! archiwarjusza Szemajaha Hillela?

„Ni ks d aj c z! była odpowiedź.

Dałem temu człowiekowi florena; natychmiast niemał zaczął rozumieć po niemiecku, ale nie mógł mi dać żadnego objaśnienia.

Również żaden z jego towarzyszków.

Może u „Loisiczka“ można by się czegoś dowiedzieć? Loisiczek był, jak mówiono, zamknięty; dom odnawiano.

A więc obudzić kogo w sąsiedztwie? Czy można?

„Tak szeroko i daleko tu wkoło nawet kot nie mieszka“ mówił robotnik. Administracyjnie zakazane. Wedle tyfusu.

„A „Ceber“? Chyba otwarty.

„Ceber zamknięty.

„Napewno?

„Napewno.

Na chybi trafi wymieniłem nazwiska handlarzy i trafikantów, którzy tu w okolicy mieszkali; wymieniłem też imiona Zwaka, Vrieslandera, Prokopa...

Wszyscy kiwali głowami. Nie, nie.

„Może który z was zna Jaromira Kwasniczkę?

Robotnik nasłuchiwał.

„Jaromir? Głuchoniemy?

Dusza moja się radowała. Bogu dzięki. Przynajmniej jeden znajomy.

„Tak jest, głuchoniemy. Gdzie mieszka?

„Czy to ten, co wycina obrazki? Z czarnego papieru?”

„Tak — to on. Gdzież go mogę spotkać?”

Robotnik, o ile mógł najdokładniej, opisywał mi nocne kawiarnie w mieście wewnętrznym — i wnet na nowo zaczął kopać ziemię łopatą.

Więcej niż godzinę brodziłem po przez pola gruzów, tańcowałem po chwiejących się deskach i pełzałem wśród poprzecznych belek, zamykających ulice. Cała dzielnica żydowska była jedną kamienną pustynią, jakby trzęsienie ziemi zburzyło miasto.

Oddech mi zapierało ze wzruszenia, szedłem splamiony i w podartym obuwiu — aż na koniec wydostałem się z tego labiryntu. Kilka szeregów domów — i stałem przed jaskinią, której poszukiwałem. — Nade drzwiami widniał napis: „Cafe Chaos”.

Bezludny, mały lokal, w którym zaledwie starczyło miejsca na parę stolików, stojących pod ścianą.

Na środku sali na trójnożnym bilardzie spał kelner i chrapał

Przekupka z koszem jarzyn przed sobą siedziała w kącie — pochylona nad szklanką czaju.

W końcu zdecydował się kelner wstać i zapytać, czego chcę. Z zuchwałego spojrzenia, jakim ten patrzył na mnie od stóp do głów — dopiero teraz przyszło mi na myśl, że muszę wyglądać jak oberwaniec.

Rzuciłem okiem w zwierciadło i przeraziłem się: cudza, anemiczna twarz, pomarszczona, szara jak kit z szpecinową brodą i poczochronym długim włosom ukazała się przedemną.

„Czy sylwetkarz Jaromir był tu, zapytałem — i zamówiłem czarną kawę.

„Nie wiem, gdzie on siedzi do tej pory“ — odpowiedział mi kelner, ziewając.

Poczem znów słę położył na bilard i w dalszym ciągu drzemał.

Wziąłem ze ściany Prager Tageblatt[^] i — czekałem. Litery biegały mi w oczach jak mrówki po stronicach — i ani słowa nie zrozumiałem z tego, com czytał.

Godziny mijały — a za szybami ukazywał się już podejrzany głęboki poświt ciemnoniebieski, który świadczy o wtargnięciu zorzy porannej do lokalu o oświetleniu gazowym.

Tu i owdzie wypatrywali coś na ulicy policjanci w pióropuszech o zielonym połysku — i powolnym ciężkim krokiem szli dalej.

Do kawiarni weszli żołnierze — jak widać — po hulaszczko przepędzonej nocy.

Wracający nad ranem jegomość napił się przy bufecie wódki.

Nakoniec, na koniec: Jaromir.

Zmienił się tak, że go zaledwie poznał: oczy miał zagasłe, przednie zęby mu wypadły, włosy się mocno przerzedziły a za uszami miał głębokie jamki.

Byłem tak rad, że po długim czasie znów widzę znajomą twarz, że podskoczyłem, ruszyłem ku niemu i ująłem go za rękę. — Jaromir zachowywał się w sposób dziwnie bojaźliwy — i nieustannie spoglądał w stronę drzwi. Za pomocą wszelkich możliwych gestów chciałem mu wykazać, jak się raduję jego spotkaniem. — Długi czas zdawał mi się nie dowierzać.

Ale, jakiegokolwiek zadawałem mu pytania, zawsze ten sam rozpaczny ruch ręki, oznaczający: nie rozumiem!

Jakże umożliwić mu zrozumienie rzeczy?

Mam myśl. Kazałem sobie dać ołówek i kolejno rysowałem twarze Zwaka, Vrieslandera i Prokopa.

„Jakto? Wszyscy opuścili Pragę?”

Żywo, niby płazem, uderzył w powietrze dokoła; zrobił ruch wypłaty pieniędzy, poruszał po stole palcami, niby dla oznaczenia pochodzenia i uderzył się po wierzchu ręki. Odgadłem: wszyscy trzej zapewne od Charouska dostali pieniądze i teraz jako wspólnicy krążyli po świecie z powiększonym teatrem maryonetek.

„A Hillel? Gdzież teraz mieszka?” — Narysowałem jego twarz, przytem dom — i w końcu znak zapytania.

Znaku zapytania Jaromir nie rozumiał; — nie umiał czytać, ale pojął, o co mi chodziło. Wziął zapalniczkę, rzucił ją pozornie w górę, a potem na sposób prestidigitatorów nagle ukrył ją tak, że zniknęła. Co to znaczyło? Czyżby i Hillel wyjechał?

Narysowałem ratusz żydowski. — Głuchoniemy mocno potrząsł głową.

„A więc Hillel już tam nie jest?”

„Nie (potrząśnięcie głową).”

„Więc gdzie jest?”

Znów powtórzył Jaromir swoją sztukę z zapalniczką.

„Napewno myśli, że ten pan wyjechał — i nikt nie wie, dokąd” — wtrącił się do rozmowy poranny gość, który pił wódkę, a który teraz przez cały czas z wielkim zaciekawieniem nam się przyglądał.

Serce mi zdrętwiało z trwogi: Hillela niema! — Teraz byłem zupełnie samotny na całej ziemi. — Rzeczy w kawiarni zaczęły mi skakać przed oczami.

„A Mirjam?”

Ręka mi drżała z taką siłą, że dłuższy czas nie byłem w stanie narysować jej twarzy z należytem podobieństwem.

„Czy i Mirjam zniknęła?”

„Zniknęła. Tak. Bez śladu.”

Westchnąłem, zacząłem biegać po pokoju tam i z powrotem, tak że trzej żołnierze pytająco spoglądali na siebie.

Jaromir starał się mnie uspokoić i próbował jeszcze mię o czemś

powiadomić, o czym wiedział: położył głowę na ramieniu, jak osoba uśpiona.

Oparłem się o blat stołu: „na imię Jezusa, czy Mirjam umarła?”

Potrząśnięcie głową. Jaromir znów powtórzył gest uśpienia.

„Czy Mirjam była chora?” Narysowałem flaszkę lekarstwa.

Potrząśnięcie głową. Znów przyłożył Jaromir skroń do ramienia.

Świt jasny rozwidnił izbę, płomień gazowe gaśły jedno po drugim i ciągle jeszcze nie mogłem uchwycić, co znaczyły gesty Jaromira. —

Dałem pokój. Rozważałem.

Jedyna rzecz, która mi pozostała do zrobienia, to jak najwcześniej iść na żydowski ratusz — i tam się poinformować, dokąd mogli wyjechać Hillel i Mirjam.

Ja muszę jechać za nimi.

Milcząco siedziałem przy Jaromirze. — Niemy i głuchy jak on.

Gdym po pewnym czasie spojrzał, zauważyłem, że wycina z papieru nożyczkami sylwetki.

Poznałam profil Rozyny. Podał mi obrazek poprzez stół, położył rękę na oczach i płakał sobie cicho.

Potem naraz powstał — i chwiejnym krokiem — bez pożegnania — wyszedł z kawiarni.

Archiwariusz Szemajah Hillel pewnego dnia bez żadnej zasady przestał przychodzić — i nigdy nie powrócił; córkę swoją również zabrał ze sobą: gdyż i jej nikt już nigdy nie widział od owego czasu: tak mi powiedziano w żydowskim ratuszu. To było wszystko, czego się mogłem dowiedzieć.

Nie miałem żadnego śladu, któryby mi wskazywał, dokąd się udali.

W banku mi oświadczono, że moje pieniądze ciągle jeszcze sędownie są obciążone — i z dnia na dzień oczekuje się możliwości ich wypłacenia na moje ręce.

A więc i spadek po Charousku musiał iść drogą urzędową — i z gorącą niecierpliwością oczekiwałem na pieniądze, aby wówczas wszelkich spo.sobów użyć, dla poszukiwania śladów Hillela i Mirjam.

Sprzedziałem swoje drogie kamienie, które miałem jeszcze w kieszeni — i wynajęłam sobie dwie małe, umeblowane, obok siebie leżące mansardy na Staroszkolnej ulicy — jedynej ulicy, która po przebudowaniu dzielnicy żydowskiej została zachowana.

Szczególny przypadek: był to ten sam dobrze znany dom, o którym krążyło podanie, że kiedyś zniknął w nim Golem.

U mieszkańców — po największej części drobnych kupców i rzemieślników — dowiadywałem się, czy jest cokolwiek prawdy w pogłoskach o „pokoju. bez wejścia“ i zostałem wyśmiany. Jak można wierzyć w podobne niedorzeczności!

Moje własne przeżycia, które się z tem wiązały, przybrały w więzieniu mglistość dawno zwietrzałego widzenia sennego — i widziałem w nich już tylko symbole bez życia i krwi, — i wykreśliłem z księgi moich wspomnień.

Słowa Lapondera, które nieraz tak wyraźnie w sobie słyszałem, jakby siedział na przeciwko mnie jak dawniej w celi — i jakby ze mną rozmawiał, — utwierdziły mnie w tem, że musiałem czysto wewnątrz kontemplować to, co mi przedtem ukazało się, jako uchwytna rzeczywistość.

Czyliż nie przeminęło, nie znikło wszystko, com niegdyś posiadał? Księga Ibbur, fantastyczna talja kart do taroka, Angelina i nawet moi starzy przyjaciele: Zwak, Yrieslander i Prokop!

Był wieczór Bożego Narodzenia i przyniosłem sobie do domu małą choinkę oraz czerwone świeczki. Chciałem jeszcze raz być dzieckiem, mieć koło siebie płomyki światła, zapach żywicznych igieł i płonącego wosku.

Zanim rok dobiegł do końca, nie dałem za wygraną — i szukałam po miastach i po wsiach — i gdziekolwiek mi serce podyktować mogło — Hillela oraz Mirjam.

Wszelka niecierpliwość, wszelkie wyczekiwanie zwolna we mnie odpadły — równie jak znikła wszelka trwoga, że Mirjam mogła być zamordowana: wiedziałem sercem, że znajdę oboje.

Był we mnie jak by nieustanny uśmiech szczęścia — i gdym rękę na coś położył, zdawało się, że jakaś siła zbawcza z niej wypływa. Zadowolenie człowieka, który po długiej wędrówce do domu powraca i zdala już ogląda promieniejące wieże swego rodzinnego miasta — napępniało mnie całego w szczególny sposób.

Byłem raz jeszcze w małej kawiarni, chcąc sprowadzić Jaromira do siebie na wigilię. Więcej się już tam nigdy nie pokazał — jak mi powiedziano — i chciałem już za smutkiem wracać do domu, gdy wszedł stary kramarz wędrowny i ofiarował mi różne drobne bezwartościowe przedmioty do nabycia.

Przeszukałem jego skrzyneczkę gdzie leżały dewizki do zegarka, małe koncyfiksy, grzebienie, śpilki do włosów, broszki; nagle wpadło mi w ręce serce z czerwonego kamienia i pełen podziwu poznałem, że to jest ta sama pamiątka, którą mi kiedyś Angelina, gdy była małą dziewczynką — dała w prezencie koło

wodotrysku w swym pałacu.

I nagle przed mojem okiem stanęła moja młodość, jak gdybym w kamerze optycznej oglądał widoczek, malowany ręką dziecka.

Długo, długo stałem wzruszony i spoglądałem na małe czerwone serce —, które trzymałem w ręku.

Siedziałem w swej mansardzie i przysłuchiwałem się jak syczały igielki jodłowe, gdy tu i owdzie drobna gałązka zaczynała płonąć od woskowych świeczek.

„Może też właśnie o tej godzinie stary Zwak gdzieś na świecie gra swoje „Boże Narodzenie kukiełek“ — wyobrazałem to sobie — „i deklamuje tajemniczym głosem strofkę swego ulubionego poety Oskara Wienera:

„Gdzie jest serce z czerwonego kamienia?

Ono wisi na wstążce jedwabnej.

O ty, nieoddawaj serca —

Ja byłem mu wierny, jam je kochał —

O siedem lat ciężkom służył

Dla tego serca — i kochałem je gorąco!“

Szczególnie świąteczny nastrój miałem w duszy. — Świece już się wszystkie wypaliły. Jedna tylko jeszcze migiała. Dym krążył po pokoju. — Naraz jakby mię jakaś ręka pociągnęła, musiałem się odwrócić:

Odbicie mojej osoby stało w progu. Mój sobotwór. W białym płaszczu. Z koroną na głowie.

Trwało to jedno okamgnienie.

Nagle płomienie buchnęły po przez deski moich drzwi i od pokoju wdarł się obłok duszącego, gorącego dymu.

Pożar w domu. Pożar! Pożar!

Roztwieram okno. Wdrapuję się na dach.

Z dala już huczy gromkie trąbienie nadjeżdżającej straży ogniowej. Błyszczące hełmy i krótkie, ostre rozkazy komendy.

Potem upiorne, rytmiczne, syczące dyszenie pomp, jakby demony wody gotowały się do skoku na swego śmiertelnego wroga: ogień.

Szkło bręcząc pęka, a czerwony płomień strzela ze wszystkich okien.

Materace wyrzucają z okien, cała ulica jest niemi zaścielona, ludzie skaczą na nie: tłuką się i ranią; straż ich wynosi.

We mnie natomiast coś raduje się w dzikiej tryumfalnej ekstazie! Nie wiem dla czego. Włos mi się jeży.

Biegnę w stronę komina, aby uniknąć osmalenia, gdyż płomienie idą w moją stronę.

Powróż kominiarski otacza go dokoła; obwijam go koło siebie, opasuje nim stawy ręki i nogi, jak tego się uczyłem za lat chłopięcych w szkole gimnastyki — i powoli spływam na dół od strony fasady.

Przesuwam się koło jednego okna; spoglądam do środka: tam wszystko jasno oświetlone.

I widzę tam, widzę tam.

Całe moje ciało staje się jednym radosnym okrzykiem:

Hillel! Mirjam! Hillel!

Chcę przeskoczyć przez kraty w oknie.

Chwytam za nie. Tracę przytem swe położenie w sznurze.

Chwilę jedną wiszę głową na dół, z nogami skrzyżowanymi między niebem a ziemią.

Sznur świszcze przy posunięciu. Trzeszcząc rozszerzają się włókna.

Upadam.

Świadomość we mnie gaśnie.

Jeszcze w upadku chwytam za gzyms okna, ale zbaczam z drogi. Zatrzymać się nie mogę:

Kamień jest gładki.

Gładki jak kawał słoniny.

Przypisy

1. [i v](#) > Prager Tageblatt — niemieckojęzyczna gazeta wydawana w Pradze w latach 1876-1939.

K R E S .

„ jak kawał słoniny!“

To jest kamień, co wygląda, jak kawał słoniny.

Słowa te jeszcze dzwonią mi w uszach. Wtedy podnoszę się i muszę sobie przypomnieć, gdzie jestem.

Leżę w łóżku i mieszkam w hotelu.

A więc nie nazywam się Pernat.

Czyż by mi to wszystko śniło się tylko?

Nie! Tak nie wygląda rojenie senne.

Spoglądam na zegar: spałem zaledwie godzinę. Jest w pół do trzeciej.

A tam wisi cudzy kapelusz, który zamieniłem dziś w katedrze na Hradczynie, gdym podczas wielkiej mszy siedział w ławce.

Czy jest we środku nazwisko?

Biorę kapelusz i czytam złotymi literami na białej jedwabnej podszewce, cudze a jednak tak znajome, nazwisko:

ATANAZY PERNAT

Teraz już nie mam chwili spokoju; pospiesznie się ubieram i biegnę na dół po schodach.

„Odźwierny! Proszę otworzyć! Idę jeszcze na przechadzkę — na godzinę.

„Dokąd, proszę?

„Do dzielnicy żydowskiej. Na Koguci zaułek.

Czy jest w ogóle ulica, która się tak nazywa?

„Owszem, owszem. Jest“ odźwierny uśmiecha się chytrze — „ale zwracam uwagę, że z dzielnicy żydowskiej mało co pozostało. Wszystkie domy nowo zbudowane.

„Nic nie szkodzi. Gdzie leży Koguci zaułek?

Odźwierny grubym palcem wskazuje na planie miasta Pragi.

„Tutaj, proszą pana.

„A szynkownia „Loisiczek?“

„Tutaj, proszę pana.

„Proszę mi dać duży kawał papieru.

Zawijam w ten papier kapelusz Pernata. Rzecz dziwna: jest prawie nowy, nieposzlakowanie czysty, a jednak tak kruchy, jak gdyby był odwieczny i prastary.

Po drodze przekładam sobie:

Wszystko co przyżył ten Atanazy Pernat, to ja współprzeżyłem z nim we śnie, w jedną noc, widziałem z nim, słyszałem z nim, czułem z nim, jak gdybym to ja był nim. Ale dla czego nie wiem, co on zobaczył przez zakratowane okno w chwili, gdy powrót się rozluźnił i gdy Atanazy, upadając, zawołał: Hillel, Hillel!

Zrozumiałem, że w tej chwili Pernat oderwał się odemnie. Muszę odnaleść tego Atanazego Pernata i muszę się dostać do niego, choć bym miał trzy dni za nim biegać w koło: tak sobie postanowiłem.

Więc to jest Koguci zaułek.

Nawet w przybliżeniu nie był podobny do tego, co

widziałem we śnie. Same nowe domy.

W minutę później siedziałem w kawiarni Loısiczka. Gwary, dość czysty lokal.

W głębi zresztą estrada z drewnianymi poręczami; nie można zaprzeczyć pewnego podobieństwa ze starym, widzianym we śnie Loısiczkiem.

„Co pan rozkaże, proszę pięknie?“ pyta kelnerka, zniszczona dziewczyna, w czerwonym aksamitnym fraku, dosłownie popękanym.

„Proszę o koniak, panienko. — Tak, dziękuję“

„Hm. Panienko!“

„Proszę.“

„Do kogo należy ta kawiarnia?“

„Do pana radcy handlowego Loısiczka. Cały dom należy do niego. Bardzo elegancki bogaty pan.“

Acha, człowiek ze świńskimi zębami na łańcuchu od zegarka! przypomniałem sobie.

Mam dobry pomysł, który powinien mi dopomóc w orientacji:

„Panienko.“

„Proszę?“

„Kiedy to zawalił się kamienny most?“

„Przed trzydziestu trzema laty.“

„Hm. Przed trzydziestu trzema laty!“ przekładam sobie: zatem wycinacz drogich kamieni Pernat musi teraz mieć koło dziewięćdziesięciu lat?

„Panienko.“

„Proszę?“

„Czy niema kogo między gośćmi, co mógłby sobie przypomnieć, jak wyglądała wówczas stara dzielnica żydowska? Jestem literatem i bardzo mi to zaciekawia.“

Kelnerka się zamyśliła: „Z gości? Nie. Ale niech pan poczeka: markier bilardowy, ten co tam ze studentem gra w karambola — widzi go pan? Ten z nosem hakowatym, stary; on zawsze tu mieszkał i wszystko panu powie. Czy mam go zawołać, kiedy skończy?“

Szedłem za wzrokiem dziewczyny. Smukły, białowłosy, stary człowiek opiera się tam o lustro i kredą czyści swój kij. Zniszczona, ale bardzo pańska fizjonomia. Kogo to on mi przypomina?

„Panienko, jak się nazywa markier?“

Kelnerka, stojąc, opiera się łokciem o stół, liże ołówek, pisze z pośpiechem na marmurowej płycie stołu niezliczone razy jego nazwisko; prędko je wyciera

za każdym razem — mokremi palcami. Jednocześnie rzuca w moją stronę mniej lub więcej ogniste spojrzenia; — stosownie do tego, jak jej się uda.

Oczywiście konieczne jest zarazem podniesienie brwi, gdyż to powiększa czarodziejstwo spojrzenia.

„Panienko, jak się nazywa markier?“ powtarzam swe pytanie. Spoglądam na nią; ona chętniejby usłyszała: Panienko, dla czego raczej nie nosisz na sobie nic, prócz fraka? albo coś podobnego. Ale nie pytam o to: zbyt mi po głowie krąży mój sen..

„No, jakże się ma nazywać?“ z nadąsaną miną odpowiada. Oczywiście nazywa się Ferri. Ferri Athenstadt.

„Ale, ale! Ferri Athenstadt. — Hm — a więc znów stary znajomy.

„Niech-że mi panienka dużo, dużo o nim opowie — mówię słodko, ale zaraz muszę się pokrzepić koniakiem; — „Pani tak miło szczebiocze! (Brzydzą się samym sobą).

„Panienska“ tajemniczo pochyla się tuż nademną, aż jej włosy twarz mi łąchocą i szepcze:

„Ferri przedtem był to ćwik kuty na cztery nogi. Podobno pochodzi z bardzo starej szlachty ale to oczywiście jest takie tylko bajanie, bo on wcale brody nie nosi. A mówią też, że dawniej miał strasznie dużo pieniędzy. Pewna rudowłosa żydówka, która już za młodu była „taka“ — znów kilka razy szybko napisała jej nazwisko — wycisnęła z niego wszyściusieńko. Oczywiście mówię wedle monety. No, a kiedy on już był bez grosza, to go puściła kantem i wydała się za mąż za bogatego pana: za...“ — szepnęła mi do ucha, jakieś nazwisko, którego nie mogłem uchwycić.

„Wielki pan musiał się naturalnie wyrzec wszelkich zaszczytów i od tego czasu mógł się nazywać tylko Ritter von Dammerich. No, więc tak. Ale tego, że ona była dawniej „taka“, tego już oczywiście nigdy zmyć z niej nie mógł. Ja zawsze mówię „Fritzi! Płacić! zawołał ktoś z estrady.

Rzuciłem wzrokiem po sali, gdy usłyszałem za sobą ciche metaliczne ćwierkanie, niby świerszcza.

Obejrzałem się zaciekawiony. Nie dowierzałem swoim oczom.

Twarzą odwrócony ku ścianie, stary jak Matuzal, trzymając pozytywkę małą jak pudełko papierosów na swoich trzęsących się szkieletowych rękach siedzi w kącie, skurczony do cna, ślepy zgrzybiały Neftali Szafranek — i kręci małą korbką.

Podchodzę do niego.

Zmieszany śpiewa szeptem sam sobie.

Frau Pick, Frau Hock
und rote, blaue Stern

die schmusen allerhond

Von Messinung, aus Raucherl und Rohn.

„Czy nie wiecie, jak się nazywa ten stary człowiek? zapytuję przebiegającego kelnera.

„Nie, panie, nikt nie zna jego nazwiska. On sam go zapomniał. Jest zupełnie sam na świecie. Czy pan uwierzy: on ma 110 lat! Dostaje u nas co noc tak zwaną łaskawą szklankę kawy.“

Pochyliam się nad starcem — i krzyczę mu w ucho jedno słowo: „Szafrank!“

Działa to na niego jak błyskawica. Coś zamruczał. Z zastanowieniem przesuwa ręką po czole.

„Czy pan mnie rozumie, panie Szafrank?”

Skinął głową.

„Niech pan dobrze uważa! Chciałbym pana o coś zapytać z dawnych czasów. Jeżeli mi pan dobrze odpowie, dostanie pan guldena, którego kładę tu na stole.

„Guldena,„ powtórzył stary i zaraz zaczął kręcić korbą swojej pozytywki.

Powstrzymałem jego rękę. „Niech pan sobie przypomni! Czy nie znał pan przed 33- ma laty wycinacza kamej, nazwiskiem Pernat?”

„Hadrbolec? Wycinacza kamaszy? zabelkotał astmatycznie i roześmiał się na cały głos w mniemaniu, że powiedziałem mu jakąś zabawną krototochwilę.

„Nie, nie Hardbolec — Pernat!

„Pereles? tryumfował poprostu.

„Nie, nie Pereles Pernat!

„Paszeles? — zapał z radości.

Rozczarowany przerwałem badanie.

„Pan chciał ze mną porozmawiać, panie“ markier Ferri Athenstadt stał przedemną chłodno pochylony.

„Tak. Właśnie chodzi mi o to. — Możemy przytem zagrać partyę bilardu.

„Czy pan gra na pieniądze? Daję panu for 90 na 100.

„Zgoda: o guldena. Niech pan zaczyna, panie markier!

Jego książęca mość wziął kij, nacelował, zrobił kiksa, twarz ułożył żałośnie. Znam się na tem: pozwoli mi dojść do 99, a potem odrazu wyběbni całą serję.

Coraz większa ciekawość mię pali! Uderzyłem odrazu w sedno.

„Niech pan sobie przypomni, panie markier: przed dawnymi laty, mniej więcej wtedy, kiedy to zawalił się most kamienny, czy nie znał pan w żydowskiej dzielnicy niejakiego Atanazego Pernata?”

Jakiś jegomość w biało-czerwonej kurtce płóciennej, zezowaty i z małym złotym kolczykiem w uchu, który siedział na ławce pod ścianą i czytał gazetę, zerwał się nagle, spojrział się na mnie i przeżegnał znakiem krzyża świętego.

„Pernat? Pernat? powtórzył markier i zamyślił się głęboko. Pernat? Wysoki,

szczupły, miał ciemne włosy — i krótko strzyżoną brodę?

„Tak — tak! To dosłowna prawda.

„Miał wtedy ze 40 lat. Wyglądał jak Jego książęca mość nagle spojrział na mnie zdumiony.

„Czy pan dobrodziej nie jest jego krewny?

Zezowaty znów się przeżegnał.

„Jak? krewny? skądże? Śmieszne przypuszczenie. Nie. Interesuję się nim tylko. Może pan jeszcze coś o nim wie? mówiłem spokojnie, choć czułem, jak mi serce się zamraza.

„Jeżeli się nie myle, to swego czasu uchodził on za warjata. Raz twierdził, że nazywa się niech pan zaczeka hm, tak! Luponder. — A potem znów podawał się za niejakiego — Charouska!“

„Ani słowa prawdy! wtrącił zezowaty. Charousek żył rzeczywiście. Mój ojciec niejedne 1000 flor. po nim odziedziczył.

„Co to za człowiek? zapytuję półgłosem markiera.

„Jest to przewoźnik rzeczny, nazywa się Czamrda. — Co się tyczy Pernata, to przypominam sobie tylko — albo przynajmniej sędzę, że on w późniejszych latach ożenił się z piękną, smagłocerą żydówką.

„Mirjam! powiedziałem sobie i byłem tak podniecony, że ręce mi się zatrzęsły i więcej grać nie mogłem.

Przewoźnik się przeżegnał.

„Ale cóż to się z panem dziś dzieje, panie Czamrda? pytał zdziwiony markier.

„Pernat nigdy nie żył! krzyczy zezowaty. Ja w to nie wierzę.

Natychmiast postawiłem temu człowiekowi koniak, aby był rozmowniejszy.

„Są znowu ludzie, co mówią, że Pernat ciągle jeszcze żyje“ wygadał się w końcu przewoźnik“ jak słyszę jest wycinaczem grzebieni i mieszka na Hradczynie.

„Gdzie na Hradczynie? Przewoźnik żegna się.

„No, mieszka właśnie tam. Mieszka, gdzie żaden żywy człowiek mieszkać nie może: przy murze pod ostatnią latarnią.

„Czy pan zna jego dom, panie — panie — Czamrda?

„Za nic w świecie nie chciałbym tam pójść, protestował zezowaty. Za kogo pan mnie ma? Jezus Marja Józef!

„Ale drogę na górę może mi pan zdaleka, pokazać, panie Czamrda?

„To — i owszem“ mruczy przewoźnik. Jeżeli pan chce czekać, do szóstej rano, to popłynę w dół Wełtawą. Ale ja panu nie radzę. Spadnie pan do Jeleniego Jaru i połamie pan kark i wszystkie kości. O przenaświętsza Matko Boża!

O pierwszym brzasku porannym wychodzimy razem. Świeży wiatr powiewa od rzeki. Z oczekiwania zaledwie czuję grunt pod sobą,

Nagle wynurza się przedemną dom na Staroszkolnej ulicy.

Każde okno znów rozpoznaję: pokrzywioną rynnę na dachu, kraty w oknach, gzymsy kamienne świecące jak tłuszcz słoniny.

„Kiedy ten dom się palił? pytam zezowatego. Ze zdumienia zasyczał mi w uszy.

„Palił się? Nigdy!

„A jednak! Wiem napewno.

„Nie palił się.

„A przecie ja wiem doskonale. Chce się pan założyć.

„O ile?

„O guldena.

„Zgoda.! — I Czamrda wyprowadza dozorcę domu. „Czy ten dom palił się kiedy?

„Ale skądże!“ Dozorca śmiał się.

Ja nie mogę w to żadną miarą uwierzyć.

„Już siedmdziesiąt lat tu mieszkam zapewnia odźwierny więc muszę o tem wiedzieć jak się patrzy. “

Szczególne, szczególne

Czamrda przewozi mnie w swem czólnie, które się składa z ośmiu nieheblowanych desek; płynie w śmiesznych, skośnych, drgawkowych ruchach przez Wełtawę. Żółte wody pienią się dokoła drzewa. Dachy Hradczyna błyszczą czerwono w promieniach zorzy porannej. Jakieś nieopisanie uroczyste uczucie ogarnia mię w pełni. Lekkie zmierzchające uczucie jakiegoś poprzedniego żywota, jak gdyby świat był dokoła mnie zaczarowany; jakaś nieokreślona, niby w marzaiu sennem tkwiąca świadomość; jakoby miał być może w kilku miejscach naraz.

Wstaję.

„Ile jestem panu winien, panie Czamrda?

„Grajcara. Gdyby pan mi pomagał wiosłować to byłoby dwa grajcarry.

Tą samą drogą, którą dziś w nocy przechodziłem już raz we śnie, krocę znowu: małą, samotną ścieżką zamkową. Serce mi bije i wiem dla czego: teraz idzie łyse drzewo, którego gałęzie po przez mur się wychylają.

Nie: ono jest pokryte białym kwiatem. Powietrze jest pełne słodkiej woni bzu. U moich nóg leży miasto w pierwszym blasku świtania jak wizja obietnicy.

Cisza zupełna. Tylko zapach i blask. Z zamkniętymi oczami mógłbym się teraz przedostać na małą, ciekawą ulicę Alchemików, tak mi każdy krok jest tu pewny i znajomy.

Ale tam, gdzie dziś w nocy widziałem drewniane kraty przed białym migocącym domem, teraz zamyka uliczkę wspaniała, wypukła, połączona sztacheta.

Dwa wiązki tryskają z kwitnących niskich krzaków, zdobiąc po obu stronach bramy wchodowej mur, który po za kratą wzdłuż biegnie na prawo i na lewo.

Wspinam się, aby przez krzaki wzrokiem przeniknąć do środka — i jestem olśniony nową świetnością: ściana ogrodu w całości przybrana jest mozaiką: turkusowo-błękitne freski złotymi, muszelkami osobliwie pokryte, wyobrażają kult egipskiego boga Osirysa. Podwoje — to sam bóg: hermafrodyta z dwóch połów, tworzących wrota: prawa strona jest żeńska, lewa męska. — Siedzi na kosztownym, płaskim tronie z masy perłowej — w pół płaskorzeźbie — a jego złota głowa jest to głowa zajęcza. Uszy wznoszą się do góry i blisko siebie tak iż wyglądają, jakby dwie stronice wydarte z książki.

Rosisto tchnie dokoła, a zapach hjacyntów rozplywa się przez ściany.

Długi czas stoję skamieniały i zdumiony. Zdaje mi się, jakby jakiś obcy świat nagle wysnuł się przedemną a stary ogrodnik czy służący w trzewikach ze srebrnymi sprzączkami, w żabocie i osobliwie wykrojonym surducie przychodzi ku mnie z lewej strony poza sztachetą i z poza kraty zapytuje, czego sobie życzę.

Niemo wręczam mu zawinięty w papier kapelusz Atanazego Pernata.

Bierze go i idzie przez bramę główną.

Gdy brama się otwiera, spostrzegłem w głębi dom marmurowy w kształcie świątyni, a na jego stopniach — siedzi

ATANAZY PERNAT

i nachylna ku niemu

MIRJAM

i oboje spoglądają w dół na miasto.

Na chwilę Mirjam się odwraca, spostrzega mnie, uśmiecha się i szepcze coś do Atanazego Pernata.

Jestem zaklęty jej pięknnością.

Jest tak młoda, jak dziś w nocy widziałem ją we śnie.

Atanazy Pernat powoli kieruje wzrok w moją stronę, a serce bić mi przestało. Tak mi jest, jakbym widział samego siebie w zwierciadle: tyle podobieństwa mają ze sobą jego twarz i moja twarz.

Wtedy podwoje bramy się zamykają i spostrzegam tylko migotliwego hermafrodytę.

Stary sługa podaje mi kapelusz i mówi, głos jego słyszę jakby z głębi ziemi.

„Pan Atanazy Pernat każe najserdeczniej panu podziękować i prosi, aby go szanowny pan nie uważał za człowieka niegościnnego, z powodu, że nie zaprasza go do swego ogrodu, ale takie jest tu od wieków surowe prawo domowe. Kapelusza pańskiego, mogę szanownego pana upewnić, nie miał wcale na głowie, ponieważ zamianę natychmiast zauważył.

Ma tylko szczerą nadzieję, że jego kapelusz szanownemu panu bynajmniej bólu głowy nie przyczynił.“

KONIEC.

Przypisy

1. **i Kameen Schneider i Kamm Schneider: gra wyrazów niepodobna do naśladowania.**